NAJWIĘKSZY BŁĄD ARMII PUTINA
Rosjanie byli pewni swego i opuścili „gardę", co wykorzystali Ukraińcy

WIELKOŚĆ I POKORA OJCA PIO
Słynny włoski stygmatyk sprawił, że do jego klasztoru ciągnęły tłumy

POTĘGA MAJAŃSKIEJ CYWILIZACJI
Tajemniczy lud wciąż skrywa wielkie zagadki, które czekają na rozwikłanie

NR 8(162)/2026 SIERPIEŃ 2026

CENA 14,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

HISTORIA

MIESIĘCZNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

RYS. KRZYSZTOF WYCZYKOWSKI

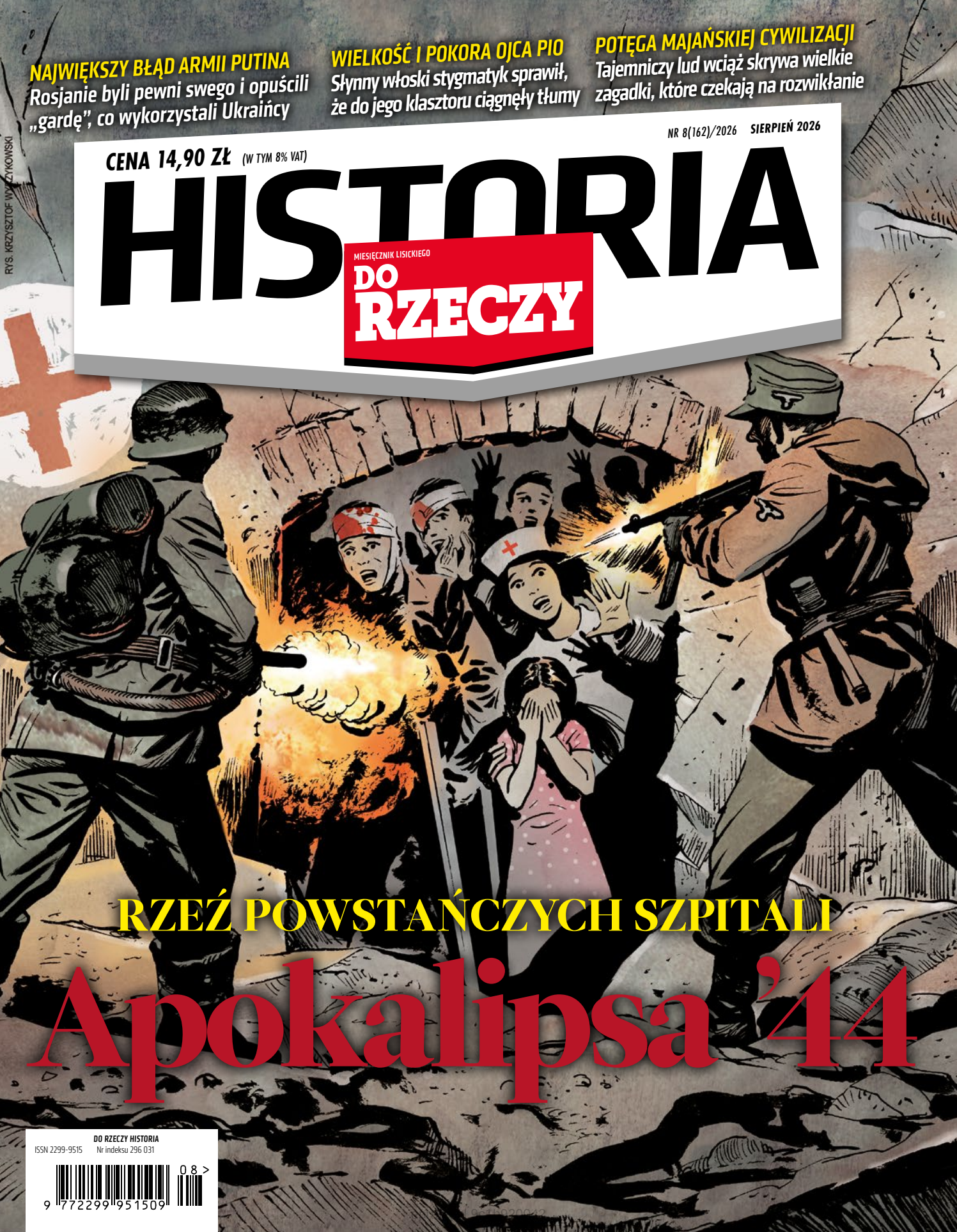

RZEŹ POWSTAŃCZYCH SZPITALI

Apokalipsa '44

DO RZECZY HISTORIA
ISSN 2299-9515 Nr indeksu 296 031
9 772299 951509 08 >

HISTORIA DO RZECZY

CZYTAJ CO MIESIĄC W LEPSZEJ CENIE

ZAMÓW PRENUMERATĘ

PRENUMERATA ROCZNA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"

+ W PREZENCIE KSIĄŻKA Z TERESĄ ROMER ROZMAWIA MICHAŁ LEWANDOWSKI: „CZUJĘ SIĘ UPRZYWILEJOWANA"

Czuję się uprzywilejowana

Ilość archiwaliów niezbadanych i wymagających opracowania wciąż przyprawia o zawrót głowy. Uwaga uczonych skupia się zwykle w większym stopniu na tego rodzaju źródłach „poważnych", a tymczasem gdzieś z boku na głos cierpliwie czekają świadkowie Historii. Ich świadectwa są nie mniej ważnie od urzędowych protokołów, raportów i sprawozdań. Badacze zainteresowani dziejami emigracji polskiej po roku 1939 coraz częściej wykorzystują konwencję „książek mówionych".

Wyścig z czasem trwa. Ostatni świadkowie Historii odchodzą cicho i niepostrzeżenie. Coraz trudniej znaleźć nie tylko uczestników tamtych wydarzeń, ale również ich bliskich krewnych, którzy w sposób świadomy przeżywali tę Historię z nimi.

Do osobistych świadectw bezwzględnie zasługujących na bycie usłyszanymi i zapamiętanymi należy opowieść pani Teresy Romer. Historykom dokumentującym dzieje polskiej emigracji jest to postać doskonale znana. Wszak to głównie dzięki jej wysiłkom pamięć o zasługach Tadeusza Romera jest powoli przywracana, a jego wkład w kształtowanie polskiej polityki zagranicznej w trudnych latach II wojny światowej zyskuje należyte uznanie. Córka polskiego dyplomaty od wielu lat niestrudzenie przypomina pracę ojca na rzecz utrzymania ciągłości państwowości polskiej po katastrofie wrześniowej oraz jego heroiczną walkę o ratunek dla uchodźców polskich i żydowskich na Dalekim Wschodzie.

(fragment Przedsłowia)

Oferta prenumeraty z dostawą za pośrednictwem Poczty Polskiej

170 zł

oszczędność 44 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO:
33 1600 1462 1816 5874 1000 0006
Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

TERAZ MOŻLIWOŚĆ ZAMÓWIENIA PRENUMERATY RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ DO PACZKOMATU INPOST. ZAMÓWIENIA TYLKO PRZEZ STRONĘ WWW.SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt 10.00-16.00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 9c1b920042

ADRES:
HISTORIA DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: historia@DORZECZY.PL
www.HISTORIA.DORZECZY.PL
PROWADZĄCY: ANNA SZCZEPAŃSKA

REDAKCJA MIESIĘCZNIKA **„HISTORIA DO RZECZY"** JEST INTEGRALNĄ CZĘŚCIĄ REDAKCJI TYGODNIKA „DO RZECZY".

REDAKCJA:
Redaktor naczelny: **Piotr Włoczyk**
Redaktor: **Tomasz Stańczyk**

STUDIO GRAFICZNE:
Wojciech Niedzielko (szef studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**

KOREKTA: Anna Zalewska, Agnieszka Szpak

OKŁADKA: Krzysztof Wyrzykowski

PORTAL DORZECZY.PL
redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska, Lidia Lemaniak, Alina Piekarz, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Aleksander Majewski, Dawid Sieńkowski**

WYDAWCA:
Do Rzeczy SA
Batory Office Building II,
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00
Wydawca tytułu, Do Rzeczy SA, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.

spółka notowana na GPW
PMPG POLSKIE MEDIA SA

ZARZĄD PMPG POLSKIE MEDIA SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc

ZARZĄD SPÓŁKI DO RZECZY SA:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: +48 508 040 890

PUBLIC RELATIONS:
(PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA
Joanna Nowakowska, Joanna Gosek,
dystrybucja@pmpg.pl, tel. 539 953 631, 508 040 664

DRUK Walstead Starachowice

PRENUMERATA WYDAWNICZA
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631
Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl
https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna)
tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl
www.kolporter.com.pl
Garmond, tel.: +48 (12) 422 14 85
e-mail: prenumerataprasy@poczyta.pl
www.poczyta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o., tel.: +48 (22) 649 41 61
www.glm.pl
Poczta Polska
https://prenumerata.poczta-polska.pl/

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w miesięczniku „Historia Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w miesięczniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/.

Ze starych klisz / Warszawa, 20 sierpnia 1944 r.

Niemieccy jeńcy po zdobyciu przez powstańców gmachu PAST-y. Zdjęcie Eugeniusza Lokajskiego.

FOT. WIKIPEDIA

Od redaktora

Piotr Włoczyk

U wrót piekieł

Czy da się upaść w bestialstwie jeszcze niżej? Co może być gorszego od rozstrzeliwania i palenia miotaczami ognia rannych i chorych wraz z personelem medycznym? Chyba tylko mordowanie małych dzieci i kobiet w ciąży można uznać za jeszcze gorszą zbrodnię, ale przecież również one były zabijane w czasie masakr dokonywanych przez Niemców w powstańczych szpitalach.

Te zbrodnie wysuwają się na sam szczyt makabrycznej hierarchii niemieckiego bestialstwa dokonywanego w czasie powstania warszawskiego. Ranni, którzy przeszli przez piekło walk na ulicach stolicy, często najgorsze momenty swojego życia przeżywali, właśnie leżąc w szpitalach, nierzadko były to ich ostatnie chwile.

„Podwórze zaścielały stosy trupów. To byli ranni, którzy wyszli wcześniej i zostali zabici – wspominała masakrę w Szpitalu »Pod Krzywą Latarnią« na Starówce łączniczka Danuta Ślązak ps. Blondynka. – To były nagie dziewczęta, zgwałcone i bestialsko zamordowane. Ich ciała pokrywał popiół, sypały się na nie rozżarzone głownie, niesione wiatrem z płonącego budynku. Słychać było skwierczenie i roznosił się swąd palących się ciał".

Los pacjentów i personelu szpitali powstańczych na Starówce był szczególnie tragiczny, ale Niemcy podobnych zbrodni dokonywali właściwie wszędzie dokoła, choćby na sąsiednim Powiślu. To właśnie tam zamordowany został przez nich bł. o. Michał Czartoryski, kapelan powstańczego oddziału, który postanowił do końca zostać przy rannych, choć zdawał sobie sprawę, co się stanie z nimi wszystkimi.

Los naszych rannych i chorych pokazuje, że Niemcy prowadzili latem 1944 r. na ulicach Warszawy wojnę totalną. Nie tylko przeciw Polakom, lecz także przeciw podstawowym ludzkim odruchom. ©℗

eprasa.pl 9c1b920042

/ TEMAT NUMERU

.6 SŁAWOMIR KOPER
Czerwony krzyż w ogniu

.10 PIOTR WŁOCZYK
Relacje z piekła szpitalnych masakr

.12 PIOTR WŁOCZYK
W ogień za rannymi

.16 TOMASZ STAŃCZYK
Śladami zbrodni i walk

.20 MICHAŁ MACKIEWICZ
Visy na Tygrysy

/ CZASY I LUDZIE

.22 BR. MACIEJ ZINKIEWICZ
Pokorny gigant z Pietrelciny

.26 JAROSŁAW ŹRAŁKA
Majańska zagadka

.30 ANNA SZCZEPAŃSKA
Krzyki z Wołynia

.34 ARKADIUSZ KARBOWIAK
UPA przeciw Żydom

.38 BEATA ZUBOWICZ
Polak, który pokonał Bank Francji

.42 MAREK GAŁĘZOWSKI
Moczarski: Rycerz bez skazy

.46 PIOTR SEMKA
Kombinacja norweska: wolność i niepodległość

.50 JAKUB OSTROMĘCKI
Prawdziwe 80 milionów Solidarności

.54 MIKOŁAJ IWANOW
Ucięta „prawa ręka" Stalina

.58 MAREK KOZUBEL
Największy błąd Putina

.62 ŁUKASZ CZARNECKI
Tajemnica Mistrza Suna

/ CO CZYTAĆ

.66 KRZYSZTOF MASŁOŃ
Harakiri Fredry

.70 RECENZJE

/ FELIETONY

.72 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
Zakręcona historia pleśni

.73 PIOTR SEMKA
Secretos de la taberna española

/ BATALIE I WODZOWIE

.74 LESZEK LUBICKI
Tajna misja Mieszka II

/ TECHNIKA

.78 TYMOTEUSZ PAWŁOWSKI
Historia na zakręcie

/ POD PRĄD

.80 PIOTR ZYCHOWICZ
Wołyń: nie ma symetrii win!

/ KOMIKS

.82 KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI I MACIEJ JASIŃSKI
Powstaniec z aparatem

eprasa.pl 9c1b920042

KSIĘGARNIA DO RZECZY

ZAPRASZAMY DO KSIĘGARNI DO RZECZY

KSIEGARNIADORZECZY.PL

eprasa.pl 9c1b920042

W powstańczym szpitalu FOT. IPN

1944 r. / Apogeum niemieckich zbrodni

Czerwony krzyż w ogniu

Sławomir Koper

Poziom niemieckiego bestialstwa podczas powstania warszawskiego przekroczył wszelkie granice. Podobnych scen nie notowano w Europie od czasów Czyngis-chana. Wyjątkowe miejsce w tej orgii zbrodni zajmowały masakry w miejskich i powstańczych szpitalach

Niemcy od pierwszych dni powstania działali ze skalkulowanym okrucieństwem, chcąc zastraszyć miasto. Do tłumienia rewolty obok jednostek liniowych użyto oddziałów specjalizujących się w krwawych pacyfikacjach. Nazywano je w Warszawie Kałmukami, ponieważ w ich składzie znalazły się dwa bataliony azerskie i brygada szturmowa SS RONA (Rosyjska Wyzwoleńcza Armia Ludowa) Bronisława Kamińskiego. Ta ostatnia jednostka, złożona z renegatów rosyjskich i ukraińskich, charakteryzowała się prawdziwie wschodnim okrucieństwem i bardziej niż walką zajmowała się mordowaniem, gwałceniem i rabowaniem.

Wbrew obiegowym opiniom w stolicy nie było natomiast własowców (Rosyjskiej Armii Wyzwoleńczej – ROA); tym mianem często błędnie określano podwładnych Kamińskiego.

Kałmukom dorównywała w wyrafinowanym okrucieństwie brygada SS-Standartenführera Oskara Dirlewangera. Złożona z kryminalistów wyciągniętych z obozów koncentracyjnych (Niemców, Austriaków i Bałtów) stała się prawdziwym postrachem stolicy. Jednostka Dirlewangera ponosiła jednak niezwykle wysokie straty, ponieważ walki z powstańcami okazały się bardziej niebezpiecznym zadaniem niż palenie wsi na Białorusi.

W czasie powstania warszawskiego bandyci w niemieckich mundurach nie oszczędzali nawet szpitali, lecznic i punktów sanitarnych, mordując ich personel, a także chorych i rannych. Oto najbardziej drastyczne przykłady tego bestialstwa.

Zgładzona Wola

Na pierwszy ogień poszła Wola, gdzie zgodnie z poleceniem Himmlera mordowano każdego napotkanego Polaka. W ramach eksterminacji ludności dzielnicy Niemcy dokonywali systematycznych zbrodni w wolskich szpitalach, mordując personel i pacjentów. Ofiarami oprawców

eprasa.pl 9c1b920042

Szpital Wolski, miejsce niemieckiej zbrodni FOT. NAC

w niemieckich mundurach padły również sierocińce, gdzie wymordowano dzieci i ich opiekunów.

W chwili wybuchu powstania na Woli funkcjonowały cztery szpitale: Wolski, św. Łazarza, Dziecięcy Karola i Marii oraz zakaźny św. Stanisława. Dowództwo polskie zakładało, że wymienione placówki, bez względu na swoją specjalizację, będą pełnić funkcję punktów opatrunkowych dla oddziałów powstańczych oraz okolicznej ludności. I faktycznie tak się stało. Hospitalizowano w nich zresztą także rannych w walkach Niemców.

Szpital Wolski dysponujący niespełna 500 łóżkami miał pełnić rolę centralnego punktu opatrunkowego dzielnicy, ale znalazł się na pierwszej linii walk z okupantem. Nie zmienia to faktu, że napływali do niego ranni oraz uciekinierzy z innych rejonów Woli. 5 sierpnia, tuż po południu, w placówce pojawiła się grupa żołnierzy SS. Niemcy zastrzelili dyrektora szpitala, dr. Józefa Piaseckiego, znakomitego specjalistę leczenia chorób płuc prof. Janusza Zeylanda oraz szpitalnego kapelana ks. Kazimierza Ciecierskiego. Personel i większość chorych zostali zapędzeni do hal fabrycznych na Moczydle, gdzie rozstrzelano ok. 400 osób. Egzekucję prowadzono partiami, w grupach po 12 osób. Ofiarami zbrodni padli nie tylko mężczyźni, lecz także kobiety i dzieci.

„W mojej dwunastce razem ze mną była kobieta – relacjonował ks. Bernard Filipiuk, który leczył się w tych dniach w Szpitalu Wolskim. – Na ręku trzymała małe dziecko, które mogło mieć rok. Z tym dzieckiem została rozstrzelana. Prosiła gestapowca, aby najpierw zabił dziecko, a potem ją. Uśmiechnął się i nic nie odrzekł. Dziecko to długi czas po rozstrzelaniu matki kwiliło i płakało".

Ksiądz miał szczęście – żadna kula go nie trafiła, przewrócił się wraz z innymi i udawał zabitego.

Relacje na temat wydarzeń w Szpitalu Wolskim są czasami sprzeczne ze sobą, ale wyjaśniać to może fakt, że cudem ocaleni świadkowie widzieli tylko niektóre sceny z eksterminacji placówki.

Jan Bęcwałek z Garwolina, który był wtedy pacjentem szpitala, ocalał, podając się za folksdojcza. Znał dobrze niemiecki, ponieważ przez trzy lata był na robotach w Rzeszy. Według jego relacji masowych egzekucji dokonywano także pod samą kliniką, ale jego oddzielono od przeznaczonych na śmierć. W ten sposób znalazł się w niewielkiej grupie ocalonych, którzy stali przy ul. Górczewskiej.

„Dochodziły odgłosy dalszych egzekucji z miejsca, skąd wyratowaliśmy się przed chwilą – relacjonował. – W podwórzu szpitala znajdowały się budynki – szopy, z których w pewnym momencie Niemcy zaczęli wypędzać zgromadzonych tam ludzi. Byli to sami mężczyźni, przeważnie młodzi, nawet mali chłopcy 10–12 lat, większość ubrana jak powstańcy w różne mundury i bluzy z opaskami – tak jak latali po ulicach za rozkazem. Musieli być długo zamknięci, bo wychodzili jakby pijani i błędni. Niemcy dali im łopaty i kazali kopać po przeciwnej stronie ulicy Górczewskiej – naprzeciw bramy szpitala, przy której stałem – w ogródku na kartoflisku, dół głęboki pewnie na 5 metrów [...].

Po wykopaniu dołu przeprowadzano ich po 25 bez koszul, tylko w spodniach, z podniesionymi rękami, ustawiano twarzą do dołu i Ukraińcy z rewolwerów strzałem z tyłu w kark zabijali ich. Trupy padały do dołu – przyprowadzano następnych. Nikt nie krzyczał, nie błagał, nie opierał się. Tak rozstrzelano kilkaset ludzi".

Doktor Józef Marian Piasecki
FOT. MUZEUM POWSTANIA WARSZAWSKIEGO

Bęcwałek jako folksdojcz trafił do niemieckiego punktu sanitarnego, gdzie słyszał salwy rozlegające się „do później nocy". Rankiem pojawił się czołg, który zburzył pozostałości kamienicy, przy której odbyła się egzekucja, przysypując w ten sposób częściowo szczątki ofiar.

W szpitalu przetrwały jednak grupa chorych i kilka osób z personelu, które zostały przeoczone. Niemcy początkowo planowali wysadzenie budynków w powietrze, ale później zmienili zdanie. W następnych dniach pojawili się tam chorzy i lekarze ze Szpitala Dziecięcego Karola i Marii, którzy ocaleli z eksterminacji kliniki. Szpital Wolski do końca powstania odgrywał rolę placówki etapowej dla ludności Warszawy usuwanej z miasta. Mieścił się w nim również niemiecki punkt sanitarny.

Ostatni hymn

Szpital św. Łazarza już w pierwszych dniach zrywu przyjmował rannych powstańców, a jego personel został wzmocniony trzema lekarzami i drużyną harcerek sanitariuszek. Placówka znalazła się jednak, podobnie jak Szpital Wolski, na pierwszej linii walk i pacjentów przeniesiono do piwnic. Ich liczbę szacowano na ok. 300 osób, a w obiekcie znalazło schronienie jeszcze kilkuset cywilów mieszkających w pobliżu.

Los kliniki dopełnił się kilka godzin po zagładzie Szpitala Wolskiego. 5 sierpnia po południu budynek opuściła grupa powstańców broniących dotychczas placówki i niebawem pojawili się tam podwładni Dirlewangera. Wśród nich na pewno znajdowali się członkowie batalionu azerskiego.

„Około godziny 18-ej wtargnęli na teren szpitala – opowiadała ocalała harcerka sanitariuszka Wanda Łokietek. – Zdrowym kazali opuścić budynek, ciężko chorych pozostawili na łóżkach. Ustawiono nas pod murem. Było nas piętnaście w wieku 15–18 lat. Niemcy w bestialski sposób zaczęli rozstrzeliwać na naszych oczach – najpierw lekarzy,

eprasa.pl 9c1b920042

Zbombardowany Kościół Sakramentek

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, JAN BUŁHAK

strzelając najczęściej w tył głowy. I tak doszli do nas. Kazali wystąpić kilka kroków naprzód, a sami strzelali do nas grupami. Wystąpiłam razem ze wszystkimi, śpiewając »Jeszcze Polska nie zginęła«. Na odgłos strzałów upadłam, a obok mnie z roztrzaskanymi głowami dziewczęta. Na samym końcu z ostatniego pawilonu wyprowadzili siostry zakonne, było ich dziesięć. Wyszły, odmawiając »Pod Twoją obronę«. Niemcy strzelali do nich pojedynczo. Następnie Niemcy podpalili szpital do piwnic, dobijając chorych na łóżkach (opowiadał o tym jeden z chorych, który schował się pod łóżkiem i ocalał)".

Liczbę ofiar masakry w Szpitalu św. Łazarza szacuje się na 1,2 tys. zabitych. Ocalała jedynie grupa personelu licząca ok. 50 osób, dzięki interwencji żołnierzy niemieckich, którzy byli leczeni w placówce. Odprowadzono ich do Szpitala św. Stanisława.

Szpital dziecięcy znajdował się przy ul. Leszno i był przewidziany jako punkt sanitarny Zgrupowania „Radosław". Chociaż znajdowało się w nim tylko 120 łóżek, to od samego początku przyjmowano tam rannych powstańców i osoby cywilne. 6 sierpnia powstańcy zostali z niego wyparci, a wraz z nimi szpital opuścili lżej poszkodowani pacjenci oraz część personelu medycznego. W chwili wkroczenia hitlerowców znajdowało się tutaj blisko 150 rannych (w tym także Niemcy) oraz 60 dzieci.

Personel medyczny został wypędzony na ulicę, gdzie udało się wyprowadzić także rannych i chorych mogących się poruszać o własnych siłach. Część pozostałych, którzy byli unieruchomieni, zamordowano w budynku, a reszta zginęła w płomieniach – Niemcy podpalili szpital.

Na ulicy przeprowadzono selekcję i osoby uznane za niezdolne do marszu zostały zastrzelone. Resztę popędzono w kierunku ul. Górczewskiej, po drodze mordując kilka osób, w tym szefa lecznicy, dr. Włodzimierza Kmicikiewicza. Pozostali trafili do Szpitala Wolskiego, ale część z nich została rozstrzelana następnego dnia. Szacuje się, że eksterminacja szpitala pochłonęła ok. 200 ofiar.

5 sierpnia Niemcy wkroczyli również na teren Szpitala Zakaźnego św. Stanisława, mordując 10 osób, w tym jednego z lekarzy. Oprawcy wycofali się po interwencji dr. Pawła Kubicy, który znając dobrze język niemiecki, wyjaśnił napastnikom, że specyfika szpitala uniemożliwiała przyjmowanie rannych powstańców. Nie przeszkodziło im to jednak w powieszeniu dwóch młodych powstańców na drzewie na podwórzu.

W kolejnych dniach hitlerowcy kontrolowali placówkę, dokonując sporadycznych mordów. Jeden z pacjentów został zastrzelony, gdyż posiadał długie buty z cholewami, które uznano za dowód przynależności do oddziałów powstańczych. Nie wiadomo, co się stało z grupą chorych na gruźlicę, których wywieziono w nieznane miejsce – ślad po nich zaginął.

W szpitalu urządzono niemiecki punkt opatrunkowy, a na swoją kwaterę wybrał go sam Oskar Dirlewanger. Jednak na tle innych placówek medycznych na Woli pacjenci i personel Szpitala Zakaźnego św. Stanisława mieli bardzo dużo szczęścia, gdyż w większości przeżyli powstanie.

Zagłada sakramentek

Na Starówce działało 11 szpitali powstańczych. Były to placówki powstałe doraźnie; ich zadaniem była pomoc rannym żołnierzom i ludności cywilnej. Liczba ofiar rosła bowiem z każdym dniem.

Jeden ze szpitali powstał w Klasztorze Sakramentek znajdującym się przy Rynku Nowego Miasta. Po raz pierwszy od 300 lat zawieszono tam obowiązującą klauzurę. Przełożona zgodziła się na urządzenie w klasztorze punktu medycznego, a przybyłym na rozmowę powstańcom odpowiedziała: „Od czasu, jak nasz zakon istnieje, nie było precedensu […], aby została złamana klauzura, która jest znamieniem zakonu naszego". Rozumiała jednak, że „chwila dla Polski była tak osobliwa" i wymagała specjalnego zachowania. W budynkach klasztornych znalazło schronienie ponad 1 tys. rannych i chorych.

W ostatnich dniach walk o Stare Miasto Niemcy postawili sakramentkom ultimatum: klasztor miał zostać ewakuowany 31 sierpnia do godz. 15 albo zostanie zniszczony. Przeorysza zwróciła się o radę do dowództwa AK i usłyszała, że „widok sióstr duchownych opuszczających swoje stanowiska byłby dla żołnierzy bolesnym ciosem". Wobec tego zakonnice pozostały na miejscu, a klasztor został zbombardowany. Zginęło ok. 1 tys. osób świeckich i 35 sióstr sakramentek.

To było preludium do rzezi staromiejskich szpitali. Powstańcy doskonale

Oddziały SS wkraczają na Stare Miasto

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

zdawali sobie sprawę z faktu, co czeka ich rannych i chorych kolegów, więc gdy pod koniec sierpnia zapadła decyzja o ewakuacji kanałami, starali się ocalić wszystkich mogących się przynajmniej częściowo poruszać. Nie zwracano uwagi na opór powstańczej żandarmerii i kilka razy przy włazie na Pl. Krasińskich, gdzie schodzono do kanałów, omal nie doszło do bratobójczej strzelaniny.

Ostatnie oddziały zeszły pod ziemię 2 września. Na Starym Mieście pozostało na łasce hitlerowców 35 tys. cywilów i pacjentów szpitali. Okupanci niemal od razu po wkroczeniu na Starówkę rozpoczęli rzeź, a ich pierwszymi ofiarami padli ranni i personel medyczny w prowizorycznych szpitalach.

„[Jak] wkroczyli Niemcy – wspominał Edward Matecki z batalionu »Gustaw« – to najpierw spokojnie się zachowywali,

eprasa.pl 9c1b920042

weszli z bronią gotową do strzału, ale nic. Potem przyszedł rozkaz łamaną polszczyzną, żeby lżej ranni wyszli na ulicę. Jak ci, którzy mogli chodzić, wydostali się na ulicę, to mimo że miałem perforację bębenków, usłyszałem strzały i wiadomo było, że oni ich zabijają. Wtedy nie tylko ja, na czworakach między nogami Niemców, którzy stali, ale jeszcze nie strzelali, [ruszyłem] do schodów z piwnicy na powierzchnię ulicy Podwale. Jak byłem w połowie schodów, to wtedy ci, którzy wymordowali lżej rannych na ulicy, wpadli z bronią gotową do strzału, żeby wystrzelać resztę leżącą. Do mnie wycelował jeden z tych, nie wiem, czy to był »dirlewangerowiec« czy esesman, i uratowało mnie to, że jak byłem w połowie schodów, była wnęka i ubikacja, rzuciłem się, on strzelił, inni też do rannych, słyszałem: »Dobijcie mnie!«, a w tej ubikacji już leżał jeden ranny i czekaliśmy, bo on widział, że mu umknąłem, ale jakoś w tym ogólnym bałaganie chyba zapomniał. Potem zapalili wszystko, jak się zaczęło palić, to ja z tym rannym na czworakach wydostaliśmy się na pierwsze podwórko".

Hitlerowcy metodycznie podpalali dom za domem, z piwnic wyprowadzano ludność cywilną, mordując od razu słabych i chorych. W szpitalach ranni powstańcy płonęli żywcem, a na podwórzach rozstrzeliwano lekarzy i sanitariuszki.

W Szpitalu pod Krzywą Latarnią (ul. Podwale 25) zbrodnie przybrały wyjątkowy charakter. Gdy wpadli tam żołdacy z oddziałów RONA, jeden z nich znalazł patefon i odtwarzał raz za razem polski hymn, a reszta gwałciła i mordowała. Chwilę później szpital stanął w ogniu.

Sanitariuszka Danuta Ślązak
FOT. MUZEUM POWSTANIA WARSZAWSKIEGO

Szczątki powstańców zamordowanych przez Niemców w szpitalu przy ul. Długiej 7 FOT. LEONARD SEMPOLIŃSKI, ZASOBY IPN

Danuta Ślązak („Blondynka") wyciągnęła z zadymionej sali narzeczonego, a następnie wróciła po innych. Łącznie wydostało się ponad 20 osób, które w kłębach dymu i ognia przedarły się na podwórze.

„Choć już zapadł zmierzch, było jasno od pożarów – opisywała po latach »Blondynka«. – […] Podwórze zaścielały stosy trupów. To byli ranni, którzy wyszli wcześniej i zostali zabici. To były nagie dziewczęta, zgwałcone i bestialsko zamordowane. Ich ciała pokrywał popiół, sypały się na nie rozżarzone głownie, niesione wiatrem z płonącego budynku. Słychać było skwierczenie i roznosił się swąd palących się ciał".

Danuta Ślązak zrobiła ścieżkę pomiędzy zwałami trupów i kolejno ciągnęła za sobą najciężej rannych. Za nią czołgali się ci, którzy mogli się poruszać o własnych siłach. Jak wspominała, „tu również dolatywały płonące głownie. Wśród wielu zabitych leżało kilku rannych ze szpitala przy Długiej 7. Był tam chłopiec z otwartym złamaniem podudzia, z którego sterczała kość piszczelowa. Wyskoczył z piętra przez okno, gdy własowcy zaczęli strzelać do rannych. Od postrzału w głowę wypłynęło mu oko. Był przytomny i krzyczał rozpaczliwie:

– Koledzy! Nie zostawiajcie mnie".

Zaskoczony Niemiec

Sceny, które rozgrywały się na Starówce, szokowały nawet żołnierzy niemieckich. W walkach brali bowiem także udział ludzie z poboru, którzy wcześniej nie widzieli podobnej orgii zbrodni.

„W drzwiach stanęła pielęgniarka z małą białą flagą – wspominał saper Mathias Schenk. – Weszliśmy do środka z nastawionymi bagnetami. Ogromna hala z łóżkami i materacami na podłodze. Wszędzie ranni. Oprócz Polaków leżeli tam ciężko ranni Niemcy. Prosili, żeby nie zabijać Polaków […]. Ale za nami biegli już dirlewangerowcy [...]. SS-mani rozstrzelali wszystkich rannych. Rozwalali im głowy kolbami. Niemieccy ranni krzyczeli i płakali. Potem dirlewangerowcy rzucili się na siostry, zdzierali z nich ubrania. Nas wypędzili na wartę. Słychać było krzyki kobiet".

Właściwie wszystkie relacje ocalałych z tej rzezi są do siebie bardzo podobne. Masakry w powstańczych szpitalach przybrały nieprawdopodobne rozmiary. Nielepiej traktowano placówki cywilne oznaczone flagą Czerwonego Krzyża, jak choćby Szpital „Czarny Łabędź" przy Podwalu 46.

„Do szpitala wtargnęła nowa grupa Niemców – relacjonowała sanitariuszka Maria Przyborowska – w zielonych mundurach z odznakami SS na kołnierzu. Przybyły w tej grupie oficer polecił mi rozbandażować rannych, następnie obejrzał rany wszystkich leżących, po czym polecił zabandażować ich z powrotem. Z kolei rozdał wszystkim po kieliszku wódki. Oficer ten wydał mi rozkaz zabrania opatrunków i udania się razem z żołnierzem niemieckim w celu opatrzenia rannych Niemców. Żołnierz, który mnie wyprowadził, zabronił mi oglądania się w kierunku szpitala. Szliśmy do placu Zamkowego. Mniej więcej koło numeru 15-go przy ul. Podwale idący przede mną mężczyzna z tobołkiem upadł, a prowadzący mnie żołnierz strzelił mu z rewolweru w głowę. Obejrzałam się w tej chwili i zobaczyłam, że szpital »Czarny Łabędź« stoi w płomieniach. Od strony szpitala »Pod Krzywą Latarnią« czołgała się jakaś kobieta".

Pacyfikacja Starówki pochłonęła tysiące ofiar. Niemcy zamordowali tam najprawdopodobniej 1–1,5 tys. rannych w szpitalach i ok. 3 tys. cywilów.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

WYBRANA BIBLIOGRAFIA:

Blichewicz Z., ***„Tryptyk powstańczych wspomnień: Dni »krwi i chwały«, czyli obłędu i nonsensu";*** *Davies N.,* ***„Powstanie '44";*** *Gałkowa D.,* ***„Byłam warszawskim Robinsonem";*** *Hałko L.,* ***„Kotwica herbem wybranym";*** *Kołodziejczyk E.,* ***„Tryptyk Warszawski – Wypędzenie – Dulag 121 – Tułaczka";*** *Mańkowska J., Janowski J., Janaszek-Seydlit M.,* ***„Rzeź Woli",*** *www.sppw1944.org/index.html?/powstanie/wola_rzez.html; Pawlina S.,* ***„Czarna sobota na Woli – 5 sierpnia 1944",*** *www.historia.org.pl/2011/08/05/czarna-sobota-na-woli-5-sierpnia-1944-r; Zawodny J.K.,* ***„Uczestnicy i świadkowie powstania warszawskiego. Wywiady".***

eprasa.pl 9c1b920042

W powstańczym szpitalu

FOT. EUGENIUSZ LOKAJSKI, ZE ZBIORÓW IPN

Relacje z piekła szpitalnych masakr

Wspomnienia MARII SURYN, która 5 sierpnia 1944 r. była świadkiem zbrodni w Szpitalu św. Łazarza

Żołnierze rzucali granaty wielkości jajka. Z chwilą rzucenia granatu rozlegały się jęki rozrywanych. Widziałam, że granaty rzucało trzech żołnierzy [...]. W zewnętrznym rogu drugiej sali stały matki z drobnymi dziećmi. Do tej grupy [...] żołnierze zaczęli rzucać granaty. Widziałam, jak małe dziecko podpełzło do pierwszego z żołnierzy, rzucających granaty, i zaczęło go całować po butach, a także jak żołnierz odrzucił to dziecko. Dzieci strasznie krzyczały.

Wiśniewska M., Sikorska M., „Szpitale powstańczej Warszawy"

KRYSTYNA WIŚNIEWSKA-ŻOTKIEWICZ ps. Gejsza, sanitariuszka III Zgrupowania AK „Konrad", opowiadająca o okolicznościach śmierci bł. o. Michała Czartoryskiego

W nocy z 5/6 września nasze dowództwo zdecydowało, że będziemy wycofywać się do Śródmieścia. Zdecydowano też, że ciężko ranni powstańcy, ci leżący, zostaną w szpitalu z kilkoma sanitariuszkami. Byłam jedną z nich. Ojciec Michał nie poszedł do Śródmieścia. Został też z rannymi. Czekaliśmy razem na wkroczenie Niemców. Pamiętam dobrze ostatnią Mszę św., którą o. Michał odprawił raniutko w dniu upadku Powiśla. Modlił się wtedy jak zawsze bardzo żarliwie. Wzmacniał tą modlitwą naszą wiarę, dawał nam siłę, tak bardzo nam przecież potrzebną. Szczególnie utkwiło mi w pamięci to, jak o. Michał rozdawał rannym i nam sanitariuszkom komunikanty, po kilka, do ostatniej kruszyny, aby nie dostały się w ręce wroga i nie były zbezczeszczone. I tak posileni, z Bogiem, ciągle podtrzymywani na duchu rozmowami z o. Michałem, czekaliśmy końca. Mieliśmy jednak nadzieję, że rannych Niemcy nie rozstrzelają, że ci bezradni cierpiący będą oszczędzeni. Strzały coraz bardziej się zbliżały. Koło południa Niemcy weszli do szpitala. Nas – sanitariuszki – wyprowadzili na gruzy Powiśla. Wszystkich rannych rozstrzelali. Ojca Michała też – zaraz potem, przy pobliskiej powstańczej barykadzie.

www.czartoryski.dominikanie.pl

Powojenne zeznanie KS. BERNARDA FILIPIUKA, kapłana, który przeżył zagładę Szpitala Wolskiego

W chwili wybuchu powstania leżałem po operacji w Szpitalu Wolskim. [...] dnia 5 sierpnia Niemcy znowu wkroczyli do Szpitala Wolskiego już w większej liczbie; zapełnili hol i korytarze. Wśród nich byli Ukraińcy i Gruzini z napisami na opaskach „Georgien". Było to wojsko frontowe SS, nie wyłączając członków Legionów Wschodnich w służbie niemieckiej. O godzinie mniej więcej pierwszej w południe oficer niemiecki z dwoma SS-manami wkroczył do gabinetu dyrektora szpitala dr. Piaseckiego, przy którym byli prof. dr Zejland i ks. kapelan szpitala. Po zapytaniu, kto jest naczelnym lekarzem, a kto są ci dwaj inni, oficer ten sam osobiście ich trzech zastrzelił.

Do mego pokoju wpadł także Niemiec i krzyczał „raus" i pobiegł do następnych

eprasa.pl 9c1b920042

pokoi [...]. Byłem tylko w pidżamie i boso. Przed szpitalem stał już długi szereg ludzi czwórkami: chorzy w koszulach i szlafrokach szpitalnych, lekarze, siostry, sanitariusze i sanitariuszki oraz ci, którzy schronili się do szpitala w pierwszych dniach powstania [...]. Po wyprowadzeniu wszystkich ze szpitala poprowadzono nas pod ścisłym konwojem ul. Płocką, a dalej Górczewską w kierunku wiaduktu kolei obwodowej.

[...]

Gdy nas przyprowadzono na to podwórko, stało jeszcze kilka 12-tek ludzi przede mną z fabryki, wziętych chorych i zdrowych oczekujących na swoją śmierć [...]. Stałem na tym podwórku może 15–20 minut i widziałem dokładnie, jak przede mną rozstrzeliwano każdą dwunastkę ludzi, strzelając w plecy. Widziałem też, że po salwie gestapowiec dobijał jeszcze rannych z rewolweru, celując w głowę. Trupami było już założone jakieś 3/4 tego podwórka, niektóre z nich bliżej płonących domów paliły się. W tym oczekiwaniu na swoją bezpośrednią śmierć ks. Żychoń, misjonarz z Krakowa, który jako chory był w Szpitalu Wolskim, udzielił wszystkim generalnego rozgrzeszenia, a ja jemu; po czym na wezwanie jednego chorego odmówiliśmy głośno po raz ostatni „Ojcze nasz". Przy ostatnich słowach „Ojcze nasz" gestapowiec krzyknął: naprzód! Jedna chwilka, a usłyszałem po niemiecku „ognia". Padła salwa, a ja przewróciłem się razem z ks. Żychoniem, który mnie słabego po operacji trzymał cały czas pod rękę – on mnie też za sobą pociągnął. Od razu zorientowałem się, że żyję i nie jestem ranny, ale zacząłem udawać trupa, wiedząc, że gestapowiec dobija żyjących.

Relacja ANDRZEJA TYMOWSKIEGO, ciężko rannego żołnierza „Parasola", który wspominał przeżycia ze Szpitala Karola i Marii (6 sierpnia 1944 r.)

Rano szpital znalazł się znowu na linii frontu. Obsadzili go Niemcy. W sąsiednich zabudowaniach broniły się oddziały powstańców. Ogień wystrzałów wzmagał się. Nad leżącymi rannymi i dziećmi, w większości niemowlętami, przelatywały kule. Kilkoro dzieci zostało trafionych [...]. Mijały minuty, godziny [...]. W każdym razie słońce przeszło już zenit, kiedy znowu nadciągnęły siostry. Nie protestował [Tymowski mówił o sobie – przyp. red.], gdy go wzięły na nosze i, obłożonego dla niepoznaki dziećmi, zaczęły nieść. Napotkali patrol. Jakiś Niemiec przyłożył mu rewolwer do skroni. Zdawało się, że to koniec. Prośby sióstr, odrywanie ręki. „To brat", jedna z sióstr zerwała prześcieradło, wskazała brak nogi. Chwila wahania Niemca. „Tak, to mu wystarczy, możecie iść". Szli zawalonymi ulicami, pośród wypalonych domów. Był ocalony.

Wiśniewska M., Sikorska M., „Szpitale powstańczej Warszawy"

Wspomnienia WANDY PUGET, sanitariuszki ze 104. Kompanii Syndykalistów, na temat masakry w szpitalu przy ul. Długiej 7

Noc wydawała się koszmarna, ale niczym była wobec następującego po niej dnia. Był to 2 września. O świcie dostaliśmy wiadomość, że wojska już nie ma i Niemcy przeszli barykady. Dnia poprzedniego ogłaszali oni podobno przez megafony, że cała ludność naszej dzielnicy ma pod groźbą utraty życia wyjść o godzinie 6 rano z białymi chustkami do placówek niemieckich. Szpital postanowił nie ruszać się, bo zresztą technicznie byłoby to nie do wykonania. Wiadomość o poddaniu się dzielnicy (nie wojska) była dla nas okropna, niemniej zapowiadała moment, któregośmy wszyscy oczekiwali – koniec bombardowania. Tymczasem o godzinie 6.30 nadleciały znów sztukasy. Bombardowanie powtórzyło się jeszcze po raz drugi i wreszcie przy trzecim nalocie rakiety sygnalizacyjne rzucane przez Niemców dały temu kres [...]. Pierwsi z nich zjawili się u nas około godziny 7.30. Byli to esesmani i wehrmachtowcy. Jeden z nich, wskoczywszy oknem, przeszedł się po salach i w pewnej chwili, znalazłszy u jednego z chłopców wciśnięte pod głowę niemieckie spodnie, odezwał się, ku naszemu zdziwieniu, po polsku: „Schować to! Nie ważcie się tego pokazywać!". Okazało się, że był Ślązakiem. Następny jednak, który wszedł – a był to już esesman – „uratował honor" niemieckiego żołnierza. Spojrzawszy po leżących wycedził: „Die jungen polnischen Banditen" i przeszedł dalej, gdzie bez słowa pytania wymierzył kolejno z pistoletu do trzech młodych chłopców.

Encyklopedia Medyków Powstania Warszawskiego (lekarzepowstania.pl)

Relacja ZOFII MICHALIK-KRAWCZYK ps. Zorza, w czasie powstania warszawskiego służącej na terenie Obwodu V „Mokotów"

W 1944 r. byłam medyczką, z ukończonymi trzema latami studiów w Szkole doc. Zaorskiego i na tajnym Uniwersytecie Poznańskim. Od jesieni 1939 r. należałam do ZWZ-AK i pełniłam funkcję łączniczki. Od pierwszych dni powstania uczestniczyłam w udzielaniu pomocy rannym razem z moją koleżanką Janina Załęską (Małgorzatką). Pomoc ta polegała głównie na transportowaniu na noszach rannych do szpitala Elżbietanek. Następnym moim przydziałem była funkcja sanitariuszki w oddziale dowodzonym przez dr. Tadeusza Jankowskiego (Dr Wiesław).

W czasie powstania uczestniczyłam w wielu akcjach: w dniach 5–6 IX przy ratowaniu rannych i poparzonych ludzi z ul. Olesińskiej do szpitala Elżbietanek, w oddziale sanitarnym w czasie akcji bojowej na Sadybie i przy wycofywaniu się z Sadyby, podczas zrzutów i wielu innych. Pod koniec powstania z ul. Pilickiej, gdzie była nasza kwatera, wycofaliśmy się przez Park Dreszera pod obstrzałem artylerii na ul. Bałuckiego. Tam znajdował się szpital dla rannych. Wraz z Małgorzatką podjęłyśmy decyzję pozostania z rannymi bez względu na konsekwencje. Obserwowałyśmy tylko i żegnaliśmy się z kolegami schodzącymi do kanałów. Wśród nich była moja siostra, sanitariuszka Zdzisława.

Po wkroczeniu Niemcy kazali nam natychmiast opuścić szpital i ustawiono nas pod czołgiem z rękami podniesionymi do góry. Na szczęście obok przechodził tłum mieszkańców Mokotowa i udało się nam z Małgorzatką uciec, mieszając się z tłumem. Potem tułaczka i droga pieszo, czasem pociągiem do Krakowa. Tam dowiedziałam się, że moi rodzice zginęli – ojciec na Starówce, a matkę rozstrzelali Niemcy pod cytadelą. Była ranna. Mój pierwszy mąż, Janek Barszczewski (przydział Kedyw), zginął na Stawkach i jest pochowany na Powązkach.

„Powstanie Warszawskie i Medycyna", t. 1, Pamiętnik Towarzystwa Lekarskiego Warszawskiego

Wybrał: Piotr Włoczyk.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9c1b920042

Piotr Włoczyk

1944 r. / Medycy w piekle powstania

W ogień za rannymi

Służby medyczne AK w czasie powstania dokonywały rzeczy niemożliwych. Wspomnienia powstańców pełne są historii, które zapierają dech w piersiach

Maria Gutowska (z domu Płachecka) miała zginąć w masowej egzekucji już pierwszego dnia powstania. W miejscu, gdzie po wojnie komuniści zbudowali gmach KC PZPR, stał wówczas budynek, w którym zbierali się powstańcy. Maria Gutowska (ps. Dźwina, Mulka) przyprowadziła tam tuż przed Godziną „W" pięć wyszkolonych przez siebie sanitariuszek. Jednak wieczorem Niemcy otoczyli kamienicę i wyprowadzili na zewnątrz wszystkich zebranych tam młodych ludzi.

„To była chwila potwornego napięcia – wspominała w rozmowie ze mną Maria Gutowska (1920–2018). – Niemcy już się szykowali do rozstrzelania nas, ale... pojawił się jakiś oficer, który odwołał egzekucję! Okazało się, że Niemcom potrzebnych było jeszcze więcej zakładników. Zaprowadzili nas wszystkich do podziemi Muzeum Narodowego. Piwnice pełne były ludzi, potem gdzieś czytałam, że było nas tam w sumie ponad 3 tys. osób. Ścisk niemożliwy, ja spałam na gipsowych figurkach Józefa Piłsudskiego".

Do pękających w szwach piwnic muzeum Niemcy wkrótce zaczęli przywozić rannych. Okoliczni mieszkańcy, widząc ten dramat, przynosili do Muzeum Narodowego domowe apteczki i różne tkaniny, z których można było robić dla rannych bandaże.

„Tylko jak my mieliśmy im pomagać, skoro nawet jedzenia nie było? Było za to potwornie gorąco i trudno się oddychało, ponieważ tuż obok nas płonęły kamienice. W takich warunkach niewiele mogłyśmy zrobić dla ciężej rannych" – opowiadała Maria Gutowska, wówczas 24-latka, która miała za sobą ukończoną szkołę pielęgniarską i dwa lata medycyny. Swój „chrzest" szpitalny przeszła pięć lat wcześniej w Żyrardowie, gdy opatrywała rannych żołnierzy trafiających tam z pola bitwy nad Bzurą.

Niemcy uwolnili w końcu z piwnic Muzeum Narodowego kobiety, dzieci i starców. „Mulka" od razu dołączyła do zespołu pracującego w ambulatorium przy ul. Wspólnej, ale już po kilku dniach dostała przydział do Szpitala Polowego nr 1 „Blaszanka" na Czerniakowie. Mieścił się on przy ul. Przemysłowej 19/21 w Fabryce Opakowań Blaszanych „Tłocznia".

„Patrząc przez dziurę między murami, widziałam stamtąd stadion Legii pełen Niemców. »Blaszanka« mieściła się na pierwszej linii frontu, w związku z tym stacjonowali u nas żołnierze AK. Kiedyś nawet wybuchł u nas granat. Lekko ranny został komendant szpitala dr Piotr Załęski »Karolek« i jego syn. Ja byłam tylko lekko draśnięta w łydkę, ale straciłam wtedy swoją młodzieńczą wiarę, że jestem nietykalna (śmiech) – opowiadała »Mulka«. – U nas była przede wszystkim chirurgia, głównie przeprowadzaliśmy amputacje rąk i nóg. Mieliśmy kilka takich operacji dziennie. Drugim lekarzem był chirurg Eugeniusz Zarzycki ps. Łysy. Towarzyszyłam cały czas dr. »Łysemu« jako instrumentariuszka. To właśnie

eprasa.pl 9c1b920042

Patrol sanitarny Wojskowej Służby Kobiet

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

w »Blaszance« nauczyłam się, jak poprawnie przeprowadzać amputacje: jak dużo skóry trzeba zostawić nad kością, żeby po amputacji zaszyć potem odpowiednio ranę. To ja wybierałam miejsce do cięcia".

Warunki w powstańczym szpitalu były oczywiście iście spartańskie, według mojej rozmówczyni wręcz „XIX-wieczne". Nie było autoklawu do odkażania narzędzi chirurgicznych, maszyny rentgenowskiej czy tak podstawowych medykamentów jak choćby surowica przeciwtężcowa. W końcu zabrakło nawet chloroformu do usypiania, więc operacje trzeba było wykonywać na „żywca".

„Drugą najczęstszą operacją było usuwanie odłamków. Poza tym wielokrotnie musieliśmy zajmować się ciężkimi oparzeniami po wybuchach tzw. krów – wspominała »Mulka«. – Bardzo często musieliśmy również opatrywać ropiejące rany podudzi. To było charakterystyczne obrażenie u łączniczek. Brało się to stąd, że Niemcy byli na tyle perfidni, że oprócz zrzucania do kanałów granatów wrzucali tam też zwoje drutu kolczastego".

„Blaszanka" była w stanie przyjąć maksymalnie ok. 200 pacjentów. Było to ogromne obciążenie dla szczupłego personelu szpitala. We wrześniu sytuacja na Czerniakowie stała się makabryczna. Wobec ogromu rannych część pacjentów trzeba było umieścić w sąsiednim kościele. Gdy Niemcy kilka dni później zbombardowali świątynię, w jej gruzach zginęło kilkudziesięciu chorych.

Gdy Niemcy podeszli niebezpiecznie blisko „Blaszanki", zapadła decyzja o ewakuacji szpitala do budynków fabryki przy ul. Czerniakowskiej 199, tzw. Citroënki. I wtedy nad chorymi i personelem zawisła groźba eksterminacji.

„15 września wpadli do nas esesmani. Doktor Przyżycki próbował im wyjaśnić, że leżą u nas jedynie ranni cywile, ponieważ wycofujący się powstańcy zabrali swoich ludzi. Mieliśmy wtedy dwóch rannych Niemców, którym zmieniałam opatrunki. Wcześniej nasi chłopcy z AK chcieli ich zabić, ale nie pozwoliłam na to – to byli moi chorzy, więc byli pod moją ochroną. Potwierdzili, że leżą u nas sami cywile. Może dzięki temu nas wszystkich wtedy nie zabili? – zastanawiała się w rozmowie ze mną Maria Gutowska. – W każdym razie Niemcy zrobili sobie u nas w »Citroënce« bazę. Przez tydzień stracili około połowy ludzi. Były dni, że po powrocie z akcji w odwecie za swoje straty wyciągali naszych rannych i ich rozstrzeliwali".

23 września upadł przyczółek czerniakowski. Niemcy dopiero 26 września pozwolili wyprowadzić z piwnic „Citroënki" lżej rannych. Ale przecież nie brakowało też pacjentów w tragicznym stanie…

„Około czterdziestu ciężko rannych musieliśmy zostawić w »Citroënce«. Nie wiadomo, co się z nimi stało" – mówiła „Mulka".

Po wojnie Maria Gutowska dokończyła studia medyczne i była cenioną lekarką; pracowała w szpitalach klinicznych w Łodzi i w Warszawie jako specjalistka chorób wewnętrznych i hematologii. W 1990 r., w wieku 70 lat, otrzymała tytuł profesora zwyczajnego nauk medycznych.

Obrazek Jezusa

Helena Majkowska ps. Ela (ur. 1926 r.) miała podobne przeżycia jak Maria Gutowska. Również ona znalazła się w grupie osób przeznaczonych do rozstrzelania. Doszło do tego 27 września, gdy na ul. Dworkowej Niemcy wyciągnęli z kanałów grupę młodych Polek przedzierających się z Mokotowa do Śródmieścia.

eprasa.pl 9c1b920042

„Cały dzień szłyśmy kanałami. To jest coś niewyobrażalnego dla ludzi żyjących dziś. Woda po pas, smród, od którego kręciło się w głowie, spuchnięte trupy, przez które trzeba było się przedzierać, szczury i wreszcie granaty i gaz, które do studzienek wrzucali Niemcy. Szliśmy wzdłuż ścian, trzymaliśmy się lin i modliliśmy się, żeby nie zabłądzić. Okazało się, że nie da się wyjść w Śródmieściu. Wszędzie, gdzie próbowaliśmy, byli już Niemcy. W końcu padły dramatyczne słowa: trzeba wracać na Mokotów – mówiła w rozmowie ze mną Helena Majkowska, która w czasie powstania warszawskiego była sanitariuszką i łączniczką w V Obwodzie (Mokotów) AK.
– Na Dworkowej Niemcy wyciągnęli nas z kanałów, krzycząc »Raus, raus!«. Wokół studzienki stali esesmani z karabinami. Było nas 40 dziewczyn, prawie wszystkie to sanitariuszki i łączniczki z Pułku Baszta. Nogi nam się uginały z przerażenia. Esesmani kazali nam się położyć na ulicy. Jedna z dziewczyn dobrze znała niemiecki i przekazała reszcie, że właśnie planują naszą egzekucję…”.

Oficer dowodzący akcją wyciągania powstańców z kanałów kazał rozstawić karabin maszynowy. Młode Polki leżały na bruku dwie godziny, czekając na śmierć. Helena Majkowska zauważyła, że tuż obok niej leży obrazek Jezusa Miłosiernego. Trzymała go przy sercu, powtarzając: „Panie Boże, ufam Tobie, wiem, że nie zginę. Matko nieustającej pomocy, wspomóż mnie. Spraw, abym wróciła do domu”. Moja rozmówczyni wspominała, że w tym czasie Niemcy wyłapali młodych mężczyzn, którzy wyszli z tego samego włazu, i rozstrzeliwali ich za rogiem.

W końcu doszło do powtórki sytuacji, która przydarzyła się 1 sierpnia Marii Gutowskiej.

„Przyszedł jakiś inny niemiecki oficer i zaczęła się kłótnia. Efekt był taki, że rozstawiony już karabin maszynowy został zabrany. Niemcy kazali nam wstać, ustawili nas w czwórki i popędzili. Odchodząc stamtąd, widziałam, że kilkanaście innych dziewczyn wciąż klęczy przy ścianie. Nie wiem, co się z nimi stało – czy je rozstrzelali czy nie? Wciąż się nad tym zastanawiam… – wspominała „Ela”.

Jako sanitariuszka służyła m.in. w Szpitalu Elżbietanek na Mokotowie przy ul. Seweryna Goszczyńskiego. 29 sierpnia, akurat gdy AK-owcy otrzymali pełne prawa kombatanckie, Niemcy zbombardowali ten szpital, chociaż był on wyraźnie oznaczony jako placówka medyczna.

Maria Gutowska

FOT. PIOTR WŁOCZYK

Helena Majkowska

FOT. ARCHIWUM HISTORII MÓWIONEJ IPN

„Niemcy rzucali bomby zapalające, które się rozrywały w piwnicach. Ludzie byli cali popaleni. To były potworne sytuacje. Jak karmić człowieka, któremu spłonęła twarz?” – pytała „Ela”.

Po kapitulacji powstania Helena Majkowska została wywieziona do KL Stutthof i po kilkumiesięcznym pobycie tam cudem przeżyła marsz śmierci z tego obozu.

Esesman i trzy sanitariuszki

Gdy rozmawiałem na temat powstania warszawskiego z Wacławem Gluth-Nowowiejskim (1926–2024) ps. Wacek, w jego opowieściach powracał temat poświęcenia ze strony sanitariuszek. Było to o tyle zrozumiałe, że trzy sanitariuszki, spieszące z pomocą jego drużynie, która znalazła się w śmiertelnej pułapce, zginęły wtedy w makabrycznych okolicznościach.

„Ich odwaga była zdumiewająca. Pamiętajmy, że nie tylko biegały wśród kul z torbami pełnymi opatrunków, ale niektóre z nich chwytały też za karabiny – wspominał Gluth-Nowowiejski, który służył wówczas w zgrupowaniu »Żmija« na Żoliborzu i dowodził drużyną. – W naszym oddziale wszystkie dziewczyny były niezwykle cenne. Biegały do ciężko rannych, gdy wszystko dookoła się paliło, a nad głowami świstały kule. Dla Niemców nie miało żadnego znaczenia, że te dziewczyny nosiły opaski z czerwonymi krzyżami, ale nasze sanitariuszki i tak nigdy nie wahały się wskoczyć w ogień dla ratowania rannych. Pod koniec powstania byłem świadkiem potwornej historii”.

13 września „Wacek” dostał z kolegami „zadanie specjalne”. Grupka powstańców miała podejść pod obiekt AWF na Marymoncie, który zajmowali Niemcy, i upewnić się, że nikt nie będzie z niego wychodził.

Jednak Polacy szybko zostali zauważeni przez Niemców, którzy zaczęli ich ostrzeliwać. Powstańcy rzucili się więc w stronę stojącego nieopodal samotnego domu w stanie surowym. Do rannych żołnierzy AK dobiegły trzy sanitariuszki. „Wacek” był poważnie ranny w rękę.

„Opatrywała mnie Basia, najstarsza z trzech sanitariuszek. Miała wtedy jakieś 21 lat. Wzruszyło mnie, jak bardzo przejmowała się moim stanem, bo widać było, że duże wrażenie robiła na niej ta rana. Po założeniu opatrunku przeżyłem cudowny moment. Basia na koniec pogłaskała mnie po policzku i powiedziała: »Będzie dobrze…«” – wspominał w rozmowie ze mną Wacław Gluth-Nowowiejski.

Po chwili na miejsce dotarły znaczne siły wroga i rozpoczęło się piekło. Polscy żołnierze schronili się w piwnicy, do której Niemcy wrzucali wiązki granatów.

„Dziewczyny znalazły w piwnicy jakąś dziurę, przez którą wyskoczyły i początkowo wydawało się, że nikt ich nie widzi. Drogę zagrodził im samochód pancerny z esesmanami w środku. Okoliczni mieszkańcy, którzy to widzieli i złożyli potem relacje, mówili, że jeden z esesmanów, roześmiany, sięgnął po pistolet maszynowy. Dziewczyny widząc to, przytuliły

eprasa.pl 9c1b920042

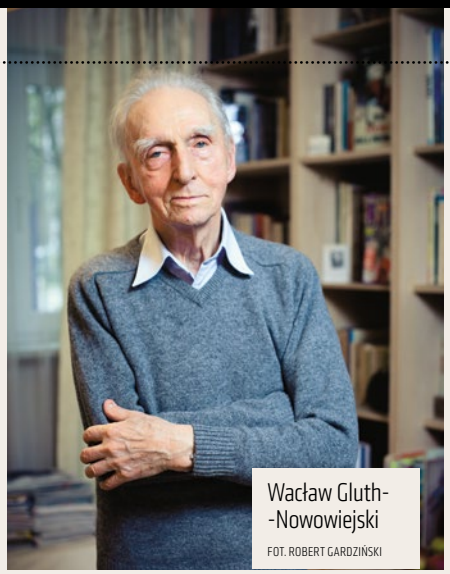
Wacław Gluth-Nowowiejski
FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Zofia Czekalska
FOT. M. WŁODARCZYK/FORUM

się do siebie… Niemiec nie wychodził nawet z auta. Posłał w ich kierunku serię. Sanitariuszki upadły, ale jemu wciąż było mało. Podszedł do nich i dla pewności strzelił do każdej z bliska… Wszystkie zostały pochowane w tym miejscu przez okolicznych mieszkańców. Zabite dziewczyny to »Baśka«, »Leśna« i »Zgrzebna«, czyli Wanda Bakiera, Barbara Siwińska i Danuta Golenko" – mówił „Wacek".

On sam, ciężko ranny, cudem wydostał się ze spalonego przez Niemców domu (udawał, że nie żyje) i kolejne sześć tygodni przeleżał w ukryciu w gruzach Warszawy, stając się jednym z „Robinsonów".

W serce „Zosi"

„Bardzo możliwe, że poszłam wtedy po opatrunki albo jakieś leki. Bo w chwilach wolnych od roboty typowej łączniczki zajmowałam się przygotowywaniem leków i opatrunków albo przenoszeniem tych materiałów do punktów opatrunkowych i szpitali. W każdym razie załatwiłam już, co miałam załatwić, i wychodzę z mieszkania. Nagle słychać ryk. Potworny, przeraźliwy ryk. Krowa… – opowiadała mi Zofia Czekalska ps. Sosenka (1923–2024), łączniczka Centralnej Składnicy Aptecznej odcinka zachodniego, mieszczącej się przy ul. Siennej 41. – Huknęło, zatrzęsło się wszystko, siła podmuchu rzuciła mnie na ścianę. Dym, pył, nic nie widać, w uszach dzwoni. Kilka pięter tej kamienicy dosłownie runęło. Z klatki schodowej było widać ulicę tam, gdzie powinny być mieszkania. Stoję na tej klatce schodowej przerażona. Mieszkania, w którym przed sekundą byłam, już nie ma. Jak tylko chłopaki ode mnie to usłyszeli, od razu ruszyli do tej kamienicy na ratunek, bo wiedzieli, że tam poszłam. Byli uradowani, że przeżyłam, ale pytają, czy wszystko ze mną dobrze, czy nic mnie nie boli. Pomacałam się po całym ciele – nie, wszystko dobrze, nic mi się nie stało".

„Sosenka" zajmowała się m.in. zaopatrywaniem lekarzy i sanitariuszek, całymi godzinami wytwarzając domowymi sposobami bandaże i leki (jak zastrzegała – „według instrukcji lekarza znającego się na rzeczy"). W jej pamięci szczególnie zapadł moment, gdy podczas „polowania" na zrzuty jedna kula przerwała życie jej koleżanki.

„Poszliśmy w grupce chłopaków i dziewczyn po zrzuty. Nieraz to robiliśmy. Mnie szczególnie interesowały zasobniki z medykamentami. Profesjonalne leki i bandaże były jednak o niebo lepsze od tego, co chałupniczo byliśmy w stanie wyprodukować. Czekaliśmy, aż z nieba zaczną spadać zasobniki. Stałam obok koleżanki, którą bardzo polubiłam. Wiem tylko, że miała pseudonim Zosia. Trzymamy się dla otuchy za ręce i wpatrujemy się w niebo. Nagle »Zosia« upada. Tak po prostu zwaliła się z nóg. Dostała postrzał prościutko w serce. To była piękna dziewczyna i w jednej sekundzie już jej nie było. Strzał oddał »gołębiarz«, czyli niemiecki snajper. Serce skoczyło mi do gardła, musiałam błyskawicznie uciekać, bo następna kula mogła być dla mnie. To była taka loteria w czasie powstania".

Pod koniec powstania dowódca „Sosenki" zdecydował, że lepiej będzie, jeżeli nie wyjdzie ona z Warszawy z wojskiem, tylko pojedzie razem z personelem medycznym. Dlatego dopisał jej w papierach jedno słowo: „sanitariuszka". „I rzeczywiście wyjechałam z Warszawy razem z rannymi. Po kapitulacji Niemcy zgromadzili przy ul. Zielnej chorych ze szpitali. Teraz jest tu Pałac Kultury. Ja organizowałam leki i jedzenie – mówiła Zofia Czekalska. – Chodziłam po domach, prosiłam, błagałam o jedzenie, trochę mąki, jakieś ziemniaki. Cokolwiek. Ranni musieli mieć co zjeść. Gotowałam dla nich różne papki, piekłam dla nich placki i racuchy. Widziałam dramat, rezygnację pozostałych cywilów. Dwoje staruszków siedziało na swoich tobołkach w morzu ruin. Mówię do nich: »Wychodźcie z Warszawy razem z cywilami!«. A oni na to: »Nigdzie nie idziemy, nasze dzieci tu zostały…«".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

W drodze do szpitala powstańczego FOT. REPRODUKCJA RSW/FORUM

eprasa.pl 9c1b920042

Sierpień–wrzesień 1944 r. / Wola, Stare Miasto, Czerniaków

Śladami zbrodni i walk

Eksplozja pocisku 600 mm. na gmachu „Prudentialu"

FOT. SYLWESTER „KRIS" BRAUN, MUZEUM WARSZAWY

Tomasz Stańczyk

Warszawskie ulice ponaznaczane są miejscami pamięci o męczeństwie ludności cywilnej, walce i śmierci powstańców, układającymi się w swoistą drogę krzyżową dziesiątków tysięcy ludzi

Trzeciego dnia powstania żołnierze batalionu „Parasol" zajęli pozycje w pałacyku, a właściwie kamienicy Michlera leżącej przy ul. Wolskiej. Mieli stamtąd blokować oddziały niemieckie, które nadchodziły od zachodu. Walki przy ul. Wolskiej trwały do 5 sierpnia, gdy sierż. Janusz Brochwicz-Lewiński „Gryf", dowódca placówki w pałacyku Michlera, dostał rozkaz wycofania się. W tamtych dniach, w ogniu walki lub niedługo później, Józef Szczepański „Ziutek", 21-letni żołnierz „Parasola", ułożył słowa „Pałacyku Michla", jednej z najbardziej znanych piosenek powstańczych. Rozpoczynała się ona od słów:

Pałacyk Michla, Żytnia, Wola,
bronią jej chłopcy od „Parasola",
choć na „tygrysy" mają visy –
to warszawiaki, fajne chłopaki – są!

Z tej zawadiackiej, optymistycznej piosenki, z zapowiedzią zwycięstwa nad Niemcami, mimowolnie przebijał tragizm: pistolety przeciw czołgom. Dzień później Jan Mazurkiewicz „Radosław", dowódca zgrupowania swego imienia, raportował do sztabu powstania: „Npl paląc kolejne domy, wycina ludność na Woli". Wskazywał na braki broni i amunicji, konkludując: „Kijem nikogo nie obronię".

Ulica Wolska to duża – niedotknięta jeszcze obłędem zwężania jezdni – arteria prowadząca od zachodu do centrum miasta. Nie wyróżnia się niczym szczególnym – ani urodą, ani imponującymi

eprasa.pl 9c1b920042

budynkami. A jednak jest to wyjątkowa ulica nie tylko w Warszawie, lecz także w całej Europie. Na żadnej innej ulicy podczas drugiej wojny światowej Niemcy nie wymordowali tak wielu cywilów. Historycy nie są zgodni, ile ofiar pochłonęła rzeź Woli (5–7 sierpnia 1944 r.). Szacunki są bardzo rozbieżne – od 15 do 65 tys. pomordowanych. Niezależnie od tego, ilu mieszkańców tej warszawskiej dzielnicy zamordowały niemieckie oddziały pod dowództwem generała SS Heinza Reinefartha (przyszłego burmistrza miasteczka Westerland w RFN i posła do Landtagu Szlezwika-Holtszynu), bardzo wielu z nich, a może nawet większość, zostało rozstrzelanych przy ul. Wolskiej.

Idąc tą arterią, po obu jej stronach dostrzeżemy tzw. tablice Tchorka, upamiętniające zbrodnie niemieckie w Warszawie. Oto kilka takich miejsc: Wolska 105/109 – domy Hankiewicza (2 tys. zamordowanych), Wolska 55 – fabryka Ursus (6–7,5 tys. zamordowanych), Wolska 41/45 fabryka Franaszka (4–6 tys. zamordowanych).

Oprawcy się śmiali

W grupie prowadzonych na rozstrzelanie na teren fabryki Ursus znalazła się ciężarna Wanda Lurie, z trojgiem swoich dzieci. „W pewnym momencie Ukrainiec stojący za nami strzelił najstarszemu synkowi w tył głowy, następne strzały ugodziły młodsze dzieci i mnie. Przewróciłam się na bok. Strzał oddany do mnie nie był śmiertelny. Kula trafiła w kark z lewej strony i przeszła przez dolną część czaszki, wychodząc przez prawy policzek". Wanda Lurie zeznawała, że oprawcy w przerwach w rozstrzeliwaniu rabowali kosztowności, których szukali u zabitych, pili wódkę, śpiewali, śmiali się. Po trzech tygodniach Lurie urodziła syna.

Przy cmentarzu prawosławnym Niemcy rozstrzelali 5 sierpnia 1944 r. grupę mieszkańców jednego z domów przy ul. Wolskiej, którzy schronili się w podziemiach cerkwi św. Jana Klimaka (Wolska 138/140). Wśród prowadzonych na śmierć był 11-letni Wiesio Kępiński.

„Ojciec mój szedł pierwszy – relacjonował Kępiński. – Ja z matką, która niosła Sylwusia na ręku, na końcu pochodu sześćdziesięciu jeden skazańców. Gdzieś

Wanda Lurie z synem Mścisławem

FOT. ARCHIWUM RODZINNE

w tym szeregu mój brat i jego żona w ciąży. Niosła w sobie dziecko, które nigdy nie ujrzało świata. Głosu mojej matki, która jak w obłędzie powtarzała »zabiją nas, zabiją...«, nie słyszę dziś. Jak to możliwe?".

Tuż przed salwą Kępiński uciekł sprzed luf plutonu egzekucyjnego, wbiegając na wał, pod którym stali skazańcy. Wtedy jeden z żołnierzy wystrzelił, raniąc go. Chłopiec spadł na drugą stronę wału, ale zdołał się dowlec na ul. Redutową. Zakrwawionym Wiesiem zajęła się mieszkająca tam kobieta. W 2006 r. cudem uratowany mężczyzna wydał wspomnienia zatytułowane „Sześćdziesiąty pierwszy". Miał być bowiem 61. ofiarą egzekucji.

Okolice cerkwi były miejscem jeszcze jednej potwornej niemieckiej zbrodni, dokonanej przez zbirów z oddziału Oskara Dirlewangera: zamordowania dzieci z prawosławnego sierocińca, ich opiekunów, a także prawosławnego ks. Teodora Protasewicza.

Niedaleko cerkwi znajduje się kościół św. Wawrzyńca. Tam, we wnętrzu świątyni, żołnierze niemieccy ranili śmiertelnie proboszcza, ks. Mieczysława Krygiera. Wkrótce po zakończeniu morderczej roboty Niemcy stworzyli Verbrennungskommando, do którego wcielili przymusowo ok. 100 Polaków. Ulica Wolska stała się wówczas upiornym krematorium pod otwartym niebem. Verbrennungskommando zajmowało się bowiem paleniem zwłok ofiar. Tadeusz Klimaszewski, jeden z zagonionych do tej potwornej pracy, pisał we wspomnieniach: „Z oddali dolatujący nas śmiech esesmanów grających w karty zabrzmiał nam teraz w uszach jak szatański śmiech. Pochyliliśmy się ku najbliższym zwłokom, twarze nasze były popielate, bez wyrazu. Tymczasem stos rósł, piętrząc się w koszmarną budowlę już trzecim pokładem drewna, ale zwalane zwłoki pięły się ciągle wyżej. Ludzie stojący na górze brnęli w nich po kolana, objęci zaduchem, wstrząsani torsjami" (T. Klimaszewski, „Verbrennungskommando Warschau").

Przy ul. Wolskiej 76 stoi kościół św. Wojciecha. Podczas powstania warszawskiego Niemcy zamienili świątynię w obóz przejściowy. Było to miejsce selekcji. Kobiety, dzieci i ludzi starszych kierowano stąd do obozu Dulag 121 w Pruszkowie. Ludzi podejrzanych o to, że są powstańcami poddawano przesłuchaniom, a niektórych rozstrzeliwano. Niemcy zabijali też w tym miejscu cywilów – liczbę ofiar szacuje się na ok. 400 (dulag121.pl). W kościele żołnierze niemieccy przebierali się w ornaty, pili wino z kielichów mszalnych, dopuszczali się gwałtów i grabieży.

Niewiele ponad rok po upadku powstania warszawskiego przy ul. Wolskiej założono Cmentarz Powstańców Warszawy, spoczywają na nim jednak nie tylko żołnierze AK, lecz także cywilne ofiary, razem 40 tys. ludzi.

„To właśnie na ten cmentarz zdążał ulicami Warszawy 6 sierpnia 1946 r. najdramatyczniejszy chyba kondukt pogrzebowy, jaki znała stolica. Otwarte wozy ciężarowe, otoczone milczącym tłumem zbolałych mieszkańców, wiozły 117 wielkich trumien z 8666 kg prochów ludzi spalonych na ulicach i podwórkach Woli, w okolicy Pawiaka i na terenie byłego getta, wreszcie siedzibie gestapo w al. Szucha" (K. Mórawski, „Przewodnik historyczny po cmentarzach warszawskich").

Osiem par tańczy mazura

Ulica Młynarska, odchodząca od ul. Wolskiej, prowadzi do cmentarzy ewangelicko-augsburskiego i kalwińskiego. Obie nekropolie były od 6 do 11 sierpnia miejscem walk Zgrupowania „Radosław", a pamiątką po nich są ślady kul na nagrobkach. To właśnie tam Stefan Bałuk wykonał jedną z najbardziej znanych fotografii z czasu powstania; mjr Alfons Kotowski „Okoń" prezentuje zdobytą flagę niemiecką ze swastyką. Przy cmentarzu kalwińskim 6 sierpnia zginęła 24-letnia Krystyna Wańkowiczówna „Anna", łączniczka w batalionie „Parasol", córka pisarza i reportera Melchiora Wańkowicza.

eprasa.pl 9c1b920042

Podczas okupacji studiowała historię na tajnym Uniwersytecie Warszawskim, miała po ojcu zdolności pisarskie.

W „Zielu na kraterze" Wańkowicz zamieścił relację łączniczki Zofii: „Leżeli sznurkiem, jeden za drugim. Siedmiu zabitych od strony ulicy Żytniej. Wszyscy mieli rany szyi lub głowy. […] dalej leżała Anna. Wsunęłam rękę pod panterkę: serce nie biło. Oczy miała półzamknięte. Usta rozchylone. Płynęła z nich krew. Już małym strumykiem. Kulę dostała w głowę". Ciała Krystyny nie udało się odnaleźć jej matce, Zofii Wańkowicz, podczas powojennych ekshumacji.

Niecałe dwa tygodnie wcześniej, 24 lipca 1944 r., w żoliborskim domu Wańkowiczów Krystyna obchodziła imieniny. Osiem par tańczyło mazura. Z tej szesnastki zginęło w powstaniu 14 dziewcząt i chłopców, a przedstawiona przez Wańkowicza relacja o ich śmierci należy do najbardziej przejmujących scen w polskiej literaturze.

Jednym z uczestników imienin Krystyny był 20-letni Andrzej Romocki „Morro", legendarny, odznaczający się wielką osobistą odwagą dowódca kompanii „Rudy" batalionu „Zośka". Za dowodzenie walką na cmentarzach ewangelickich został odznaczony Krzyżem Srebrnym Orderu Virtuti Militari. Wraz ze swoją kompanią nocą z 30 na 31 sierpnia 1944 r. brał udział w próbie przedarcia się Grupy „Północ" ze Starego Miasta do Śródmieścia. Walki toczyły się wówczas m.in. na ul. Bielańskiej, przy której znajduje się ocalały fragment budynku Banku Polskiego – jego mury wciąż noszą ślady po kulach. W latach 80. ubiegłego wieku planowano przy ul. Bielańskiej wybudować Muzeum Powstania Warszawskiego, wykorzystując ten budynek.

Na drugą stronę Bielańskiej przedarła się jedynie część żołnierzy kompanii „Rudy" oraz żołnierze Kolegium A warszawskiego Kedywu. Podporucznik Andrzej Romocki „Morro" otarł się wówczas o śmierć. Barbara Wachowicz w książce „To »Zośki« wiara" pisała:

„Andrzej »Morro« pada zalany krwią, ma postrzał twarzy. Ale natychmiast zrywa się, już jest z chłopcami, przytomny, skupiony, czujny. Ogarnia ich spokój. Wierzą mu. Przez ten powstańczy miesiąc zdobył ich najwyższe zaufanie".

Żołnierze jego kompanii dopadli do Kościoła św. Antoniego z Padwy przy ul. Senatorskiej, a stamtąd przeszli do sąsiadującego z nim pałacu Zamoyskich. W krużgankach świątyni znajduje się wiele epitafiów poległych powstańców, a jedno z nich poświęcone jest 19-letniej Zofii Janczewskiej „Jadze", łączniczce i sanitariuszce kompanii dowodzonej przez „Morra".

Następnego dnia po zmroku ruszyli przez Ogród Saski. Aby zdezorientować wroga, kilku powstańców rozmawiało między sobą po niemiecku. Ta sztuczka przyniosła oczekiwany rezultat: zostali wzięci za jeden z niemieckich oddziałów. Za przeprowadzenie swoich żołnierzy ze Starego Miasta do Śródmieścia Andrzej „Morro" został awansowany na porucznika i otrzymał drugi Krzyż Walecznych.

We wrześniu kompania Romockiego walczyła na Czerniakowie. W nocy z 14 na 15 września 1944 r. przez Wisłę przeprawili się „berlingowcy", zwiadowcy 3. dywizji Wojska Polskiego. Rankiem 15 września „Morro" chciał dać zwiadowcom znać, gdzie znajdują się powstańcy. Uszyto z dwóch kawałków materiału biało-czerwoną flagę. Patrol na czele z Romockim wyszedł rano 15 września z budynku. I wtedy „Morro" został śmiertelnie postrzelony w klatkę piersiową.

Przy ul. Wilanowskiej, pod numerem 5, znajduje się dom, w którym bronili się powstańcy ze Zgrupowania „Radosław". Na podwórku tego domu odbyła się zbiórka resztek żołnierzy z tego oddziału przed wejściem do kanałów, którymi przedostali się na Mokotów. Na rogu ul. Wilanowskiej i Wisłostrady zobaczymy krzyż i tablice upamiętniające walkę powstańców w tym miejscu oraz ofiarę ks. Józefa Stanka „Rudego", pallotyna, który po upadku Czerniakowa został 23 września powieszony przez żołnierzy niemieckich. W 1999 r. ks. Stanek znalazł się w grupie 108 błogosławionych – męczenników z lat drugiej wojny światowej.

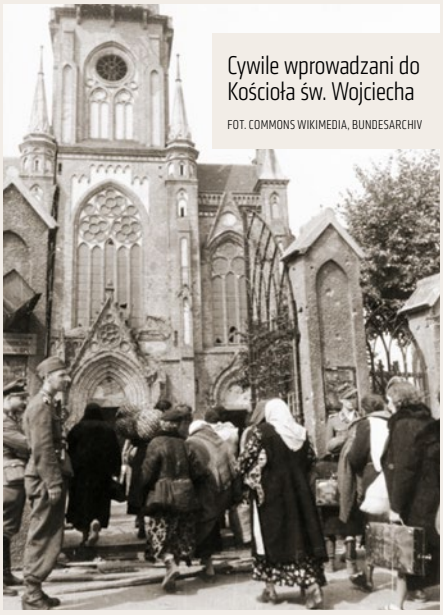

Cywile wprowadzani do Kościoła św. Wojciecha

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, BUNDESARCHIV

Dwa dni przed zamordowaniem księdza, prawie w tym samym miejscu, ciężko ranna sanitariuszka Maria Cetys na pytanie niemieckiego oficera, czy należy do walczących bandytów, odpowiedziała, że jest żołnierzem Armii Krajowej. Została za to zastrzelona.

Reduta PWPW

Na masywnych, kilkumetrowych prętach ogrodzenia Polskiej Wytwórni Papierów Wartościowych, znajdującej się na skraju Nowego Miasta, zachowały się ślady niemieckich kul. Gmach PWPW był powstańczą redutą od 2 do 28 sierpnia, osłaniającą także Stare Miasto. Drugiego dnia powstania pod PWPW nadciągnęły oddziały powstańcze.

– To musiało wyglądać trochę jak zdobywanie średniowiecznej twierdzy – opowiadał mi w 2005 r. Juliusz Kulesza, wówczas 16-latek, jeden z najmłodszych obrońców reduty. – Byli też mieszkańcy okolicznych domów z siekierami i łomami. Razem kilkaset osób („Pamięć Powstania '44").

Znajdujących się w PWPW Niemców od środka zaatakowała złożona z pracowników grupa bojowa PWB/17, a od zewnątrz batalion „Gozdawy". Powstańcza załoga PWPW blokowała natarcie niemieckie wzdłuż ul. Zakroczymskiej, z okien reduty rzucano butelki z benzyną. Juliusz Kulesza uważał, że opinia o gmachu jako solidnej twierdzy była niesłuszna: „Ten budynek miał ogromne okna, przez które wpadały pociski. Powstańcy nie mogli odpowiadać ogniem, stojąc przy oknach. Największe walory obronne miał kilkumetrowy parkan".

Jednak 26 sierpnia Niemcy, za pomocą transportera materiałów wybuchowych,

eprasa.pl 9c1b920042

Krystyna Wańkowiczówna
FOT. COMMONS WIKIMEDIA

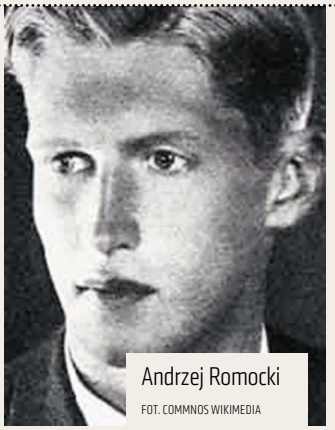
Andrzej Romocki
FOT. COMMNOS WIKIMEDIA

Ksiądz Józef Stanek
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, FRAYCHERO

Doktor Hanna Petrynowska
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, IPN

dokonali wyrwy w parkanie i wówczas rozpoczęły się dwudniowe walki o gmach, także w jego wnętrzu. Powstańcy wycofali się, lecz w podziemiach zostali ranni, dr Hanna Petrynowska i kilka sanitariuszek. Wszyscy zostali zamordowani przez żołnierzy niemieckich.

W tamtych sierpniowych dniach, gdy PWPW była powstańczą redutą, kilka ulic dalej przebywał Miron Białoszewski, autor słynnego „Pamiętnika z powstania warszawskiego" (on sam powstańcem nie był; nocował często w podziemiach domu na Nowym Mieście, w którym mieszkał jego przyjaciel Stanisław Swen Czachorowski). Wspominając połowę sierpnia, Białoszewski pisał:

„I chyba już bez przerwy co dzień i co noc paliły się Sakramentki. Po kolei – wszystkie ich zabudowania na skarpie i te nad skarpą.

– Sakramentki się palą – mówiło się już codziennie.

A Sakramentki się paliły. I latały w welonach. Białych. I biły i świnie, i krowy. Codziennie. I rozdawały ludziom. I przyjmowały, i opatrywały u siebie ludzi. Te sakramentki, które przez ileśset lat, od Marysieńki, śpiewały za kratami i przez kraty przyjmowały komunię, nagle stały się działaczkami, społeczniczkami, bohaterską instytucją, oparciem dla Nowego Miasta. Żywiły i część wojska".

W klasztornych pomieszczeniach znajdował się szpital powstańczy. To właśnie u sakramentek na Rynku Nowego Miasta Białoszewski wraz ze znajomymi chciał znaleźć schronienie. Siostra zakonna przekonywała ich wprawdzie, że już nie ma miejsca, ostatecznie jednak uległa i zaprosiła ich do środka. Ale Czachorowski za żadne skarby nie chciał wejść na teren klasztoru, nie tłumacząc dlaczego. Cała grupa poszła szukać schronienia gdzie indziej. 31 sierpnia Luftwaffe zbombardowała klasztor i kościół. Pod gruzami śmierć poniosło 1 tys. cywilów, 34 siostry zakonne i czterech księży.

Eksplozja na Prudentialu

W 2018 r. gmach Prudentialu, najwyższego przed wojną budynku w Warszawie, odzyskał przedwojenny modernistyczny kształt, który został zmieniony podczas powojennej odbudowy. Autorem stalowej konstrukcji budynku był wybitny inżynier prof. Stefan Bryła, podczas niemieckiej okupacji działający w biurze Delegata Rządu na Kraj, rozstrzelany w publicznej egzekucji w Warszawie w 1943 r. 1 sierpnia z tego gmachu żołnierze niemieccy ostrzeliwali powstańców, więc rtm. Henryk Leliwa-Roycewicz, dowódca batalionu „Kiliński", wydał rozkaz jednej z drużyn, by zlikwidowała Niemców i opanowała gmach.

„Wyróżnili się tam i odznaczyli pchor. »Tumry«, który pierwszy dostał się na »Drapacz« – wspominał Leliwa-Roycewicz – pociągając za sobą całą drużynę i z wielką odwagą i brawurą zaatakował znajdujących się tam żandarmów; pchor. »Garbaty«, ścigając Niemców przez klatkę schodową, dostał się na szczyt »Drapacza«, zabijając pod drodze 7 żandarmów i przy pomocy dozorcy gmachu pierwszy zawiesił biało-czerwoną flagę na najwyższym piętrze »Drapacza«, czym oznajmił całej Warszawie o tym pierwszym zwycięstwie w Powstaniu. Tym swoim brawurowym czynem przeszedł do historii Powstania" (H. Leliwa-Roycewicz, „Batalion AK »Kiliński« w powstaniu warszawskim").

„Garbaty", czyli Jerzy Frymus, zmagał się nie tylko z Niemcami, lecz także z własną słabością; był bowiem chory na płuca, a mimo to pokonał 17 kondygnacji i dostał się na dach Prudentialu (zmarł z powodu gruźlicy w 1945 r.).

Niemcy nie pozwolili, by polska flaga górowała nad miastem. 2 sierpnia myśliwiec Luftwaffe zniszczył ją, lecz powstańcy umieścili następną. I – jak wspominał Leliwa-Roycewic – powtarzało się to kilka razy. 28 sierpnia Niemcy zaczęli ostrzeliwać z moździerza 600 mm okolice Marszałkowskiej, Świętokrzyskiej, Jasnej i Placu Napoleona, przy którym stał Prudential.

„Przypuszczając, że celem ognia niemieckiego stanie się gmach Prudentialu, w którym na górnych piętrach znajdował się punkt obserwacyjny Armii Krajowej, postanowiłem przekonać się, czy moje przewidywania są słuszne. Usadowiłem się na gmachu kamienicy przy ulicy Kopernika 28" – pisał Sylwester Braun „Kris", fotoreporter powstańczy pracujący dla Biura Informacji i Propagandy KG AK. Miał ze sobą „Leicę" i zaczął robić zdjęcia skutków ostrzału.

„Godzina minęła na oczekiwaniu, gdy oko uchwyciło żółtą smugę pocisku na tle błękitnego nieba. W celowniku aparatu zobaczyłem trafienie Prudentialu i rozkwitanie eksplozji. W ciągu ok. trzech sekund zrobiłem sześć zdjęć. Mocno opierałem się o komin, gdyż podmuch silnie mną kołysał, szczególnie przy trzecim zdjęciu" (S. Braun „Kris", „Reportaże z Powstania Warszawskiego"). Powstała wówczas seria jednych z najbardziej ikonicznych zdjęć z czasów zrywu w stolicy.

Braun był przekonany, że Prudential został zupełnie zniszczony. Tak się jednak nie stało. Stalowa konstrukcja wytrzymała eksplozję ciężkiego pocisku. Było to pośmiertne zwycięstwo prof. Bryły nad Niemcami.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9c1b920042

Plutonowy podchorąży Stanisław Sosabowski z pistoletem maszynowym Sten FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MUZEUM POWSTANIA WARSZAWSKIEGO

1944 r. / AK-owski miszmasz

Visy na Tygrysy

Michał Mackiewicz,
pracownik naukowy Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie

Indywidualna broń strzelecka, będąca podstawowym narzędziem walki piechura, tworzyła w oddziałach Armii Krajowej nieprawdopodobną mozaikę rodzajów, wzorów i kalibrów

Druga wojna światowa była konfliktem nowoczesnym, z artylerią, bronią pancerną oraz lotnictwem jako czynnikami rozstrzygającymi. Znaczenie broni strzeleckiej, zwłaszcza indywidualnej, było ograniczone, a jej ogień powodował najmniej ofiar (statystycznie). W niektórych, specyficznych okolicznościach jej rola była jednak dość istotna. Na przykład w walkach w mieście, które cechowały się dynamicznymi pojedynkami strzeleckimi na małym dystansie i zmieniającą się szybko sytuacją bitewną. Tu dobre przygotowanie taktyczne w połączeniu dużą siłą ognia dawało przewagę. „Najlepiej obmyślany manewr, doskonałe dowodzenie, zapał i poświęcenie walczących na nic się nie przydadzą – zapisano w polskim podręczniku wojskowym z lat 20. – jeśli nie będą osłonięte i poparte ogniem celnym i w porę".

Problem AK polegał na tym, że latem 1944 r. broni było zbyt mało dla realizacji celu tak ambitnego, jak opanowanie Warszawy. Pomimo elementu zaskoczenia i atutu w postaci znajomości terenu atak był bardzo rozproszony i Niemców właściwie nigdzie nie udało się „przygwoździć do ziemi", przez co sukces pierwszych dni powstania uznać należy za wątpliwy.

Broń z wielu źródeł

Wydawać by się mogło, że w ciągu niemal pięciu lat okupacji Dowództwo Armii Krajowej miało możliwość zgromadzenia arsenału umożliwiającego skuteczną, ogólnokrajową akcję zaczepną przeciwko Niemcom. Tym bardziej że kwestię tę traktowano priorytetowo, a potencjalnych źródeł pozyskiwania uzbrojenia było co najmniej kilka. Niestety, wszystkie one miały istotne ograniczenia, których nie udało się przezwyciężyć. Najważniejszym ze źródeł były skrytki z 1939 r. Choć nie do wszystkich depozytów udało się dotrzeć (niektóre wciąż są odnajdywane), to w 1944 r. przedwojenna polska broń stanowiła trzon konspiracyjnego arsenału. Była ona na ogół pełnowartościowa, o ile oczywiście przechowywano ją w odpowiednich warunkach. Jeden z AK-owców walczących na Czerniakowie wspominał: „Nad ranem 7 sierpnia żołnierze z plutonu 1140 […] wydobyli broń ukrytą w dole na tyłach domu nr 37 przy ulicy Solec […]. Broń była fachowo i bardzo pieczołowicie zapakowana w skrzyniach obitych blachą i umieszczonych w oddzielnych impregnowanych workach. Wydobyto cztery erkaemy typu »Browning« z zapasowymi magazynkami, siedem karabinów »Mauser«, dwa karabiny »Lebel« z niewielką ilością amunicji, pistolet krótki […]. Mimo tak starannego opakowania karabiny nie nadawały się do użytku, gdyż lufy były zardzewiałe, a kolby zgniłe. Dopiero rusznikarze i stolarze przywrócili im sprawność. Z amunicji duża część naboi karabinowych, zarówno zwykłych, jak i świetlnych, była zupełnie sucha, nadająca się do użycia, część była wilgotna i musiała być suszona, a część zmokła całkowicie".

Kolejnym źródłem uzbrojenia był wróg. Wbrew powszechnej opinii zdobycz na nieprzyjacielu, przynajmniej do połowy 1944 r., była raczej skromna.

eprasa.pl 9c1b920042

Pistolet maszynowy Błyskawica ze zbiorów Muzeum Powstania Warszawskiego

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, PRZEMEK P

Akcje dozbrojeniowe (np. te realizowane przez Kedyw) przynosiły mizerne efekty, a zakupy na czarnym rynku miały ograniczoną skalę z uwagi na niewystarczające środki finansowe. „To, co możemy uzyskać z naszych oszczędności – to są drobiazgi, za które nie można dokonać żadnej większej transakcji. Jesteśmy skutkiem tego zmuszeni do kupowania broni małymi partiami, a nawet pojedyncze sztuki z pierwszej ręki, a zatem drożej i tym samym nie docieramy do dużych źródeł" – narzekał Komendant Główny AK w lutym 1944 r. Problem stanowiła też sama broń, pochodząca zazwyczaj od żołnierzy z formacji policyjnych, wartowniczych lub kolaboranckich. Mieli oni często wzory nietypowe, np. ze zdobyczy i z minimalną na ogół ilością amunicji. Po jej wyczerpaniu broń taka nie nadawała się już do użytku.

Znacznie pewniejszą „bazę materiałową" zapewniali alianci zachodni. Przynajmniej w teorii, ponieważ faktyczna ilość broni zrzuconej do kraju była niewielka (zwłaszcza w porównaniu z dostawami do innych okupowanych krajów). Alianci dostarczali ją z myślą o niewielkich oddziałach dywersyjno-sabotażowych, a nie o powstańczej armii. Łącznie do kraju przerzucono drogą lotniczą kilkanaście tysięcy peemów i ponad 10 tys. sztuk broni krótkiej. Trzeba podkreślić, że była to broń bardzo dobra i ceniona w konspiracji, choć czasami dostosowana do nietypowej amunicji.

Czwartym źródłem była produkcja własna. Biorąc pod uwagę charakter niemieckiej okupacji, skala i organizacja przedsięwzięcia były imponujące. Niestety, także niewystarczająca w odniesieniu do broni strzeleckiej (maksymalnie od 2 do 3 tys. sztuk peemów, znacznie więcej amunicji).

Pistolety maszynowe i karabiny

Pistolety maszynowe były bronią najbardziej poszukiwaną przez członków organizacji podziemnych. Warto wspomnieć, że na czarnym rynku za peemy płacono najwięcej – tyle samo co za zespołową broń maszynową. Doskonale sprawdzały się podczas walk toczonych w plątaninie miejskiej zabudowy i leśnym gąszczu. Były wprost nieocenionym narzędziem walki dla oddziałów nieregularnych, walczących z reguły z zaskoczenia i z bliska. Skuteczny zasięg rażenia był niewielki (kilkadziesiąt metrów), a precyzja strzału wątpliwa, jednak nie o to przecież chodziło. Na krótkim dystansie peem niwelował gorsze wyszkolenie strzeleckie i dawał jego posiadaczowi wyraźną przewagę nad przeciwnikiem uzbrojonym w tradycyjny karabin. Ponieważ przedwojenna armia nie doczekała się peemów (legendarny Mors nie wyszedł poza fazę prototypową), broń tej kategorii trzeba było początkowo zdobywać w walce. Najbardziej ceniono MP 40, czyli słynne Schmeissery, poręczne (składana kolba), lekkie, niezawodne, ale do rąk powstańców trafiały też starsze wzory. Jerzy Chlistunoff ps. „Jurek" wspominał: „Miałem piękny pistolet maszynowy, który dostałem po zdobyciu poczty, starego bergmanna z 1918 roku […]. Był olbrzymi, miał drewnianą kolbę, obudowaną lufę, no i można było oddawać z niego i serie, i pojedyncze strzały".

Możliwości wyboru trybu ognia nie miała natomiast konspiracyjna Błyskawica. Peem zaprojektowany przez Seweryna Wielaniera i Wacława Zawrotnego zaczęto montować pod koniec 1943 r. w Warszawie przy ul. Grzybowskiej 25 w Fabryce Łóżek i Sprzętu Szpitalnego „Konrad, Jarnuszkiewicz i S-ka". Szacuje się, że w powstaniu użyto ich sto kilkadziesiąt sztuk. Broń, inspirowana angielskim stenem i niemieckim MP 40, choć mocno uproszczona, zdała trudny bojowy egzamin. Tak wynika z licznych powstańczych relacji: „Bardzo dobra była [Błyskawica]. Po prostu wzorowana była na angielskim stenie. Sten był bardzo dobry, lekki, ale kolbę miał dokładaną. Niewygodna. A nasza błyskawica się składała, tak że była paczuszka o połowę mniejsza". Do Błyskawicy stosowano typową amunicję używaną w armii niemieckiej i przedwojennym WP – 9 x 19 mm Parabellum. Pochodziła ona z przedwojennych zasobów, ze zdobyczy, zrzutów i z własnej produkcji. Można ją też było uzupełnić już podczas powstania, zabierając zapas poległym Niemcom.

Karabiny były znacznie mniej poręczne i nie tak szybkostrzelne. Z tych powtarzalnych, czyli ręcznie przeładowywanych (np. polskie i niemieckie Mauzery kal. 7,92 mm), można było oddać najwyżej kilkanaście strzałów na minutę, przy szybkim ogniu, bez zbytniego celowania. Dzięki silnemu nabojowi miały jednak swoje zalety – duży zasięg, siłę rażenia i celność. Przy dobrej taktyce okazywały się nieocenione w obronie. Podpułkownik Karol Ziemski ps. Wachnowski, dowódca walczącej na Starówce Grupy „Północ", wspominał w rozkazie specjalnym z 26 sierpnia: „Wykorzystanie strzelców wyborowych, zaopatrzonych w lornetki, daje bardzo dobre rezultaty, osłabiając u npla chęć wysuwania się naprzód".

Broń krótka

Jej walory bojowe były w zasadzie iluzoryczne, jednak dla AK, odczuwającej nieustanny „głód broni", stanowiły istotne uzupełnienie. Najbardziej ceniono wzory typowo wojskowe, dostosowane do silnej amunicji. Wśród pistoletów zdarzały się np. amerykańskie Colty M1911 w kalibrze 0,45 cala (11,43 mm), poszukiwano jednak przede wszystkim „dziewiątek", do których nie brakowało amunicji. Wyjątkową estymą cieszył się radomski Vis, ikona przedwojennej zbrojeniówki, produkowany również przez Niemców podczas okupacji. Do części tych pistoletów wynoszonych z fabryki przez członków ruchu oporu w konspiracyjnych warsztatach dorabiano lufy (Niemcy ze względów bezpieczeństwa przenieśli produkcję tego elementu do Austrii). Wśród rewolwerów chwalono niezawodne zrzutowe Colty i Smith-Wessony (w kalibrach 0,38 i 0,45 cala), ale zdarzały się też m.in. polskie Naganty w rosyjskim kalibrze 7,62 mm.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9c1b920042

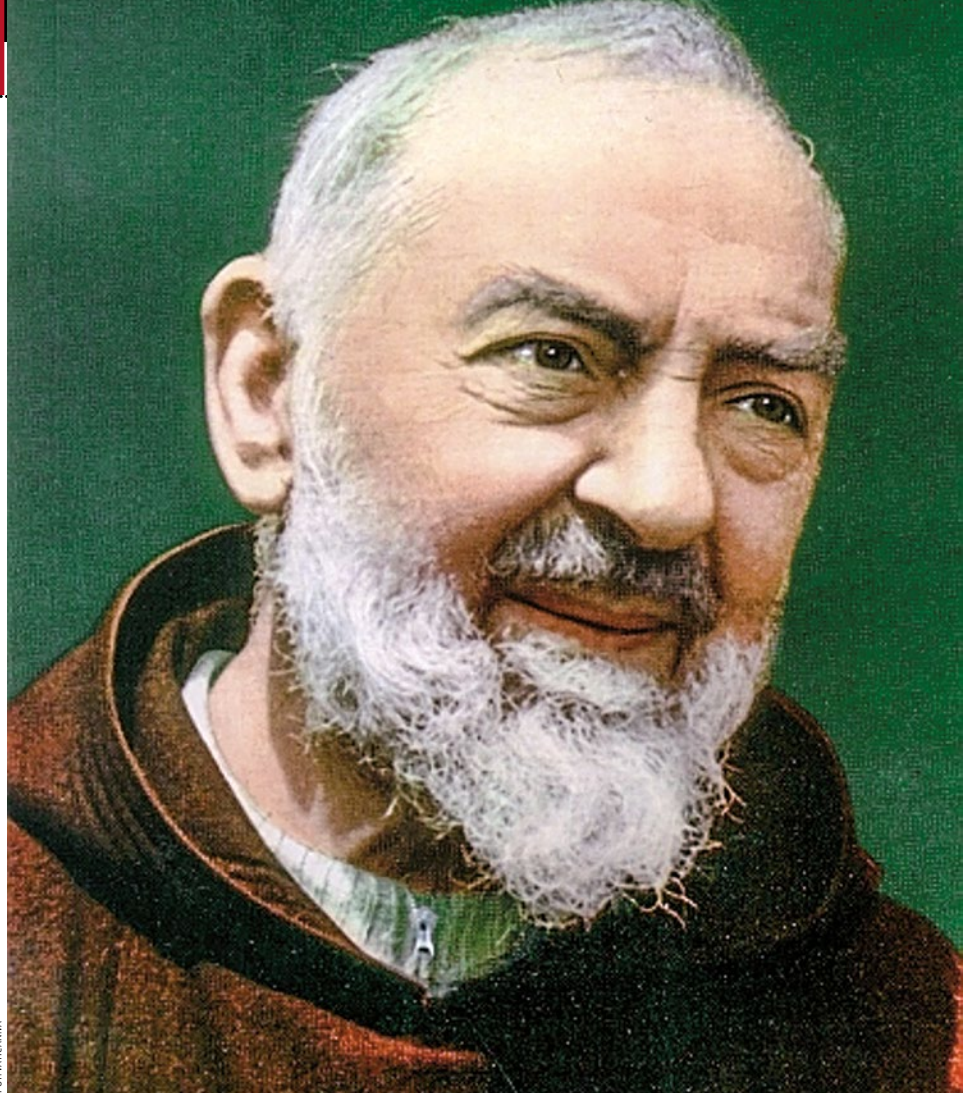

FOT. VATICANVIA

Wywiad / Z br. Maciejem Zinkiewiczem, kapucynem, redaktorem naczelnym magazynu „Głos Ojca Pio"

rozmawia Piotr Włoczyk

Pokorny gigant z Pietrelciny

– W niedługim czasie po pierwszych informacjach o stygmatach pod klasztorem kapucynów tworzyły się istne obozowiska – mówi zakonnik

PIOTR WŁOCZYK: Cierpienie to bardzo ważny aspekt życia o. Pio, który widział w nim głęboki sens. Dlaczego więc początkowo stygmaty były dla niego dużym problemem?

BR. MACIEJ ZINKIEWICZ: Ojciec Pio otrzymał stygmaty we wrześniu 1918 r. Był to czas, kiedy kończyła się pierwsza wojna światowa; on sam mocno angażował się modlitwą w błaganie Boga o pokój. Tamtego wrześniowego poranka po Mszy św. o. Pio jak zwykle poszedł na chór na dziękczynienie – klęczał przed krzyżem pogrążony w modlitwie. Jak sam to opisywał, miał wówczas poczucie wielkiej wewnętrznej pociechy. Zobaczył wtedy postać przeszywającą włócznią jego dłonie, stopy i bok. Stygmaty zostały z nim niemal do końca życia. Ojciec Pio bardzo ich nie chciał – miał nadzieję, że szybko znikną.

Stygmaty siłą rzeczy przyciągają uwagę ludzi. Ojciec Pio mówił innym braciom, żeby się modlili o to, by Bóg pozostawił mu cierpienie, lecz by zabrał te widoczne zewnętrzne znaki.

Ojciec Pio zmarł 23 września 1968 r.

Czyli nosił stygmaty niemal dokładnie pół wieku. Co ciekawe, te rany w niewytłumaczalny sposób zniknęły tuż przed jego śmiercią.

Stygmaty wzbudzały wielką sensację, więc szybko o tej sprawie dowiedziała się prasa. Naturalnie zainteresowały się tym władze kościelne, a także środowisko medyczne. Stygmaty obejrzało dokładnie kilku lekarzy, zostały one również sfotografowane. Dzięki temu mamy zdjęcie młodego o. Pio pokazującego te rany.

Elementem procesu badania stygmatów była misja bp. Raffaele'a Rossiego, wysłannika Watykanu, który w 1920 r. przyjechał do San Giovanni Rotondo. Był on przedstawicielem instytucji nazywanej wówczas Świętym Oficjum;

eprasa.pl 9c1b920042

obecnie jest to Dykasteria Nauki Wiary. Biskup Rossi przebywał w San Giovanni Rotondo ok. miesiąca i na ten czas założył na bandaże o. Pio specjalne plomby. Chodziło o upewnienie się, że nikt nie będzie miał dostępu do stygmatów. Niektórzy podejrzewali bowiem, że rany są wypalane kwasem i dlatego się nie goją. Biskup Rossi wyjechał z San Giovanni Rotondo, będąc przekonany w kwestii autentyczności stygmatów i świętości o. Pio. Biskup napisał bardzo pozytywne sprawozdanie na ten temat. Niestety, papież Benedykt XV nie zdążył przeczytać tego dokumentu, ponieważ umarł. Wraz ze zmianą na tronie papieskim sytuacja o. Pio mocno się skomplikowała.

Zanim przejdziemy do tego trudnego rozdziału życia o. Pio, zatrzymajmy się jeszcze przy medycznej stronie stygmatów. Nauka mówi nam, że rany mogę się albo goić, albo ulegać zakażeniu i „gnić". U o. Pio nie zachodził żaden z tych stanów...

W przypadku tych ran widać było pewien dynamizm – co tydzień otwierały się na nowo. Największy ból, połączony z krwawieniem, o. Pio przeżywał w piątek i w sobotę, potem stygmaty lekko się zasklepiały, by po kilku dniach znów się otworzyć. Ta sytuacja trwała pół wieku. Z punktu widzenia medycyny jest to niewytłumaczalne.

Jednak poza pięcioma ranami pojawiały się też u niego okresowo inne uszkodzenia ciała. Przez pewien czas o. Pio miał na ramieniu otarcie – w miejscu, gdzie Jezus niósł krzyż. Od samego początku swojego powołania o. Pio wykazywał ogromną miłość do Ukrzyżowanego. Ta miłość prowadziła go do mistycznego doświadczenia choroby, co sprawiło, że był w tych sprawach bardzo wrażliwy. W kolejnych latach widzimy, jak o. Pio otwiera swoje serce dla ludzi chorych i ubogich. W swoich listach ten stygmatyk wyraźnie pisał, że chce ofiarować samego siebie, żeby inni mogli odkryć Chrystusa.

Medycyna była też bezradna, jeżeli chodzi o wyjaśnienie skoków temperatury u o. Pio. Zdarzały się sytuacje, gdy precyzyjne termometry pokazywały, że jego ciało osiągało temperaturę 48 st. C.

Ojciec Pio ze stygmatami

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, PLACIDO BUX

Takie sytuacje faktycznie były notowane i nie znajdowały wyjaśnienia. Ojciec Pio bardzo dużo chorował, i to już od najmłodszych lat. W czasie swojej formacji kapłańskiej sporo czasu spędził poza klasztorem – ze względu na zły stan zdrowia przełożeni pozwolili mu przenieść się do domu rodzinnego w Pietrelcinie. W czasie pierwszej wojny światowej o. Pio otrzymał wezwanie do armii. W tamtych czasach włoskie władze wciągały do wojska również zakonników. Trzy razy stawiał się na komisji wojskowej, ale ze względu na zły stan zdrowia za każdym razem służbę rozpoczynał od pobytu w szpitalu. Lekarze nie byli w stanie zrozumieć jego choroby. Dochodziło do sytuacji, gdy na zdrowy rozum o. Pio powinien już nie żyć. Jak pan wspomniał, niekiedy miał napady tak wysokiej gorączki, która zabiłaby każdego człowieka.

Niezwykłe rzeczy, które zaczęły się dziać wokół o. Pio, sprawiły, że do San Giovianni Rotondo zaczęły ściągać tłumy. Jak reagowali na to inni duchowni?

Przełożonym stygmatyka był o. Paolino, który miał z nim świetne relacje. San Giovanni Rotondo to jednak nie tylko kapucyni. Inni lokalni duchowni w większości reagowali na to wszystko dość podejrzliwie.

Bardziej wynikało to z troski o czystość wiary czy może z... zazdrości?

Wydaje mi się, można było wtedy dostrzec obydwie postawy. Lokalni proboszczowie mogli się zastanawiać, czy to wszystko nie jest przypadkiem oszustwem i czy prości ludzie zmierzają ze swoją wiarą w dobrą stronę. Widzieli też, że z ich kościołów odpływają wierni, którzy koniecznie chcą uczestniczyć we Mszach św. sprawowanych przez tego niezwykłego kapucyna...

Napływ ludzi z zewnątrz był olbrzymi. W niedługim czasie po pierwszych informacjach o stygmatach pod klasztorem kapucynów tworzyły się istne obozowiska. Z kolei wiele osób wcześniej związanych z klasztorem jeszcze bardziej się angażowało duchowo, uczestnicząc w Grupach Modlitwy i korzystając z kierownictwa o. Pio.

Kościół w takich sytuacjach stara się z jednej strony zachować ostrożność, a z drugiej strony nie gasić ducha. Trudny czas dla o. Pio nastąpił wraz z pontyfikatem Piusa XI.

Dlaczego?

Nowy papież przyjaźnił się z franciszkaninem o. Agostinem Gemellim. Zapewne większość czytelników kojarzy to nazwisko ze słynnym rzymskim szpitalem. Ojciec Gemelli, który był świetnie wykształconym lekarzem, żywił dużą rezerwę wobec o. Pio. Żyjąc w świecie nauki, uważał całą tę sytuację za wysoce podejrzaną. Ojciec Gemelli, na polecenie Piusa XI, odwiedził San Giovanni Rotondo, ale była to krótka wizyta – nie badał w sposób gruntowny stygmatów.

Po powrocie o. Gemelli powiedział papieżowi, że cała ta historia jest niejasna, ale można mieć pewne podejrzenia.

Ojciec Pio i Aldo Moro

FOT. ALDOMORO.EU

Jakie?

Chodziło o charakter

eprasa.pl 9c1b920042

Sanktuarium św. o. Pio w San Giovanni Rotondo

FOT. PIOTR WŁOCZYK

relacji o. Pio z jego kierownikami duchowymi. Podejrzewano, że utwierdzają go oni w błędnym rozumieniu jego powołania. Ojciec Gemelli twierdził ponadto, że w tłumie, który zbierał się w San Giovanni Rotondo, dochodziło do aktów zbiorowej histerii.

W związku z tym Pius XI nałożył ograniczenia na o. Pio: zakaz publicznego sprawowania Mszy św., spowiadania, opuszczania klasztoru, a także pisania listów. Ojciec Święty wydał te zakazy „na wszelki wypadek", co było jednak bardzo bolesne dla tego stygmatyka.

Szczególnie spowiadanie było jego życiową misją.

Ojciec Pio spędzał w konfesjonale bardzo dużo czasu. To było jego powołanie. Na spowiedź przyjeżdżały do San Giovanni Rotondo tłumy wiernych. Bardzo często były to wstrząsające, pod względem duchowym bardzo owocne doświadczenia. Ludzie, którzy spowiadali się u o. Pio, mówili, że zwykle spowiadał on krótko i konkretnie.

Czasem nawet sam wymieniał grzechy penitenta, prosząc go tylko o potwierdzenie, czy wszystko się zgadza.

Zdarzały się i takie sytuacje, które świadczyły o tym, że zna ludzkie myśli. Ojciec Pio doskonale potrafił poprowadzić człowieka ku Bogu. Mamy świadectwa wielu ludzi, którzy nawrócili się dzięki temu kapłanowi. Byli wśród nich m.in. znani artyści, aktorzy, politycy – również komuniści – masoni czy nawet mafiosi. A tych przecież nie brakowało na południu Włoch.

Tu ciekawostka: mamy niemało świadectw na temat spowiadania cudzoziemców, którzy mówili w językach nieznanych o. Pio i którzy sami nie znali włoskiego. Jak to możliwe? Ten święty powiedział kiedyś, że każdy anioł stróż ma dużo pracy, ale jego własny jest szczególnie zapracowany, bo poza swoimi zwykłymi obowiązkami musi go jeszcze uczyć języków obcych.

Wracając do bolesnej decyzji Watykanu: dla wielu osób zakazy nałożone na o. Pio były potwierdzeniem plotek na jego temat. W pewnym sensie odebrano mu więc dobre imię. Mimo tak trudnej sytuacji o. Pio chciał jednak zachować posłuszeństwo i pokornie stosował się do decyzji Watykanu.

Dopiero po 10 latach, w 1933 r., Watykan zniósł te obostrzenia.

Ale – co ciekawe – do końca życia został utrzymany zakaz pisania listów. W ten sposób św. o. Pio umierał jako człowiek obłożony zakazem watykańskim. Pełna „rehabilitacja" ojca odbyła się wraz z jego kanonizacją.

Po zniesieniu zakazów do San Giovanni Rotondo znów ruszyły tłumy. I ten potok ludzi płynie do tego miasteczka po dziś dzień.

Ojciec Pio robił się coraz bardziej znany – nie tylko we Włoszech, lecz także na całym świecie – więc tłumy pielgrzymów były coraz większe. Skarżyć się na to zaczęli w końcu ludzie z najbliższego otoczenia o. Pio, dla których nie miał już tyle czasu.

Chętnych do spowiedzi było tak wielu – czasem trzeba było czekać nawet dwa tygodnie – że tworzono specjalne „komitety kolejkowe". Ojciec Pio odprawiał Mszę św. o stałej godzinie – o godz. 5. Kościół zawsze pękał wtedy w szwach.

Ta niewielka miejscowość początkowo nie była przygotowana na tak wielki napływ ludzi, ale z biegiem czasu ulepszana była infrastruktura, która miała służyć pielgrzymom. Nie tylko im – również chorym. W San Giovanni Rotondo powstał bowiem z inicjatywy o. Pio Dom Ulgi w Cierpieniu.

Ta nazwa może się kojarzyć z hospicjum, ale był to po prostu wielki szpital, który zresztą działa do dziś i uznawany jest za jedną z najlepszych placówek medycznych w całej Italii.

W odróżnieniu do „zwykłych" szpitali o. Pio chciał, żeby w tym miejscu opiekowano się i ciałem, i duszą. Nawiasem mówiąc, w tym roku obchodzimy 70. rocznicę poświęcenia Domu Ulgi w Cierpieniu.

Który z cudów, do których doszło za wstawiennictwem o. Pio, szczególnie porusza brata?

Nie będę tu zbyt oryginalny. Najciekawszym cudem jest dla mnie uzdrowienie Wandy Półtawskiej. Nie wszyscy wiedzą jednak, że w tej historii były dwa etapy.

Gdy Wanda Półtawska zachorowała na raka, napisała list do swojego przyjaciela, bp. Karola Wojtyły, który przebywał wówczas w Rzymie na Soborze Watykańskim II. Przyszły papież napisał z kolei list do o. Pio. Półtawska dowiedziała się o tym już po swoim uzdrowieniu – przy okazji przygotowań do operacji okazało się, że guzy całkowicie zniknęły.

W niedługim czasie Półtawska wyjechała do USA na terapię – w czasie pobytu w obozie w Dachau niemiecki żołnierz uderzył ją kolbą w głowę, przez co cierpiała na bóle kręgosłupa. Wracała z Ameryki przez Włochy, więc odwiedziła San Giovanni Rotondo. Tak jak wszyscy pielgrzymi poszła na Mszę św. o godz. 5. Jak opowiadała, gdy o. Pio skończył odprawiać Mszę św., poszedł do zakrystii zdjąć mszalne szaty, a potem wrócił do kościoła i podszedł prosto do niej. Początkowo nie wiedziała, co powiedzieć, więc padła na kolana. Ojciec Pio pobłogosławił ją i dopiero wtedy zaakceptowała ona w pełni swoje uzdrowienie – wcześniej bała się całej tej niezwykłej sytuacji, zastanawiając się, dlaczego Pan Bóg to zrobił i jakie ma w związku z tym wobec niej plany. Dopiero po spotkaniu twarzą w twarz

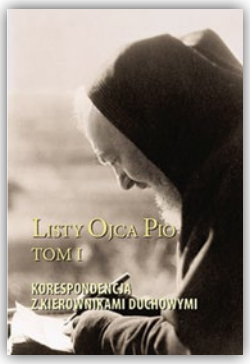

eprasa.pl 9c1b920042

z o. Pio Wanda Półtawska stwierdziła, że całkowicie oddaje się woli Pana Boga i da się Mu zaprowadzić tam, gdzie On zechce.

Trumna o. Pio w San Giovanni Rotondo

FOT. PIOTR WŁOCZYK

Czytając o trudnych doświadczeniach węgierskiego kardynała Józsefa Mindszentyego niektórzy po raz pierwszy dowiadują się o fenomenie tzw. bilokacji.

Czyli jednoczesnego przebywania w dwóch miejscach. Ojciec Pio znany jest z takich historii. Kardynał Mindszenty był uwięziony przez komunistów i nie miał możliwości odprawienia Mszy św. Ojciec Pio odwiedził go więc w jego celi i przyniósł ze sobą hostię i wino, by węgierski hierarcha mógł odprawić Mszę św. Wiemy to ze wspomnień kard. Mindszentyego.

Cudów, które dokonały się za sprawą o. Pio, było tyle, że sceptycy musieliby uznać, iż tysiące ludzi miało halucynacje albo po prostu kłamało.

Mamy na ten temat wiele świadectw ludzi uznawanych generalnie za wiarygodnych, jak właśnie kard. Mindszenty, więc trudno z tymi relacjami polemizować.

Czytając wspomnienia osób, które spowiadały się u o. Pio, można odnieść wrażenie, że w jego konfesjonale można się było spodziewać niemal wszystkiego.

W większości przypadków o. Pio był bardzo wrażliwy i ciepły. Ale zdarzały się frustrujące go sytuacje, np. gdy po długim spowiadaniu się u niego dany penitent zatrzymywał się w rozwoju duchowym, o. Pio potrafił krzyknąć. Ten święty był bardzo wyczulony na fałsz, a przecież niektórzy przyjeżdżali do San Giovanni Rotondo tylko po to, by zobaczyć niezwykłe zjawisko, i w związku z tym spowiadali się ze złymi intencjami, np. chcieli wypróbować stygmatyka. W takich sytuacjach o. Pio gorliwie bronił tego, co święte, i nie szczędził ostrych słów.

Ojciec Pio miał niewątpliwie świetne poczucie humoru, ale w sprawach niewierności małżeńskiej nie było u niego „przebacz"...

Zgadza się – w tych tematach był bardzo stanowczy. Mamy tu bardzo ciekawe świadectwa. Ojciec Pio uważał małżeństwo za sprawę bardziej boską niż ludzką. Luciano Lotti, jeden z moich współbraci, odpowiedzialny za Grupy Modlitwy o. Pio na całym świecie, opowiadał, jak poznali się jego rodzice.

Ojciec przyjechał z Bolonii, by pracować w Domu Ulgi w Cierpieniu jako lekarz. Pewnego dnia poskarżył się o. Pio, że jest samotny – chciałby założyć rodzinę, ale nie wie, jak się do tego zabrać. Ojciec Pio wziął go za rękę i powiedział – twoją żoną będzie ta pani, wskazując na młodą kobietę siedzącą w kościele. Przedstawił ich sobie i powiedział, że powinni wziąć ze sobą ślub. I tak się stało, a mój współbrat jest ich piątym dzieckiem...

Czy o. Pio bał się, że tłumy pielgrzymów mogą źle pojmować jego rolę?

Oczywiście. Żeby to zrozumieć, musielibyśmy się przenieść do południowych Włoch z tamtych czasów. To był świat dosyć prosty, religijny, a momentami wręcz zabobonny. Wprawdzie to już nie było średniowiecze, kiedy wykradano sobie relikwie, ale o. Pio jeszcze za życia był dla tych ludzi świętym. W tak wielkich tłumach siłą rzeczy nie brakowało ludzi, którzy niewłaściwie patrzyli na tego stygmatyka, nie rozumiejąc, że jest on tylko pośrednikiem, który prowadzi ludzi do Boga.

Skrajnym przykładem jest tu człowiek, który wyciągnął w kościele pistolet i wymierzył go w kierunku ukochanego zakonnika. Usłyszał bowiem plotkę na temat rzekomych planów przeniesienia o. Pio do innego klasztoru. Ten mężczyzna zaczął krzyczeć, że woli, by o. Pio był martwy w San Giovanni Rotondo niż gdzie indziej żywy... Ale przecież czytając Pismo Święte, widzimy, że również w otoczeniu Pana Jezusa znajdowały się osoby, które do samego końca niewiele rozumiały z Jego misji.

Jan Paweł II naciskał, by jak najszybciej przeprowadzić proces beatyfikacyjny o. Pio. Powodem były jego osobiste doświadczenia z tym słynnym kapucynem?

Tak, papież Polak żywił głębokie przekonanie o świętości o. Pio. Zresztą doszło między nimi do dwóch spotkań, choć nie wiadomo za bardzo, o czym rozmawiali. Ale proces beatyfikacyjny był też czasem przygotowań do Wielkiego Jubileuszu Roku 2000. W tamtym czasie każdy rok był poświęcony innej Osobie Boskiej. Jan Paweł II bardzo chciał, by beatyfikacja o. Pio odbyła się w roku Boga Ojca – chodziło o pokazanie tego kapłana jako człowieka, który objawił nam swoim życiem ojcowskie oblicze Boga.

Kim jest dziś dla Włochów ten święty?

To dla nich wielka postać. Ojciec Pio jest w Italii wszechobecny, zwłaszcza na południu. Wystarczy tam wejść do pierwszej lepszej kawiarni i raczej na pewno zobaczymy w niej nad ekspresem jego portret. Nawiasem mówiąc, beatyfikacja o. Pio była pod względem liczby wiernych największą taką uroczystością w dziejach Kościoła.

Po jego śmierci wciąż słychać o cudach?

Oczywiście nie brakuje cudów, które cały czas się dzieją za jego wstawiennictwem. W kolejnych numerach naszego pisma „Głos Ojca Pio" piszemy o łaskach, który spływają na wiernych modlących się o jego wstawiennictwo. Szczególnie dużo świadectw dotyczy małżeństw, które długo nie mogły mieć dzieci, ale po modlitwach do o. Pio udawało się im doczekać potomstwa. Patrząc na życie o. Pio, była to – oprócz cudownego leczenia chorób nowotworowych – jedna z jego „specjalności".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Brat Maciej Zinkiewicz
jest kapucynem, redaktorem naczelnym magazynu „Głos Ojca Pio" oraz Wydawnictwa Serafin, które publikuje książki o życiu tego świętego stygmatyka.

eprasa.pl 9c1b920042

Wywiad / Z prof. Jarosławem Źrałką, archeologiem z UJ, autorem książki „Majowie. Na tropie wielkiej cywilizacji Ameryki Środkowej"

rozmawia Radosław Wojtas

Tikal. Ruiny miasta Majów

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MUNDO MAYA

Majańska zagadka

RADOSŁAW WOJTAS: Kiedy myślimy o cywilizacjach prekolumbijskich, przed oczami natychmiast stają nam ociekające krwią ołtarze i masowe ofiary z ludzi. Czy Majowie rzeczywiście byli krwiożerczymi rzeźnikami, jak nierzadko próbuje nam to wmówić dzisiejsza kultura masowa?

PROF. JAROSŁAW ŹRAŁKA: Wiemy z całą pewnością, że Majowie składali ludzi w ofierze. Chciałbym jednak wyraźnie zaznaczyć, że to nie była taka skala, jak chociażby u Azteków. Można tu przywołać konsekrację jednej z faz budowy największej piramidy azteckiej, Templo Mayor. Jak podaje kronikarz, dominikanin Diego Durán, w 1487 r. w czasie czterech dni aż 80,4 tys. osób miało być złożonych w ofierze. Różni badacze robili później wyliczenia, które wskazują, że fizycznie było to niemożliwe, ale z pewnością coś jest na rzeczy. Ta konsekracja mogła pociągnąć za sobą złożenie w ofierze od kilku do być może nawet 20 tys. osób.

Jeśli popatrzymy na surowe dane archeologiczne, na ilość pochówków, które wiążemy ze składaniem ludzi w ofierze, to u Majów wcale nie jest tego bardzo dużo. Zdarzało się np., że odkrywano grobowiec bogatego władcy, w którym złożonych było również kilka innych ciał, często dzieci, mających towarzyszyć mu w zaświatach. Wartościowanie dawnych kultur nigdy nie jest dobre. Nie sądzę, żebyśmy musieli postrzegać Majów jako kulturę krwiożerczych barbarzyńców.

O czym jeszcze zapominamy, oceniając ich z dzisiejszej, zachodniej perspektywy?

O najważniejszym: o kontekście religijnym. Musimy pamiętać, że składanie przez Majów czy Azteków ofiar z ludzi było motywowane głęboką wiarą. Te ludy wierzyły, że bogowie, tworząc świat i człowieka, sami siebie złożyli w ofierze. Dlatego człowiek jest de facto zobligowany do tego, żeby czynić to samo, by świat mógł funkcjonować w równowadze. Żeby następnego dnia rano mogło wzejść słońce.

Wiemy, że elity Majów dokonywały różnorakich rytuałów samookaleczenia, w których celowo upuszczano krew z różnych części ciała. To był akt najwyższej pobożności! Nas to może dzisiaj bulwersować – patrzymy na zachowane w ikonografii sceny, gdzie jakaś kobieta, nierzadko królowa, w trakcie ważnej ceremonii przeciąga sobie przez język sznurek z kolcami. Wygląda to drastycznie, ale Majowie widzieli w tym obowiązek. To zagadnienie, na które trzeba patrzeć wielowymiarowo.

Wychodzi na to, że Mel Gibson swoim głośnym „Apocalypto" wyrządził Majom i historii niedźwiedzią przysługę.

Wokół tego filmu wciąż toczy się bardzo gorąca dyskusja. Gibson miał konsultanta naukowego, którego znam. Był nim Richard Hansen, amerykański archeolog, od lat pracujący w Gwatemali. Hansen do dzisiaj twardo broni tezy, że film jest mocno osadzony w realiach

eprasa.pl 9c1b920042

historycznych i archeologicznych, a krytycy po prostu się czepiają.

A jak jest w istocie?

Uważam, że jeden moment w tym filmie był całkowicie przesadzony. Chodzi o scenę ucieczki głównego bohatera, Łapy Jaguara. Wybiega on z pola kukurydzy i natyka się na ogromną stertę gnijących ciał – dziesiątki, jeśli nie setki trupów wyrzuconych po ofiarowaniu. To jest kompletnie wyolbrzymiony obraz, który nie odpowiada rzeczywistości.

Dzisiaj wśród samych współczesnych Majów czy nawet wśród części naukowców pojawiają się głosy skrajne w drugą stronę – że ofiar ludzkich nie było wcale. Taki pogląd przedstawia chociażby dr Elizabeth Graham, znana badaczka z University College London, ku wielkiemu zdziwieniu innych specjalistów. Twierdzi ona, że odnalezione pochówki zdekapitowanych ciał (lub osób uśmierconych w inny sposób, np. poprzez wyrwanie serca) to wyłącznie ślady konfliktów wojennych, a nie ofiar religijnych.

Kilka lat temu nasi studenci pojechali do Tikal, bardzo ważnego ośrodka w północnej Gwatemali. Oprowadzający ich przewodnik, pochodzenia rdzennego, oświadczył im z pełnym przekonaniem, że Majowie ofiar z ludzi nie składali w ogóle. Widzimy tu element wyparcia wśród rdzennej ludności – bo to, co robili przodkowie tysiące lat temu, rzekomo obciąża ich dzisiaj, co jest oczywiście zupełnie bez sensu. Sprawa ta budzi kolosalne emocje, jednak dane archeologiczne są jednoznaczne: ofiary z ludzi były, ale ich skala wcale nie była tak potworna, jak pokazują to popkultura czy nieszukające niuansów źródła popularnonaukowe.

Skąd zatem tak zakorzeniony, czarny PR wokół tej cywilizacji?

To w dużej mierze pokłosie czytania dawnych kronik. Ich autorzy wyjątkowo obszernie rozpisywali się o ofiarach. Weźmy kronikę Diego de Landy, drugiego biskupa Jukatanu. Z jednej strony zawdzięczamy mu mnóstwo informacji o życiu codziennym i religijnym Majów. Landa ewangelizował ich i spisał słynną „Relację o sprawach Jukatanu". Ale z drugiej strony... to ten sam człowiek, który w walce z idolatrią kazał publicznie spalić masę bezcennych majańskich ksiąg.

Co ciekawe, de Landa z szokującymi szczegółami opisuje działania samych hiszpańskich konkwistadorów przeciwko ludności rdzennej. Gdy się to dzisiaj czyta, włos jeży się na głowie. Otwarcie relacjonuje on np. wieszanie przez hiszpańskich osadników rdzennych kobiet i dzieci na drzewach. Wielu zakonników starało się bronić miejscowej ludności, podczas gdy świeccy konkwistadorzy widzieli w niej tylko zasób do brutalnego wykorzystania, zmuszając do uległości bezpardonowym terrorem.

Z czym zatem przede wszystkim powinniśmy kojarzyć Majów?

Byli oni ludźmi, którzy stworzyli wspaniałą kulturę, mieli swoje wielkie wzloty i bolesne upadki. Dzisiaj najbardziej się nimi fascynujemy z powodu momentów, gdy wspięli się na absolutne wyżyny nauki w epoce preindustrialnej. Mam tu na myśli znajomość skomplikowanego pisma, zaawansowaną matematykę, kalendarz i astronomię. Mieli system długiej rachuby, który z precyzją, co do jednego dnia, pozwala nam dzisiaj przełożyć ich dawne daty na nasz współczesny kalendarz.

Królowa z Yaxchilan dokonuje samoofiary, kalecząc język

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, BRITISH MUSEUM, MICHEL WAL

Wiemy, że na dworach działały warsztaty wybitnych artystów i rzemieślników. Wytwarzano przepiękną ceramikę zdobioną przedstawieniami o treści religijnej i historycznej, nierzadko imiennie podpisywaną hieroglifami, np.: „Oto jest naczynie do picia kakao króla X". Ludzie dziwią się jednak, patrząc na ten postęp technologiczny w zestawieniu z materiałami. Nierzadko pada pytanie: „A co u nich z metalem?". Otóż

Naczynie ze sceną składania ofiar z ludzi

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MUZEUM SZTUKI W DALLAS

Majowie metali praktycznie nie znali. Nie mieli żelaza, nie mieli stali, nie wykuwali metalowych mieczy ani zbroi. Cała ich potęga technologiczna bazowała na kamieniu. Ich zjawiskowa biżuteria to głównie tzw. zielone kamienie – jadeit, serpentyn, chloromelanit i inne pokrewne minerały. Metal pojawia się dopiero pod sam koniec funkcjonowania ich cywilizacji, tuż przed przybyciem konkwistadorów, np. w słynnym ośrodku Chichén Itzá. W Świętej Studni (Cenote Sagrado) odnajdujemy jako ofiary złote dyski czy dzwoneczki, ale metalurgia nigdy nie była u Majów rozwinięta w taki sposób, jak w przedhiszpańskich kulturach Ameryki Południowej (chociażby Moche czy Sicán). Byli oni cywilizacją pełną ogromnych kontrastów.

Pismo Majów i ich hieroglify przez wieki pozostawały milczącą zagadką. Jak udało się złamać ten specyficzny kod?

To iście fascynująca historia. Kamień milowy w tym żmudnym procesie położył Jurij Knorozow, badacz pochodzący z Charkowa. Knorozow interesował się starożytnymi systemami i zauważył pewną prawidłowość. Większość cywilizacji używała pisma mieszanego: jeden znak mógł być logogramem (całym słowem), co było łączone z systemem sylabicznym.

Dla przykładu: termin określający króla w języku Majów to „ajaw" (czyt. ahau). Można było to zapisać jednym

eprasa.pl 9c1b920042

znakiem logogramem, ale można było to też zrobić sylabicznie, poprzez trzy sylaby: a-ja-wa. Knorozow użył do złamania systemu tzw. alfabetu de Landy – wspomnianego wyżej biskupa. Duchowny pytał majańskiego skrybę: „Słuchaj, jak wy piszecie A, B, C, D?". Podawał mu wartości fonetyczne, ale de Landa nie rozumiał, że ten lud nie używa klasycznego alfabetu. Skryba wpisywał mu majańskie sylaby, a de Landa zinterpretował je jako europejskie litery.

Knorozow zorientował się w tej kolosalnej pomyłce i dysponując zaledwie opublikowanymi faksymilami niewielu zachowanych kodeksów Majów, rozkodował regułę fonetyczną. Swoje rewolucyjne odkrycie opublikował w 1952 r. w sowieckim czasopiśmie „Sowietskaja Etnografija".

Zachodni świat akademicki na początku przyjął to z olbrzymim oporem. Prym wiódł wpływowy brytyjski badacz Eric Thompson, który torpedował tezy Knorozowa aż do lat 70. Uważał, że pismo Majów zawiera wyłącznie proste informacje astronomiczne i kalendarzowe. Thompson w ogóle faworyzował wyidealizowaną, wręcz pacyfistyczną wizję Majów. Obserwował żyjących mu współcześnie potomków tej cywilizacji, uznał ich za niezwykle sympatycznych i wysnuł z tego wniosek, że ich starożytni przodkowie z pewnością nie prowadzili wojen. Odpowiadało to zresztą nastrojom zmęczonych dwiema wojnami światowymi społeczeństw zachodnich – pragnęliśmy mitu mądrych, łagodnych astronomów ukrytych w egzotycznej dżungli. Gdy jednak odczytano inskrypcje metodą Knorozowa (z późniejszymi, kluczowymi poprawkami Amerykanów, takich jak David Stuart), okazało się, że teksty aż ociekają krwawą polityką: bitwami, zawieranymi sojuszami i podbojami poszczególnych królestw.

Skoro wywołaliśmy już politykę, to czym właściwie był świat Majów? Używanie sformułowania „imperium Majów" to z historycznego punktu widzenia poważne nadużycie?

Zdecydowanie. Mówimy raczej o cywilizacji zajmującej ok. 324 tys. km kw., obejmującej południowo-wschodni Meksyk, Gwatemalę, Belize oraz zachodni Salwador i Honduras. Choć o zwartym imperium na wzór rzymski nie mówimy, to jednak były momenty dominacji określonych państw. W okresie klasycznym (od III do IX w. naszej ery) rangę supermocarstw zyskały Tikal i potężna Dynastia Węża, zwana tak od ich rodowego emblematu. Dynastia Węża stworzyła z miasta Calakmul bodaj najpotężniejsze państwo na tamtejszych nizinach. Świadectwa wskazują, że podporządkowała sobie ogromną liczbę ościennych królestw. Z biegiem czasu doszło jednak do nieuchronnej wielkiej wojny hegemonicznej. W 695 r. król Calakmul poniósł spektakularną klęskę w bitwie z wojskami Tikal. Dynastia Węża nigdy już się po tym ciosie nie podniosła, a prymat przejęło miasto Tikal, aż do przełomu wieków VIII i IX, kiedy to całą kulturę klasyczną Majów dotknął strukturalny upadek.

Profesor Jarosław Źrałka przed malowidłem w Chajul

FOT. ARCHIWUM JAROSŁAWA ŹRAŁKI

Wielkie aglomeracje zaczęły się wyludniać, częściowo przez gwałtowną intensyfikację lokalnych wojen, a częściowo przez niszczycielskie susze. Punkt ciężkości po prostu przesunął się na północ, gdzie z kolei wyrastały nowe imperia, jak wspominane już Chichén Itzá czy ostatecznie państwo Mayapán.

Skoro hiszpańska konkwista zastała cywilizację rozbitą na dziesiątki małych królestw, to w jaki sposób doszło do jej tak gruntownego upadku? Majowie nie potrafili zawrzeć nawet taktycznych sojuszy w obliczu całkowitego unicestwienia z zewnątrz?

Obraz garstki dzielnych Hiszpanów na koniach, którzy samodzielnie podbijają cały ląd, to jedna z największych i najbardziej utrwalonych mistyfikacji historycznych. Hiszpanie wykorzystywali stare, krwawe niesnaski plemienne. Na przykład potężne królestwo K'iche' na południu zostało podbite przez konkwistadora Pedra de Alvarado przy wielkim wsparciu sąsiednich Kaqchikelów, którzy widzieli w Hiszpanach szansę na zgniecenie odwiecznego wroga. Alvarado szybko obrócił się również przeciwko nim, ale początkowe zwycięstwa Hiszpanów opierały się właśnie na tym sojuszu.

Większość armii uderzającej na królestwa dzisiejszej Gwatemali wcale nie stanowiła europejska szlachta. Hiszpanów było tam zaledwie kilkuset. Szło z nimi za to 10 tys. rdzennych wojowników z centralnego Meksyku. Byli to głównie Tlaxkalanie – lud, który nigdy nie został podbity przez Azteków i który pałał do nich taką nienawiścią, że zawarł polityczny układ z Europejczykami, uderzając w Trójprzymierze Azteckie, a później wspierając hiszpańskie działania w innych częściach Ameryki Środkowej. W okresie kolonialnym w dowód zasług otrzymali oni nawet status uprzywilejowany. W Meksyku do dzisiaj część społeczeństwa lekceważąco nazywa ich „traidores", czyli zdrajcami. O skali tego „rdzennego zaangażowania" świadczą chociażby zachowane lienzos – specjalne kroniki rysowane na wielkich kawałkach bawełnianego płótna, na których ludy takie jak Tlaxkalanie ukazywały konkwistę jako swoje własne, z chlubą traktowane militarne zwycięstwo.

Jak wyglądała prozaiczna codzienność tego ludu? Co trafiało na majańskie stoły i czy odnajdujemy ślady specyficznych używek?

Ich żywnościowym fundamentem była kukurydza, ale wbrew powszechnemu wyobrażeniu jedli ją nie pod postacią cienkich tortilli (charakterystycznych dla centralnego Meksyku), lecz tzw. tamales. To niezwykle popularne do dziś danie,

eprasa.pl 9c1b920042

znane w inskrypcjach jako „waaj" (czyt. uah). Masę kukurydzianą nadziewano mięsem indyka, a bywało, że i iguany, owijano starannie w liście kukurydzy (dziś też bananowca) i gotowano na parze.

Z używek alkoholowych najpopularniejsze były balché, napój z fermentowanej z miodem kory drzewa, oraz specyficzne pulque, znane z inskrypcji jako „chih", tworzone na bazie soku z agawy. Sfermentowane pulque działa – co wiem z własnego, nieco bolesnego doświadczenia – z opóźnionym zapłonem, wciąż fermentując w żołądku. Zawiera jednak mnóstwo probiotyków i ma działanie lecznicze, zwłaszcza gdy... wprowadza się je drogą doodbytniczą, co potwierdzają wizerunki rytualnych lewatyw na starożytnych naczyniach. W zwykłym cyklu trawiennym agresywny, kwaśny żołądek zabiłby dobre bakterie w napoju, więc starożytni medycy mieli doskonałą świadomość anatomii.

Z trunków do historii przeszło słynne majańskie kakao, często doprawiane miodem, wanilią albo... piekielnie ostrymi papryczkami chili. Kakao funkcjonowało nie tylko jako ceniony napój dworski. Jego ziarna były walutą, i to o niezwykłej sile nabywczej. Wiemy, że za kilka ziaren można było kupić jajo indycze.

Mit o matriarchalnych strukturach to tylko romantyczna utopia?

To w większości utopia, ponieważ rdzenną zasadą cywilizacji Majów był dość ścisły patriarchat z dziedziczeniem władzy w linii męskiej. Zdarzały się jednak zawirowania, a luki dynastyczne wypełniały kobiety o ambicjach przewyższających niejednego generała. Doskonałym przykładem jest władczyni miasta Naranjo. Kazała ona rzeźbić się na kamiennych stelach w stroju wielkiego wojownika depczącego bezlitośnie ciała pokonanych w bitwie jeńców! Przedstawiano ją w konwencjach zarezerwowanych w sztuce dla największych męskich autokratów. Kobiety odgrywały też istotną rolę w rytuałach, np. tych inicjujących skomplikowane i brutalne mecze rytualnej gry w piłkę.

Dziś to Polacy wycinają drogę maczetami do nowych odkryć. Zresztą rozmawiamy kilkanaście dni przed pańskim wylotem do Gwatemali. Jak duży jest wkład naszego rodzimego środowiska archeologicznego w poznawanie historii z głębi amerykańskiej dżungli?

Maska pogrzebowa króla Pakala z Palenque

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, NARODOWE MUZEUM ARCHEOLOGII, WOLFGANG SAUBER

Możemy być z tego wkładu naprawdę dumni. Pomijając już moje rodzinne krakowskie podwórko, znakomite projekty, finansowane przez Narodowe Centrum Nauki, realizuje misja Uniwersytetu Warszawskiego pod egidą dr. Jana Szymańskiego. Prowadzi ona wykopaliska w Salwadorze – w państwie, w którym do niedawna panowały krwawe rządy gangów i nikt tam nie pchał się z łopatą. Teraz, pod nową władzą gwarantującą bezpieczeństwo twardą ręką, Polacy odkrywają w San Isidro przepiękne, wczesne pochówki z jadeitem we wnętrzu największej piramidy. Prężnie działają prof. Stanisław Iwaniszewski – wybitny specjalista od archeoastronomii z Państwowego Muzeum Archeologicznego w Warszawie – i dr Michał Gilewski z UW, pracujący na wybrzeżu Gwatemali.

My z kolei skupiamy się teraz głównie na technologii LiDAR. Poligon gwatemalskiej dżungli o powierzchni blisko ćwierci tysiąca kilometrów kwadratowych, który analizujemy, został zeskanowany laserowo z powietrza. Kiedyś badacz szedł w ciemno, szukając szczęścia. Dzisiaj wchodzimy z maczetą, mając w ręku milimetrowe cyfrowe koordynaty satelitarne. Właśnie tak zlokalizowaliśmy potężną fortecę niedaleko Nakum.

Jest takie jedno zjawisko lub znalezisko, które spędza panu profesorowi sen z powiek?

Tak... Jest wielka, nieodkryta jeszcze w pełni karta historii. Nazywamy to zdarzenie entradą, wielkim najazdem. W IV w. w sercu ziem Majów nieoczekiwanie stanęła potężna obca armia z oddalonego o tysiąc kilometrów gigantycznego miasta Teotihuacán. Wiemy z ocalałych ułamków inskrypcji, że ten niesamowity najazd był sterowany przez władcę o pseudonimie Miotacz Oszczepów Sowa, a na jego czele szedł wielki dowódca Sihyaj K'ahk', czyli Zrodzony z Ognia.

Odnalezienie w zrujnowanych świątyniach zarośniętych lasem kolejnych inskrypcji dokumentujących podbój dumnego Tikal i kilku innych królestw Majów przez tę potężną metropolię z centralnego Meksyku byłoby archeologicznym spełnieniem marzeń, absolutną bombą! Na ten moment czekam w Polsce, wypatrując dokumentów zezwalających na powrót do Gwatemali. Gdzieś tam, pod grubą warstwą humusu i korzeni, leżą odpowiedzi na fascynujące pytania.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

prof. Jarosław Zrałka – archeolog z Uniwersytetu Jagiellońskiego, kierownik Zakładu Archeologii Nowego Świata w Instytucie Archeologii UJ. Od wielu lat prowadzi badania w Gwatemali, na terenie Parku Narodowego Yaxha–Nakum–Naranjo oraz w regionie zamieszkanym przez współczesnych Majów Ixil.

eprasa.pl 9c1b920042

Druga wojna światowa / Wspomnienia Jana Szczepańskiego

Krzyki z Wołynia

Anna Szczepańska

Rodzina mojego dziadka pochodziła z Wołynia. Tylko jej część przeżyła ludobójstwo UPA. „Drogi bracie Janku! Obecnie jestem i mieszkam u stryjka we Włodzimierzu. Uciekliśmy wszyscy z domu. Mama z Olesiem i Czesiem siedzą już dwa tygodnie w krzakach. Symeny mordują wszystkich Polaków, z Głęboczycy większa połowa ludzi nie żyje" – pisała do mojego dziadka jego siostra

Najczęściej jeździliśmy na jarmarki do Włodzimierza, bo tam odbywały się największe targi, również było dużo różnego rodzaju sklepów. Miasto Włodzimierz było zamieszkane przez Polaków i Żydów. Miasto było raczej handlowe, przemysł też był, ale niezbyt duży.

Do tego było bardzo dużo Wojska Polskiego. Zaraz na początku miasta, jak się wjeżdżało od naszej strony, stały duże, piętrowe, murowane z czerwonej cegły koszary, po obydwu stronach ulicy […]. Często jeździłem do Włodzimierza, przeważnie z ojcem. Moim marzeniem było nieraz godzinami przestać przy koszarach i przyglądać się, jak ułani ćwiczą" – pisał w swoim pamiętniku mój dziadek Jan Szczepański.

Obrazy Wołynia towarzyszyły mu do końca jego dni (zmarł w 1998 r.). Myślę, że spisywanie wspomnień przynosiło mu ulgę, nawet kiedy pisał o rzeczach najtrudniejszych (można odnieść wrażenie, że drżała mu wtedy ręka, bo pismo stawało się bardziej chwiejne).

Wymarzona Głęboczyca

Jan Szczepański urodził się 13 maja 1925 r. Jego przodkowie pochodzili z Mazowsza, a na Kresy trafili po powstaniu styczniowym. Dziadek przyszedł na świat we wsi Grabina, gdzie wraz z rodzicami, Bronisławem i Zofią, a potem z dwa lata młodszą siostrą Wandą i pięć lat młodszym bratem Aleksandrem mieszkał do piątego roku życia.

„Był rok 1931, ojciec gospodarkę w Grabinie sprzedał i kupił drugą, we wsi Świętoczyn. Tam było bardzo ładnie, budynki ładne, zgrabne podwórko, dookoła ogrodzone ładnym płotem, a pośrodku studnia. Jednym słowem, zagroda jak wymalowana w książce na obrazku".

Dziadkowie nie mieszkali tam jednak długo. Gdy trafił się dobry kupiec, sprzedali gospodarkę i przenieśli się do Hajek, ale później żałowali tej decyzji.

„[…] Hajki była to wieś zamieszkała przez dość zamożnych Ukraińców i właśnie wtedy ogarnęła mnie jakaś tęsknota i sam nie wiedziałem za czym, jak gdybym czuł i wiedział, co się tam stanie za parę lat" – wspominał dziadek.

eprasa.pl 9c1b920042

Wołyńska wieś FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

„Stamtąd zacząłem chodzić do szkoły, do pierwszej klasy. Szkoła była w sąsiedzkiej wsi Jagodno […]. Między Hajkami a Jagodnem przepływała rzeka Turia. Latem przyjemnie tamtędy było przechodzić, bardzo dużo kwiatów kwitło na łące, a przy wodzie stało kilku rybaków i łowiło ryby.

Do szkoły tej chodziły dzieci polskie i ukraińskie. W szkole byli nauczyciele Polacy, na przykład pan Kwiatkowski i jego żona. Uczyli tylko po polsku, bo to była wtedy polska ziemia i polski rząd. Gdy wychodziliśmy po lekcjach na pauzę, słyszało się język polski i ukraiński i wtedy zorientowałem się, że mieszkam wśród Ukraińców. Między dziećmi polskimi i ukraińskimi nie było przyjaźni. Oni nas przezywali lachami albo mazurami, a my ich gadami i kacapami albo chodakami”.

Po dwóch latach dziadkowie znowu sprzedali gospodarstwo i przeprowadzili się do pobliskiej wsi Głęboczyca. Tu już mieszkało się lepiej. „Była to wieś zaludniona przez Polaków. Mieszkał tam mój dziadek Franciszek Szczepański, brat ojca Wiktor, wujek Małecki i wujek Mamrot […], numerów było około 45. Były tam wielkie obszary żyznej gleby […]. Tam rodzice kupili gołą ziemię. Pamiętam, było to latem i w to samo lato musieliśmy postawić dom i oborę […]. Do szkoły stąd chodziłem do Słowikówki, ale była tam tylko szkoła czteroklasowa […]. W końcu mama nas usłuchała i przepisała mnie i siostrę do Turyczan. Co prawda, było do szkoły dwa razy dalej, ale lepiej, bo dziecko mogło ukończyć siedem klas. Nauczycieli było trzech: kierowniczka pani Ogniewszczukowa, jej mąż Ogniewszczuk i pan Drzewiński, który w 1939 roku zginął na wojnie jako żołnierz-bohater. Naprawdę był to bardzo kochany człowiek. Gdyby mu przyszło dziecko uderzyć, to najpierw by się sam popłakał”.

„Malowana kraina”

Wspomnienia o Turyczanach pojawiają się na kartach pamiętnika wiele razy. Majątek we wsi należał do Tadeusza Krzyżanowskiego, zasłużonego społecznika, który po odzyskaniu przez Polskę niepodległości formował władze polskie na Wołyniu. Krzyżanowski opuścił majątek wraz z żoną 17 września 1939 r. Mieszkał w Warszawie, działał w Radzie Głównej Opiekuńczej i współpracował z Delegaturą Rządu na Kraj. Po wojnie został aresztowany przez władze komunistyczne. Zmarł w 1954 r. w więzieniu we Wronkach.

W czasach „wołyńskich” Krzyżanowski był lubiany przez miejscowych i miał z nimi dobry kontakt. Pewnego razu sprzedał mojemu pradziadkowi konia.

„Co to był za koń! Nazywano go Ziukiem. Był to koń uczony, zgrabny i ładnej szpakowatej maści, w okrągłe ciemne pręgi. Wszystkie słowa rozumiał, i nogę dał, i siadł na tyle i dęba stanął, dosłownie pociecha z nim była. Jedno tylko, to ciągnąć wozu nie chciał. Ojciec żartował, że Ziuk mądry, kiedy nie chce ciężko pracować” – pisał dziadek.

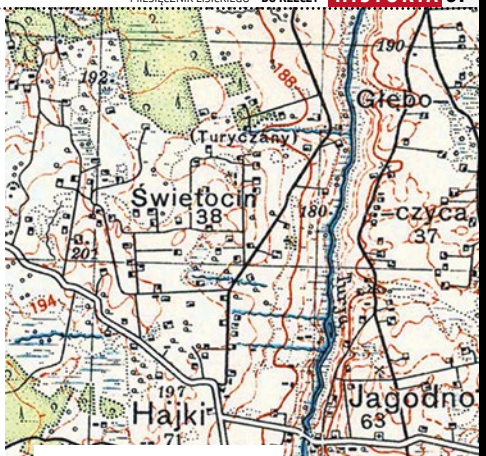

Mapa WIG okolicy, o której mowa w tekście

FOT. ATLAS.IHPAN.EDU.PL

W czerwcu 1938 r. rodzina się powiększyła. Na świat przyszedł najmłodszy z rodzeństwa – Czesław. Dziadek pracował już jak dorosły na roli i w obejściu. Jednocześnie dużo się uczył, szykując się do egzaminów do gimnazjum. Mimo wielu obowiązków dziadek wspominał tamten czas jako spokojny i radosny:

„Z Głęboczycy na swą rodzinną wieś Grabina często chodziliśmy z siostrą Wandą. Mieszkał tam dziadek Siwiec, ojciec naszej mamy, oraz dwie siostry ojca […]. Szło się bardzo przyjemnie, człowiek czuł się jak gdzieś w malowanej krainie, zwłaszcza latem. Nad łanami zboża świergotały ptaki całymi chórami. Widziało się bociana, a na prawo mały lasek i tuż przed nogami z lasku wyskakiwały zające […]. Na ogół dobrze i wesoło się

Jan Szczepański

FOT. ARCHIWUM AUTORKI

eprasa.pl 9c1b920042

Chłopi nad rzeką Turią FOT. NAC

nam żyło. Miałem dużo kolegów jak: Tadzik Wyka, Janek Wiśniewski, Antek Zymun, Michał Bartoszczyk, Władek Wyka, Olek Rożen, Józek Rożen i o dziwo Andżej Ostapiuk. Ten ostatni kolegował się z nami wszystkimi. Pochodził z rodziny ukraińskiej i mieszkał w wsi ukraińskiej Jagodnie, a jednak nie chciał w ogóle zadawać się z Ukraińcami".

O takich Ukraińcach jak Ostapiuk dziadek pisał kilkakrotnie. Byli to Ukraińcy, którzy mówili głównie lub wyłącznie po polsku i utrzymywali kontakty przede wszystkim z Polakami. Z tego powodu nie byli szanowni przez innych Ukraińców. Od Polaków różniło ich tylko to, że byli wyznania prawosławnego.

Wojna na horyzoncie

„Nadszedł rok 1939. Całe lato było spokojne, pola ładnie obrodziły, wszyscy normalnie pracowali. U nas w zagrodzie budowaliśmy nową stodołę, która w końcu sierpnia była już na ukończeniu. Pierwszego września przybijaliśmy z ojcem resztę desek u szczytu stodoły. Nagle we wsi, w pobliskich zabudowaniach, słychać ujadanie psów. Za chwilę i nasz pies zaszczekał, a ja ujrzałem, jak pędem wjechał na nasze podwórko sołtys Chojnacki. Zawiadomił nas, że dziś rano rozpoczęła się wojna. Niemcy napadli na Polskę. Powiedział, że rozwozi wezwania dla mężczyzn do wojska. Ojciec przestraszony zapytał: »ja też?«. »Nie, Bronek, ty jeszcze nie« – odpowiedział sołtys i odjechał".

Strachu było dużo, ale przez kilka kolejnych dni ludzie wierzyli jeszcze, że Polacy Niemców pobiją. Wiadomości z frontu było niewiele.

Nadzieja runęła 17 września, kiedy Sowieci przekroczyli polską granicę. Do tego doszły inne przerażające wieści: „Zaraz po ogłoszeniu [że Sowieci przeszli polską granicę] utworzyła się ukraińska partyzantka, a były ich duże masy, przeważnie w lasach, przy głównych drogach, gdzie rozbrajali polskie wojsko. Kiedy front było już dobrze słychać, przyszła do naszej wioski wiadomość, że Ukraińce będą wszystkich Polaków wystrzeliwać, dzieci i starszych, co do nogi. A że strzelali do wojska polskiego, to wiedzieliśmy dokładnie od żołnierzy".

Wszyscy mężczyźni z wioski zaczęli się mobilizować do obrony. W domu panowała złowroga atmosfera. Rodzice uradzili, aby dzieci ukryć u sąsiada Ukraińca nazwiskiem Ochwat, z którym się przyjaźniono. Jak uważali: „Ukraińca przecież nie będą bić".

Sąsiad zgodził się od razu i dzieci ukrył w stodole. Pradziadek poszedł z innymi pilnować wioski. Co jakiś czas słychać było wystrzały, ale pożarów nie było widać, „a przecież mówili, że bandy ukraińskie wioski będą podpalać". Następnego dnia rodzice zabrali jednak dzieci do domu. Stwierdzili, że jeśli mają zginąć, to wszyscy razem. Przez kolejne noce rodzina ukrywała się w sadzie.

Wkrótce Sowieci zajęli powiat włodzimierski, a ukraińska partyzantka nie była już tak aktywna. Miejscowi Polacy nie bali się więc aż tak Ukraińców.

Wszystko zmieniło się po ataku Niemiec na ZSRS. Dziadek pisał: „Za Niemców hitlerowskich było bardzo ciężkie życie, zwłaszcza dla Polaków. Naród ukraiński chcąc sobie zdobyć własną i niepodległą Ukrainę, poddał się całkowicie Niemcowi, a nawet postanowił z nim ramię w ramię walczyć na wszystkich frontach. Toteż Niemcy brali młodych Ukraińców do wojska, również dużo młodsi Ukraińcy zgłaszali się na ochotnika do pracy w Niemczech. Wszędzie w urzędach i w milicji byli tylko Ukraińce. Stopniowo naród polski był prześladowany, nie posiadał żadnego prawa. Poza tym trzeba było odstawiać dużo była i trzody chlewnej. Na przykład tylko z naszego gospodarstwa zabrali dwie krowy i kilka świń, nic nie płacąc".

Pałac w Turyczanach
FOT. DBC.WROC.PL/DLIBRA

Na początku czerwca 1942 r. 17-letni dziadek otrzymał wezwanie – miał się stawić w Turyczanach i jechać do Niemiec. W piśmie nie były podane miejsce docelowe ani charakter wyjazdu.

„Nadszedł najważniejszy dzień w moim życiu, bowiem w tym dniu musiałem rozstać się z moimi najbliższymi, częściowo na parę lat, a częściowo na całe życie, na zawsze, na przykład z braćmi dwunastoletnim Olkiem i pięcioletnim Czesiem, z dziadkiem Szczepańskim, chrzestną Anielą i wieloma innymi krewnymi i znajomymi, których już nigdy w życiu nie zobaczyłem, bo nie żyli, byli wymordowani przez bandy ukraińskie".

W ostatniej chwili, tuż przed odjazdem, dziadek zobaczył jeszcze swojego ojca biegającego od wagonu do wagonu, szukającego swojego syna. Zdążyli jeszcze krótko porozmawiać. „Wtedy przez chwilę myślałem, że skonam z żalu, jak zobaczyłem biegnącego za pociągiem mojego ojca. Biegł sam i machał ręką na pożegnanie, pociąg go minął, wszystkie wagony go opuściły, a ojca jeszcze widziałem biegnącego".

Echa mordów

Po dwóch dniach jazdy pociągiem dojechali na miejsce. Polaków z Wołynia najpierw umieszczono w obozie jenieckim, gdzie znajdowali się też polscy żołnierze. Tam podzielono ich na dwie grupy. Mężczyzn powyżej 20.

eprasa.pl 9c1b920042

roku życia skierowano od razu do pracy w kopalni. Młodszych, w tym dziadka, zabrano na ciężarówki i zawieziono do miasta Brambauer koło Dortmundu. Tam zamknięto ich w obozie razem z Rosjanami, co Polaków bardzo zbulwersowało. Niemcom nie robiło to jednak różnicy. Dla nich wszyscy więźniowie byli po prostu „ze wschodu" i wszyscy otrzymali oznaczenia „OST". Dziadek, jako numer 3755, trafił do koksowni.

Praca była ciężka i śmierdząca, a jedzenie podłe. Niemcy znęcali się nad więźniami. Pewnego dnia dziadek był świadkiem rozstrzelania Rosjanina, który próbował uciec z obozu.

W sierpniu 1942 r. większość Polaków przeniesiono do innego obozu (w tym samym mieście), gdzie otrzymali naszywki „P", oznaczające Polaków. Praca pozostała ta sama. Wkrótce z powodu szkodliwych oparów, zimna i głodu dziadek poważnie zachorował, więc przeniesiono go do innej, nieco lżejszej pracy. Wiosną 1943 r. otrzymał wiadomość, że jego ojca Niemcy też wzięli na przymusowe roboty do Niemiec.

Jesienią nadszedł kolejny list. Tym razem pisała siostra:

„Drogi bracie Janku! Obecnie jestem i mieszkam u stryjka we Włodzimierzu. Uciekliśmy wszyscy z domu. Mama z Olesiem i Czesiem siedzą już dwa tygodnie w krzakach. Symeny mordują wszystkich Polaków, z Głęboczycy większa połowa ludzi nie żyje. Bardzo martwię się o mamę i dzieci, bo mogą umrzeć z głodu, albo ich zabiją. Zasyłam ci serdecznie pozdrowienia".

Dziadek komentował: „A więc stało się. Obiecywali Ukraińce, że będą Polaków wybijać i wreszcie wybijają […]. Siostra napisała »Symeny«, bo gdyby napisała »Ukraińce« to pocztówki mógłbym nie otrzymać".

Dziadek nie wszystko wtedy rozumiał i zadawał sobie wiele pytań: co z mamą, braćmi, czy jeszcze żyją, w jaki sposób siostra dostała się do Włodzimierza, dlaczego matka z dziećmi nie poszła razem z nią.

Wszystkim Polakom z Wołynia, którzy znajdowali się w obozie, wiadomości te mroziły krew w żyłach. Była to pierwsza wiadomość o ludobójstwie wołyńskim. W kolejnych tygodniach inni także otrzymywali podobne listy. „Dużo kolegów nie miało już nikogo, całe ich rodziny były wymordowane. Nie mieli do kogo ani pisać, ani wracać" – pisał dziadek.

Krzyk Czesia

Kolejna upragniona wiadomość nadeszła dopiero w połowie grudnia 1943 r. Adres na kopercie mówił: Bełżyce, Chełm. Pisała matka:

„Drogi synu, jak pragnę cię jeszcze w życiu zobaczyć, bardzo za tobą tęsknię. Teraz jestem tylko z Wandą. Oleś i Czesio nie żyją. Z naszej wsi nawet połowa nie uciekła, reszta nie żyje. Dziadek Franciszek też zabity.

Ukraińce zaczęli wszystkich mordować po kolei od strony Turyczan. Ludzie

Jan Szczepański z kolegą podczas robót przymusowych w Niemczech

FOT. ARCHIWUM AUTORKI

stamtąd uciekali i krzyczeli »ratunku!«. Myśmy już wiedzieli, o co chodzi, więc uciekliśmy wszyscy w krzaki koło gajowego. Siedzieliśmy tam parę dni. Nocą chodziłam do domu po żywność, krów i kasztanki już nie było, zabrali bandyci. Po paru dniach ukrywaliśmy się w stodole u Rożnów, ale chyba ktoś nas wydał, bo przyjechał cały wóz bandytów i szukali nas w stodole. Przewracali snopki, wsadzali kosy głęboko w słomę, ale Bogu dzięki nie znaleźli nas, więc zaraz w pierwszą noc wyszliśmy z tej stodoły i wszyscy razem udaliśmy się przez pola do Włodzimierza. Gdy przeszliśmy Jagodno, Rożnowa kazała, żebym się wróciła z dziećmi, bo Czesio był chory, do tego ze strachu strasznie płakał, jego płacz mogli Ukraińce usłyszeć i wszystkich zabić.

Więc wróciłam się z Olesiem i Czesiem, a Wandzia poszła z Rożnami do Włodzimierza. Zrobiliśmy sobie kryjówkę za naszą stodołą, byliśmy tam parę dni, żywiliśmy się tylko jajkami, bo kury jeszcze były. Po kilku dniach poszłam do stodoły uzbierać jajek i wtedy zauważyłam dużo Ukraińców. Część z nich szła blisko naszych budynków. Ja szybko ukryłam się w sadzie. Gdyby chłopaki cicho siedzieli, to by ocaleli, ale Czesio wyjrzał, zobaczył Ukraińców i uderzył w krzyk. Bandyci to usłyszeli, dobiegli do nich, przyprowadzili na podwórko i kazali wołać »mamo«. Ja słyszałam wszystko, trzęsłam się i mdlałam ze strachu... Wtedy drogą jechał wóz drabiniasty, nasze dzieci zaprowadzili do tego wozu i zawieźli w stronę lasu...

W sadzie przeleżałam cały dzień, byłam bardzo słaba. Na drugi dzień zobaczyłam Niemców, poszłam do nich. Kilkanaścioro niedobitków też wyszło z ukrycia. Niemcy kazali nam wyjechać do Włodzimierza. Tam odnalazłam Wandzię i stryjka Władka […]. [Później] Ukraińce spalili wszystkie polskie wioski, a wraz z nimi spalili też naszą Głęboczycę, nie zostało tam nic […]. W listopadzie nocą przeprawiliśmy się wodą przez Bug. Obecnie mieszkamy u gospodarza w Bełżycach […]".

Dziadek nie wiedział wtedy, czy w ogóle będzie miał do kogo wracać. W tamtej chwili było mu wszystko jedno. Jak pisał, jedyne, co dawało mu siłę, to słowa matki: „Jak pragnę cię jeszcze w życiu zobaczyć".

Kolejne wiadomości od siostry i matki przychodziły sporadycznie. O Wołyniu nie było już żadnych wzmianek...

Dziadek pracował w niemieckich obozach do końca wojny. Na początku kwietnia 1945 r., podczas bombardowania Brambauer, obóz został „ewakuowany" – Niemcy wyprowadzili więźniów z obozu, aby ich rozstrzelać za miastem. Dziadek podczas marszu wykorzystał chwilę nieuwagi strażników i uciekł. Po wojnie trafił do alianckiego obozu dla uchodźców. Do Polski wrócił dopiero w 1947 r., po długich poszukiwaniach rodziny, która ostatecznie znalazła się w centralnej Polsce.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9c1b920042

Druga wojna światowa / Banderowcy a kwestia żydowska

Upamiętnienie Żydów zamordowanych w Babim Jarze. W zbrodni pomocniczą rolę odgrywała kolaboracyjna policja ukraińska FOT. ADOBE STOCK

UPA przeciw Żydom

Arkadiusz Karbowiak

Ukraińscy nacjonaliści pomagali Niemcom w mordowaniu Żydów, wykazując się przy tym dużą inicjatywą

Już w latach 30. antysemityzm zaczął odgrywać w ideologii OUN coraz większą rolę. Nie dziwi więc, że na odbywającym się w kwietniu 1941 r. w Krakowie II Wielkim Kongresie OUN-B, czyli banderowskiej frakcji OUN, pojawiły się wątki antyżydowskie. Uchwała dotycząca Żydów wskazywała, że OUN-B „zwalcza Żydów jako podporę reżimu moskiewsko-bolszewickiego, uświadamiając jednocześnie masom ludowym, że Moskwa jest głównym wrogiem".

W maju 1941 r., w przededniu inwazji III Rzeszy na ZSRS, pojawiły się wytyczne w tej sprawie opracowane przez Stepana Banderę, Romana Szuchewycza, Stepana Łenkawskiego i Jarosława Stećkę, które zostały skierowane do struktur OUN-B. Widać w nich nieco bardziej radykalne podejście, czego świadectwem było uznanie Żydów (a także Polaków i Rosjan) jako przedstawicieli wrogiej mniejszości, których zamierzano wytępić w walce, gdy staną po stronie reżimu bolszewickiego. Przewidywano usunięcie ich z urzędów, izolację lub w ostateczności pracę pod nadzorem. Lider banderowskiego podziemia na okupowanych Kresach Wschodnich Iwan Kłymiw „Łegenda" na tej podstawie wydał własne rozkazy. Wzywał w nich do niszczenia Polaków, Rosjan, Węgrów i Żydów. Rozciągnięcie wrogości na całą społeczność świadczyło o postępującej radykalizacji w kwestii postrzegania Żydów.

Egzemplifikacją tego trendu były słowa, które zapisał w swoim życiorysie przebywający w areszcie honorowym w Berlinie Jarosław Stećko, premier powstałego 30 czerwca 1941 r. we Lwowie rządu ukraińskiego: „Uważając za głównego i decydującego wroga Moskwę, a nie żydostwo, która w rzeczywistości trzymała Ukrainę w niewoli, niemniej jednak oceniam należycie niezaprzeczalnie szkodliwą i wrogą rolę Żydów, którzy pomagają Moskwie zniewalać Ukrainę. Dlatego stoję na stanowisku zgładzenia Żydów i celowości przeniesienia na Ukrainę niemieckich metod eksterminacji żydostwa, wykluczając ich asymilację".

Można byłoby uznać tę opinię za jednostkową i incydentalną, gdyby nie kompatybilne poglądy wyrażone 18 lipca 1941 r. na posiedzeniu Rady Seniorów (pełniącej rolę organu doradczego ukraińskiego rządu Stećki) przez Stepana Łenkawskiego. Stwierdził on mianowicie: „Jeśli chodzi o Żydów, zastosujemy wszelkie metody, jakie posłużą do ich unicestwienia". Na tym samym posiedzeniu wtórował mu pisarz Ołeksa Haj-Hołowko, który konstatował: „Żydzi są bardzo bezczelni... Muszą być traktowani bardzo surowo... Musimy ich wykończyć... Punkt widzenia Niemców bardzo się nam podoba".

W roli głównej

Za tymi słowami poszły konkretne czyny. 25 czerwca 1941 r., trzy dni po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej, Stepan Bandera dokonał w Hrubieszowie inspekcji Grupy Pochodnej „Północ", kierowanej przez Iwana Kłymyszyna. Tego samego dnia prowidnyk OUN-B otrzymał meldunek od Jarosława Stećki, stojącego na czele grupy pochodnej

eprasa.pl 9c1b920042

OUN-B zmierzającej do Lwowa: „Tworzymy milicję, która pomoże usuwać Żydów oraz chronić ludność".

Członkowie ukraińskiej milicji ludowej (powstałej z banderowskiej inspiracji) odgrywali pomocniczą, a czasami nawet główną rolę w egzekucjach Żydów dokonywanych przez jednostki Einsatzgruppen (EG), policji, Wehrmachtu czy Waffen-SS.

Mordy na Żydach były możliwe z powodu sprzyjającego „klimatu", który stworzyły okupacyjne władze niemieckie. Funkcjonariusze EG, zgodnie z wysłanym 29 czerwca 1941 r. dalekopisem Reinharda Heydricha, mieli inicjować w sposób zakulisowy wśród miejscowej ludności tzw. akcje oczyszczające skierowane przeciwko Żydom. Byli oni postrzegani jako beneficjenci systemu bolszewickiego, a radykalne nastroje wobec nich dodatkowo zaostrzyło odkrywanie zwłok więźniów pomordowanych przez NKWD. W sumie w okresie dwóch pierwszych miesięcy wojny z ZSRS akcje antyżydowskie zorganizowane w 143 miejscowościach w Galicji Wschodniej pochłonęły życie od 7,3 tys. do 11,5 tys. żydowskich ofiar. Za zabicie 60 proc. z nich odpowiadają żołnierze dywizji Waffen-SS „Wiking".

W sierpniu 1941 r. Niemcy rozwiązali struktury ukraińskiej milicji ludowej. Powstała pod niemieckim nadzorem ukraińska policja pomocnicza infiltrowana była w większym lub mniejszym stopniu przez OUN-B. Jej funkcjonariusze brali udział w zagładzie Żydów. Wiosną 1943 r. spora część policjantów, którzy uczestniczyli w akcjach antyżydowskich, zbiegła do UPA.

W momencie przejścia OUN-B do podziemia antyniemieckiego jesienią 1941 r. kwestia żydowska przestała odgrywać poważniejszą rolę w działalności ukraińskich nacjonalistów, ale niezmiennie Żydów postrzegano jako wrogów. Widać to było podczas odbywającej się w 1942 r. we Lwowie konferencji referentów wojskowych OUN-B, gdzie zaakceptowano propozycję zmuszenia ich do wyjazdu z Ukrainy. Konspekt Mychajły Smenczaka, który przechodził szkolenie polityczne w UPA, odzwierciedla punkt widzenia tej organizacji na kwestię żydowską: „Uważamy ich za agentów moskiewskiego imperializmu… Musimy jednak najpierw pokonać Moskali, a następnie Żydów niedobitków".

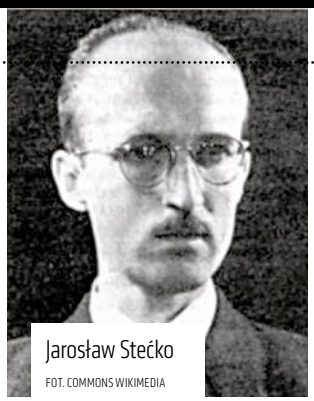
Jarosław Stećko
FOT. COMMONS WIKIMEDIA

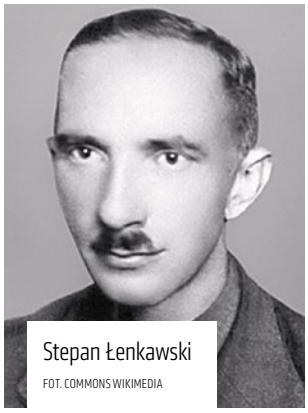
Stepan Łenkawski
FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Na „łono Abrahama"

Źródła polskie i żydowskie są zgodne co do tego, że partyzanci z UPA zabijali Żydów ukrywających się w wołyńskich lasach. Potwierdzają to zapisy meldunków z akcji zagonu im. Mychajła Kołodzinskiego, dowodzonego przez Mychajła Skubę „Łajdakę". We wpisie z 14 listopada 1943 r. czytamy: „Pluton z plutonowym… po otrzymaniu doniesienia chodził na Żydów, którzy zagnieździli się w lesie za Ostrowcami. Zastrzelili czterech Żydów, dwóch uciekło, a dwóch schwytali żywcem".

Kolejny wpis pod datą 15 listopada 1943 r. informuje: „[...] jednostka kawalerii we wsi Sielec złapała 10 węgierskich Żydów, którzy opuścili batalion pracy. Tego samego dnia zostali oni wysłani na »łono Abrahama«". Zagon działał na terenie WO (Wijskowy Okruh – Okręg Wojskowy) „Zahrawa" wchodzącego w skład UPA-Północ. Raport z tego okręgu z 20 września 1943 r. podaje: „Żydzi prawie całkowicie zlikwidowani. W małych grupach lub pojedyncze osoby ukrywają się w lesie i czekają na zmianę sytuacji politycznej. My osobiście zlikwidowaliśmy w rejonie Horynia siedmiu Żydów i Żydówkę".

W wielu przypadkach akcje antyżydowskie pochłaniały znacznie więcej ofiar. Tak było podczas ataku UPA na żydowski obóz znajdujący się na południe od miejscowości Serniki; jego mieszkańcy współpracowali z sowieckim oddziałem partyzanckim Maksyma Misiury. Podczas tej akcji miało zginąć prawie 50 Żydów. Jednym z kilku, którym udało się przeżyć i uciec do bolszewików, był Lazar Blomberg.

Operacje antyżydowskie leżały także w kompetencjach Służby Bezpieczeństwa OUN-B. W rozkazie z 11 marca 1944 r. podpisanym przez „Berkuta", jednego z dowódców SB OUN-B na Wołyniu, znajduje się zdanie jasno pokazujące intencje: „Bez zwłoki likwidować komunistów i Żydów". W poleceniu skierowanym do „Kolegi Kornija" nakazywano „niszczyć enkawudzistów, tajnych współpracowników, Żydów i Polaków". Przykładem antyżydowskiego nastawienia SB OUN-B jest działalność policjanta Iwana Fedoruka, który wiosną 1943 r. zdezerterował z szeregów podległej Niemcom ukraińskiej policji i trafił do banderowskiego podziemia. Skierowano go tam do pracy w SB OUN-B, nadając mu pseudonim Czornyj. Fedoruk wraz z trzema innymi bojówkarzami zabił dwóch młodych Żydów ukrywających się we wsi Ostrożec.

Pomimo walk toczonych z Niemcami UPA wiosną 1944 r. próbowała nawiązywać na płaszczyźnie antysowieckiej kontakty z niemiecką policją i Wehrmachtem, głównie w celu pozyskania broni. Czasami w trakcie toczonych negocjacji zwalczanie grup żydowskich stawało się elementem ułatwiającym porozumienie się. Świadczy o tym oczekiwanie wyrażone przez Dowództwo 1. Armii Pancernej: „W wypadku zawarcia umowy z UPA należy oczekiwać aktywnej pomocy przeciw sowieckim spadochroniarzom, szabrownikom z Armii Czerwonej, bolszewikom, bandytom polskim i żydowskim". W innym dokumencie Wehrmachtu czytamy o konkretnych działaniach: „W wyniku naszego rozpoznania zaobserwowano bandę Żydów na wschód od Bóbrki, planowane zniszczenie nie mogło zostać zrealizowane ze względu na wykorzy-

eprasa.pl 9c1b920042

stanie przeznaczonych do tego wojsk w innej operacji. UPA z powodzeniem podjęła się zniszczenia żydowskich bandytów i do tej pory zastrzeliła ich prawie 100".

Ten proceder dotyczył również Żydów nawiązujących kontakty z Polakami i ukrywających się w polskich wsiach atakowanych przez oddziały UPA. 26 marca 1943 r. w Lipnikach pacyfikowanych przez sotnie UPA podporządkowane Iwanowi Łytwynczukowi „Dubowemu", poza ok. 180 polskimi ofiarami, śmierć poniosło również czterech Żydów. 30 sierpnia 1943 r. we wsi Myślina UPA zabiła ok. 200 Polaków i cztery rodziny żydowskie. Ukrywający się w polskich wsiach Żydzi wspomagali polskie samoobrony w walkach z UPA. Tak było m.in. w Hucie Stepańskiej i Przebrażu. We wsi Bortnica (powiat Dubno) samoobrona składała się z 15 Polaków i 8 Żydów.

Najbardziej znanym przypadkiem udziału Żydów w zmaganiach z UPA była obrona Hanaczowa. Ataki sotni UPA „Siromaci" pod dowództwem Dmytra Karpenki „Jastruba" odpierał broniący tę miejscowość żydowski pluton Abrahama Bauma (należący do AK). Podziemie ukraińskie prowadziło akcje antypolskie i antyżydowskie nierzadko równolegle. Fiodor Wozniuk, członek bojówki Iwana Tykalskiego „Klucza", podczas przesłuchania przeprowadzonego przez śledczego NKWD w 23 maja 1944 r. zeznał: „Nasza bojówka otrzymała zadanie zabijania i rabowania wszystkich Polaków i Żydów na terenie r[ejo]nu dederkalskiego. Osobiście brałem udział w pogromie Polaków i Żydów we w[si] Kotlarówka [?] rejonu dederkalskiego 10–15 maja 1943 r.".

„Skripal" ze skalpelem

Wypada jednak zauważyć, że stosunek UPA do Żydów nie był jednowymiarowy. Zdarzało się, że partyzanci ukraińscy chronili Żydów, wykorzystując ich dla własnych potrzeb. Oczywiście nie był to układ „partnerski". Chodziło o kwestie czysto praktyczne i – de facto – pewien przymus, ale jednak dawał on niektórym Żydom możliwość przeżycia (przynajmniej przez pewien czas). UPA cierpiała na deficyt ludzi wykonujących różne przydatne partyzantom zawody, jak rusznikarz, szewc czy lekarz. W związku z tym banderowcy zaczęli korzystać z usług Żydów posiadających takowe umiejętności. Szczególnymi względami cieszyli się lekarze. Zasadniczo ich praca dla UPA była przymusowa, aczkolwiek czasami zdarzało się, że Żydzi utożsamiali się z celami walki podziemia banderowskiego.

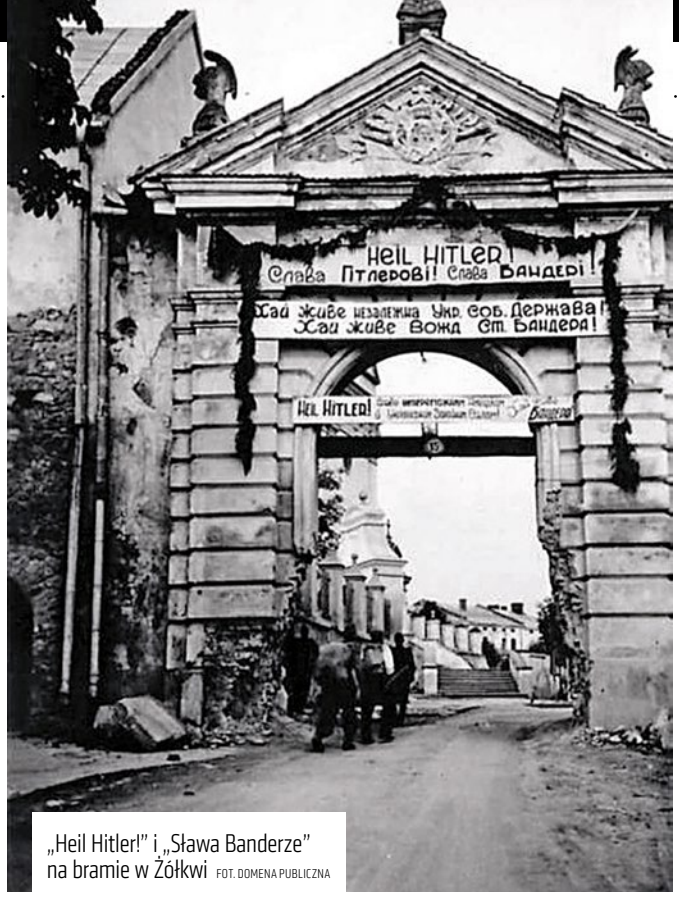

„Heil Hitler!" i „Sława Banderze" na bramie w Żółkwi FOT. DOMENA PUBLICZNA

Najbardziej znanym lekarzem był dr Szaja Warm „Skripal", który służył w zagonie im. Bohuna dowodzonym przez Porfira Antoniuka ps. Sosenko. „Skripal" 9 sierpnia 1944 r. został aresztowany przez NKWD. Przedstawiono mu zarzut działalności w UPA, a konkretnie wyleczenie ok. 200 partyzantów, co skutkowało przywróceniem ich do służby. Lekarz został skazany na karę 20 lat ciężkich robót. Po zwolnieniu mieszkał przez pewien czas w Łucku, po czym wyemigrował do Polski (był obywatelem II RP), a stamtąd wyjechał za granicę.

Innymi żydowskimi lekarzami służącymi w UPA byli m.in. Abraham Sterzer, który służył w kureniu UPA „Lwy", czy Samuel Nojman „Maksymowicz", pracujący przy sztabie UPA-Zachód. Ten ostatni był jednym z nielicznych Żydów poległych w szeregach UPA (zginął w 1945 r., podczas bitwy z jednostkami NKWD w Czarnym Lesie).

Stosunkowo wysoko w hierarchii podziemia ukraińskiego wspiął się Lejba Dobrowski „Walery", pełniący funkcję konsultanta polityczno-propagandowego w sztabie UPA-Północ. Dobrowski, absolwent Wydziału Prawa Kijowskiego Uniwersytetu Państwowego, w czasie swojej służby w UPA od lipca 1943 r. był autorem wielu broszur i ulotek propagandowych. W 1941 r., jako oficer Armii Czerwonej, trafił do niewoli niemieckiej, ale udało mu się uciec. Nie do końca jest jasne, czy członkowie ukraińskiego podziemia mieli świadomość, że jest on Żydem. Służbę w UPA Dobrowski zakończył 1 lutego 1944 r., gdy został aresztowany przez funkcjonariuszy sowieckich organów bezpieczeństw (dostał wyrok 10 lat więzienia).

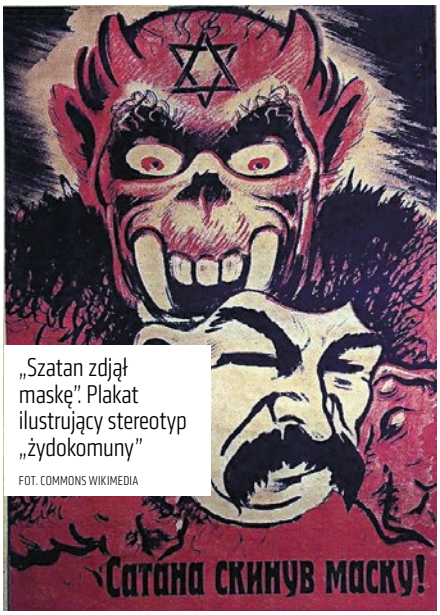

„Szatan zdjął maskę". Plakat ilustrujący stereotyp „żydokomuny" FOT. COMMONS WIKIMEDIA

eprasa.pl 9c1b920042

Zdarzało się również, że pod opieką upowców powstawały żydowskie obozy, w których mieszkali cywile. Za ich organizację odpowiadał ze strony ukraińskiej Wasyl Moroz „Zubatyj". Jeden z dowódców wołyńskiej UPA, Iwan Łytwynczuk „Dubowy", polecił osiedlić 40-osobową grupę Żydów w okolicach Kostopola. Jeden z Żydów wspominał: „Dowiedzieliśmy się, że koło miasteczka Antonówka… Żydzi żyją na wolności, że banderowcy ogłosili, że nie będą zabijali Żydów, ponieważ walczą przeciw wspólnemu wrogowi. Poszliśmy do Rzeczycy, rzeczywiście na wolności żyło tam 200 Żydów, pracując u chłopów jako garbarze, krawcy, szewcy itp.".

Trzeba jednak zaznaczyć, że finał funkcjonowania takich obozów żydowskich pod patronatem UPA często okazywał się tragiczny. Żyd z Tuczyna wspominał: „[…] banderowcy ogłosili, Anglia i Ameryka… zabroniły im zabijania Żydów, że pozwalają Żydom zająć opuszczone polskie domy […]. W grudniu 1943… zaczęli znów rejestrować Żydów… W grudniu 1943 pewien Żyd w nocy wybił szybę naszego okna i krzyknął: »uciekajcie, banderowcy wymordowali antonowskich Żydów«. Uciekliśmy do lasu, posłaliśmy gajowego na wywiad. Przyszedł z wiadomością, że banderowcy wymordowali wszystkich Żydów siekierami i nożami".

Balija Fajer, która była świadkiem tych wydarzeń, wspominała: „70 Żydów banderowcy wywabili z kryjówek. Zatrudniali ich jako rzemieślników… 70 Żydów, którzy pracowali u banderowców tuż przed przyjściem Armii Czerwonej, zostało wymordowanych przez swoich pracodawców". Takie działania wynikały z rozkazów, np. poniższego, wydanego przez referenta SB OUN-B „Żburta": „Wszystkich Żydów – niebędących specjalistami – likwidować konspiracyjnie, tak aby nasi ludzie nie znali prawdy, a szerzyli propagandę, iż uciekli do bolszewików".

Zmiana strategii

Na III Nadzwyczajnym Zjeździe OUN-B, który się odbył w dniach 21–25 sierpnia 1943 r., w punkcie 12 postanowień programowych przyznano (teoretycznie) mniejszościom narodowym równe prawa i obowiązki. Jednak mimo formalnej zmiany polityki wobec Żydów i niezaprzeczalnych przypadków udzielania im pomocy, w momencie zbliżania się do Kresów Wschodnich RP oddziałów Armii Czerwonej, struktury podziemia ukraińskiego uznawały Żydów za osoby mogące stanowić w okresie nadchodzącej okupacji sowieckiej potencjalne zagrożenie. W związku z tym postanowiły dokonać ich fizycznej likwidacji.

Ofiarą zbrodni UPA w Lipnikach padło 179–182 Polaków i czworo Żydów

FOT. STARWON.COM.AU, KOLEKCJA HENRYKA SŁAWIŃSKIEGO

Zmiana oficjalnej polityki wobec Żydów nie wykluczała likwidowania ich w związku z działalnością agenturalną na rzecz Sowietów

Zmiana sytuacji polityczno-militarnej związanej z pojawieniem się na Kresach Wschodnich sowieckich okupantów wpłynęła na modyfikację oficjalnego stanowiska UPA wobec Żydów. Tę tendencję sygnalizuje rozkaz z 5 września 1944 r. wydany przez WO „Buh", w którym napisano: „Żydzi i inni cudzoziemcy na naszych terenach: traktujemy ich jako mniejszości narodowe". W innej instrukcji OUN-UPA z 7 września 1944 r. stwierdzano: „Przeciwko Żydom nie prowadzić żadnych operacji. Kwestia żydowska przestała być problemem (pozostało ich bardzo niewielu)".

Ta zmiana oficjalnej polityki wobec Żydów nie wykluczała likwidowania ich w związku z działalnością agenturalną na rzecz Sowietów. Na bazie tego zezwolenia tylko w ciągu dwóch tygodni września 1944 r. w rejonie Rohatyna ukraińskie podziemie (nie wiadomo czy zasadnie) zabiło siedmiu Żydów uznanych za donosicieli, a 3 listopada 1944 r. we wsi Czerteż partyzanci z sotni UPA „Łetuny", należącej do WO „Howerla", powiesili żydowskiego mężczyznę.

Trudno na bazie istniejących szczątkowych danych określić liczbę żydowskich ofiar UPA. Polski historyk prof. Grzegorz Motyka szacuje ją na 1–2 tys. i wydaje się, że na obecnym etapie badań jest ona właściwa. Czas pokaże, czy dalsze ustalenia będą nas przybliżać do proponowanego przez amerykańskich historyków poziomu kilku tysięcy zabitych.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

WYBRANA BIBLIOGRAFIA:

Himka J.P., ***„Ukrainian Nationalists and the Holocaust"***; *Struve K.*, ***„Deutsche Herrschaft, ukrainischer Nationalismus, antijüdische Gewalt: Der Sommer 1941 in der Westukraine"***; *Zięba A. (red.)*, ***„OUN, UPA i zagłada Żydów"***; ***„МЕДИЧНА ОПІКА В УПА. ЛІТОПИС УПА", Т. 23.***

eprasa.pl 9c1b920042

XX w. / Genialny fałszerz znad Wisły

Polak, który pokonał Bank Francji

Beata Zubowicz

Banknoty podrobione przez Czesława Bojarskiego uznawane są dziś za dzieła sztuki. Na aukcjach numizmatycznych osiągają ceny wyższe od oryginałów. We Francji o Czesławie Bojarskim mawia się: „Cézanne fałszerzy”

Czesław Bojarski został przez opinię publiczną zapomniany, ale w swoim środowisku jest znany i uważany za fałszerza wszech czasów, za prawdziwego artystę” – tak o bohaterze swojego najnowszego filmu „L'affaire Bojarski” („Sprawa Bojarskiego”) mówił francuski reżyser Jean-Paul Salomé. Obraz wszedł na ekrany na początku 2026 r.; może nie stał się kinowym hitem, ale zebrał solidne recenzje. Napisały o nim najważniejsze francuskie gazety, na nowo – z pewnym zdumieniem – odkrywając niezwykłą historię naszego rodaka, który na przełomie lat 50. i 60. XX w. naraził Bank Francji na straty w wysokości 3 mln franków.

Do księgarń trafił też nowy kryminał autorstwa Guillaume'a Soa o identycznym tytule. A jeśli dodać wcześniejsze produkcje inspirowane historią Bojarskiego – film „Ogrodnik z Argenteuil” z 1966 r., z wielką gwiazdą ówczesnego kina Jeanem Gabinem w roli głównej i książkę autorstwa Dominique'a Raymonda Poiriera „Król fałszerzy banknotów” – to można uznać skromnego imigranta z Polski za bohatera francuskiej popkultury.

Skąd się wzięła fascynacja zdeklasowanym inżynierem i jego – bądź co bądź przestępczą – działalnością? Podziw numizmatyków budzi jego talent: podrobione przez niego banknoty są uznawane za dzieła sztuki. Nie bez przyczyny o Bojarskim mawia się we Francji, że to „Cézanne fałszerzy”. Efekty jego pracy doceniają też służby specjalizujące się w zwalczaniu fałszerstw. „Bojarski osiągnął poziom, który po dziś dzień pozostaje Świętym Graalem dla oszustów i nocnym koszmarem bankowców” – ocenia historyk Patryk Pleskot, autor

eprasa.pl 9c1b920042

Kadr z filmu „L'affaire Bojarski"
FOT. MATERIAŁY PRASOWE

książki „Przekręt. Najwięksi kanciarze PRL-u i III RP".

Odrzucona oferta

Bojarski podrobił trzy rodzaje banknotów: dwa sprzed denominacji, czyli tzw. stare franki, i jeden z serii nowych. W 1950 r. wpuścił do obiegu banknot o nominale 10 000 franków (typu 1945 „Minerwa i Herkules"), w 1958 r. o nominale 5000 [„Terre et mer" („Ziemia i morze") według wzoru z 1949 r.], a w 1962 r. swoje arcydzieło – banknot 100-frankowy z podobizną Napoleona Bonaparte, w tamtym czasie jeden z najnowocześniejszych na świecie; Francuzi uważali, że nie do podrobienia.

Eksperci dopiero po kilkugodzinnej analizie pod mikroskopem dostrzegali różnice: jeden z kosmyków włosów Napoleona był trochę za długi, brakowało jednego płatka w główce kwiatka w lewym górnym rogu banknotu, róż pokrywający kołnierz munduru cesarza był zbyt żywy, czarna farba – za mało nasycona, a do tego jej warstwa była trochę za gruba. Bojarski nie był też w stanie odtworzyć wszystkich zabezpieczeń. Z niektórych po prostu nie zdawał sobie sprawy, ponieważ były widoczne dopiero przy użyciu sprzętu wykorzystywanego przez bankowców.

Kiedy na początku 1964 r. Polak wpadł – przez niefrasobliwość wspólników – gen. Charles de Gaulle, w tamtym czasie prezydent Francji, zadecydował, że bank centralny wyrówna stratę posiadaczom fałszywek. Podrobione pieniądze były bowiem tak doskonałe, że nie sposób było wycofać ich z rynku bez specjalistycznych badań. A to z kolei byłoby zbyt drogą i skomplikowaną operacją. „Dokładność, z jaką wykonano kopie, jest doprawdy niezwykła i z całą pewnością można żałować, że Bojarski wykorzystał swój talent w taki sposób" – stwierdził prezes Banku Francji.

Żal powinien być tym większy, że wcześniej Polak oferował państwu francuskiemu usługi – przedstawił projekt, dzięki któremu – jak twierdził – „banknoty byłyby niemożliwe do podrobienia": proponował dodawać do masy papierowej metaliczny proszek. Nigdy nie dostał jednak odpowiedzi.

Zdeklasowany i niedoceniony

Nie była to ani pierwsza, ani jedyna porażka, której Bojarski doznał we Francji. Choć Francuzi pamiętają tamtą epokę jako Trente Glorieuses (Trzydzieści chwalebnych lat) – pełen wiary i optymizmu okres nieustannego wzrostu gospodarczego, trwający nieprzerwanie od 1945 do 1975 r. – to polski inżynier z niedoskonałą znajomością języka i z nieuznanym dyplomem nie miał zbyt wielu szans. Fałszerzem został więc trochę z konieczności, trochę z pychy, a trochę z frustracji wywołanej brakiem uznania dla jego intelektu, inwencji i umiejętności.

Wczesne lata Bojarskiego nie są zbyt szczegółowo opisane. Wiadomo, że urodził się w 1912 r. w Łańcucie, miasteczku słynnym głównie za sprawą imponującego zamku Potockich. Już w wolnej Polsce ukończył szkołę powszechną, gimnazjum i zdał maturę. Studia rozpoczął na Politechnice Lwowskiej, ale potem – nie wiadomo dlaczego – przeniósł się na Wyższą Szkołę Techniczną w Wolnym Mieście Gdańsku. W 1939 r., tuż przed wybuchem wojny, zdobył dyplom inżyniera architekta.

Wiadomo, że wziął udział w kampanii wrześniowej w stopniu podoficera. Potem jego życiorys się gmatwa. Prawdopodobnie dostał się do niemieckiej niewoli i albo przebywał na Węgrzech, albo uciekł z transportu Polaków wywożonych przez Niemców do Rzeszy. Jakkolwiek było, ostatecznie trafił do Francji do polskiego wojska. Po upadku Paryża w czerwcu 1940 r. nie ewakuował się do Wielkiej Brytanii.

Osiadł w malutkim miasteczku Vic-sur-Cère na środkowym południu, na granicy dzisiejszego Parku Regionalnego Wulkanów Owernii. Wówczas ten region znajdował się we Francji Vichy, jak się określa marionetkowe państwo kierowane przez marszałka Philippe'a Pétaina i podporządkowane III Rzeszy. Pewna autonomia, którą cieszył się ten fragment Francji, zapewniała jego mieszkańcom stosunkowo spokojne życie. Bojarski imał się wtedy różnych zajęć, ale usiłował także robić to, do czego wydawał się być stworzony – konstruował wynalazki.

W 1943 r. opatentował projekt specjalnej, sferycznej zatyczki do pojemników. Potem wymyślił model ruchomego fotela z drewna. Po wojnie dojdą do tego kolejne projekty: w 1946 r. opatentuje autorski projekt szczoteczki do zębów i kolejną wersję zatyczki na pojemniki, a potem jeszcze prekursorski, plastikowy ołówek, nowy rodzaj maszynki do golenia, a także model kapsułek do kawy. Po latach podobny projekt przyniesie szwajcarskiemu inżynierowi Ericowi Favre'owi fortunę.

Tuż po wojnie Bojarski przeniósł się do Paryża, gdzie najpierw pracował w fabryce obuwia jako robotnik, a potem próbował zarobić na swoich wynalazkach. Założył przedsiębiorstwo o nazwie Obtura, ale firma szybko splajtowała.

Na szczęście żona Bojarskiego, Suzanne Teissedre – ślub wzięli w 1948 r. – pochodziła ze stosunkowo zamożnej

eprasa.pl 9c1b920042

rodziny. Polski imigrant przeszedł więc na utrzymanie teścia. Musiało mu to jednak mocno doskwierać. Czy dlatego wpadł na pomysł przestępczego procederu? Trudno dziś dociec. Na pewno gruntownie się do tego przygotował.

Etap prób i błędów

Zaczął w 1949 r. od przestudiowania specjalistycznych prac z zakresu produkcji materiałów papierniczych. W podparyskiej miejscowości Bobigny, w domku, który Suzanne dostała od ojca, Bojarski przygotował sobie warsztat. Od handlarza starociami kupił pojemnik, który przerobił na miniaturowy mikser. Wytwarzał masę papierniczą i eksperymentował z różnymi materiałami. Kiedy papier był gotowy, Bojarski przystąpił do druku: używał własnoręcznie wykonanych matryc, a tusz mieszał w puszkach po mleku.

W tamtym czasie francuska waluta, mimo prób jej ratowania, systematycznie traciła wartość. W okresie powojennym jedna dewaluacja goniła drugą. Frank miał niską wartość i słabe zabezpieczenia.

W 1950 r. Bojarski wpuścił do obiegu pierwszy fałszywy banknot 1000-frankowy. Nie był z niego zadowolony, choć – zdaniem specjalistów – był on dobrze wydrukowany z właściwie osadzonym znakiem wodnym. W 1957 r. zaczął produkcję banknotów o nominale 5000 franków. W połowie lat 50. był w stanie upłynnić nawet 1,5 tys. banknotów miesięcznie.

Bojarski był jednak ostrożny i unikał ostentacji. Podróżował po całej Francji nocnymi pociągami i w odległych od siebie miejscach zamieniał fałszywe banknoty na obligacje skarbowe, a czasem na złote monety zwane ludwikami. Nigdy nie robił tego dwa razy w tym samym miejscu, nie nocował w hotelach, w zasadzie nie zostawiał śladów. Żona nie miała oczywiście o niczym pojęcia. Wierzyła, że Czesław pracuje jako komiwojażer.

Bojarski pierwszy raz większe ryzyko podjął dopiero w drugiej połowie lat 50. Zapłacił podrobionymi pieniędzmi za wakacje nad morzem. Pojechał z rodziną – miał już córkę i syna – do Royan w Akwitanii.

Czesław Bojarski po aresztowaniu

FOT. BOURSEDUCOLLECTIONNEUR.COM

Kiedy w październiku 1958 r. gen. de Gaulle wrócił do władzy, postanowił odbudować prestiż francuskiej waluty. 27 grudnia rząd przyjął plan, którego celem było stworzenie nowego franka. Pieniądze wprowadzono do obiegu 1 stycznia 1960 r.: jeden nowy frank był wart 100 starych. Zostały one wytworzone olbrzymim nakładem kosztów, ale uchodziły za najnowocześniejsze na świecie, również pod kątem zabezpieczeń.

W tym czasie Bojarski kupił ziemię w miasteczku Montgeron w Dolinie Marny i rozpoczął tam budowę własnego domu. „Wreszcie mógł się wyżyć jako architekt" – pisze Pleskot. Nie szczędził pieniędzy: częściowo fałszywych, częściowo pochodzących od teściów. We wrześniu 1960 r. dom był gotowy. Bojarski ukrył w nim nowe laboratorium z minifabryką papieru, matrycami, mieszalnią tuszów, naczyniami do wytwarzania znaków wodnych, a nawet z maszyną do postarzania pieniędzy – gotowe banknoty wrzucał do miksera i mieszał je z kurzem i popiołem, zbieranymi m.in. w kościołach. Dawało to ponoć świetne efekty.

Komisarz na tropie

Kiedy w obiegu znalazło się zbyt dużo fałszywych pieniędzy, francuskie władze wpadły w popłoch. Policja, dyrekcja banku centralnego, a nawet politycy – wszyscy byli przekonani, że pojawiła się duża grupa przestępcza. Oceniali, że w proceder musi być zaangażowanych co najmniej 10 specjalistów, nie licząc ludzi odpowiedzialnych za upłynnianie towaru. Ponieważ zimna wojna była wówczas w apogeum, brano też pod uwagę ewentualność, że oszustwo jest dziełem agentów któregoś z państw bloku komunistycznego. Celem operacji miałaby być destabilizacja francuskiej gospodarki.

To, że fałszywe banknoty muszą wychodzić spod tej samej ręki, bodaj jako pierwszy spostrzegł komisarz Emile Benhamou, szef policyjnego Biura do Walki z Fałszerstwem Pieniędzy. Był to doświadczony śledczy o niebanalnej osobowości, jeden z najlepszych policjantów w kraju.

Urodził się we francuskiej Algierii. Karierę w Sûreté rozpoczął już po wojnie, od 1946 r. specjalizował się w zwalczaniu przemytu złota i walut. Kilka lat później zajął się sprawami związanymi z fałszerstwem pieniędzy. Mógł się poszczycić spektakularnymi sukcesami: odkrył ponad 20 drukarni i rozwikłał wiele głośnych spraw. Współpracował z Interpolem, był konsultantem FBI. Za swoje osiągnięcia był odznaczany. Za pomoc w sprawie przemytu fałszywych dolarów dostał medal od samego prezydenta USA Dwighta Eisenhowera.

Ponieważ komisarz ożenił się bogato i dobrze, prowadził życie na znacznie wyższym poziomie niż większość jego kolegów. Był elegancki, uprzejmy i obracał się w dobrym towarzystwie. Postać wręcz filmowa. To, że komuś takiemu powierzono śledztwo w sprawie Bojarskiego, pokazuje, jak wielką wagę przykładały do niego francuskie władze.

Benhamou wraz ze swoim ulubionym współpracownikiem, inspektorem Albertem-René Ducassou, pracował nad tą sprawą już od dobrych kilku lat, nie znajdując jednak żadnego punktu zaczepienia. Wreszcie w październiku 1963 r. trafili na ślad, który poprowadził ich do urzędu pocztowego przy rue Turgot w 9. dzielnicy Paryża. Jak się wkrótce miało

eprasa.pl 9c1b920042

okazać, był to przełom. Od tej chwili zatrzymanie fałszerzy – śledczy wciąż wierzyli, że poszukują dużej grupy – było kwestią czasu.

Dość szybko ustalono, że pieniądze wpłacił 36-letni Alexis Chouvaloff (Szuwałow), Rosjanin wywodzący się ze społeczności białych emigrantów, którzy do Francji przybyli po rewolucji bolszewickiej w 1917 r. Mężczyzna pracował jako sprzedawca samochodów, miał młodą żonę; małżonkowie spodziewali się dziecka. Na pierwszy rzut oka wszystko było tak, jak należy. Szkopuł w tym, że państwo Chouvaloff wydawali zdecydowanie za dużo jak na zarobki Alexisa. To wzbudziło podejrzenia.

Policjanci zaobserwowali, że bywa u nich mężczyzna w średnim wieku. Pozornie i w tym fakcie nie było nic nadzwyczajnego – ot, w odwiedziny wpada starszy brat pani Chouvaloff, 47-letni polski imigrant Antoni Dowgierd, pracujący jako tłumacz w jednej z państwowych instytucji o profilu technicznym. On jednak też żył ponad stan.

Plakat filmu „Ogrodnik z Argenteui"
FOT. IMDB. COM

Po trzech miesiącach dokładniejszej inwigilacji śledczy postanowili działać. 17 stycznia 1964 r. Alexis został zatrzymany na ulicy. Funkcjonariusze zażądali, by pokazał zawartość teczki, którą miał przy sobie. W środku były obligacje oraz 100 fałszywych banknotów z Napoleonem. Szuwałow wskazał na swojego szwagra. Przesłuchanie Dowgierda odbyło się na komendzie w obecności komisarza Benhamou. Policjanci nie musieli długo się wysilać, żeby Dowgierd zdradził nazwisko Bojarskiego.

Ambicja fałszerza

17 stycznia 1964 r. agenci zjawili się w Montgeron, przed domem przy avenue de Sénart. Bojarscy właśnie wrócili z nart. Na zdjęciach wykonanych w dniu zatrzymania widać, że Czesław ma na nogach śniegowce.

Policjanci byli zaskoczeni. Spodziewali się bandyty, a w ich ręce wpadł niewysoki, szczupły mężczyzna w okularach, wyglądający jak księgowy. W czasie rewizji Bojarski był spokojny. „Niczego nie znajdziecie, panowie" – miał powiedzieć. Faktycznie, twardych dowodów przestępstwa nie było.

Suzanne i dzieci byli jednak wstrząśnięci. „To było trudne, tym bardziej że nie miał nic do powiedzenia – będzie wspominać po latach Anne Bojarski, córka Czesława, w programie „L'Heure du Crime" („Godzina zbrodni") w stacji RTL. – Ale byłam przyzwyczajona do tego, żeby nie zadawać pytań".

W czasie przesłuchań na policji Bojarski stał się zaskakująco rozmowny. Śledczy mieli wrażenie, że nie może wręcz znieść faktu, iż ktoś kwestionuje jego dokonania (sprowadzeni z Banku Francji specjaliści nie uwierzyli, że fałszerstwo, tak precyzyjne i na tak wielką skalę, może być dziełem jednego człowieka).

Bojarski napisał do sędziego śledczego list. Prosił o rekonstrukcję zdarzeń. Chciał osobiście pokazać, w jaki sposób pracował. Sędzia się zgodził. Sesja trwała kilka dni: policjanci przychodzili po niego do aresztu, Bojarski zakładał koszulę i krawat, wszyscy razem jechali do Montgeron, a na miejscu oskarżony zabierał się do pracy. „Myślę, że był z siebie dumny i chciał udowodnić, do czego był zdolny" – snuje dziś przypuszczenia reżyser Jean-Paul Salomé.

Dlaczego tak właściwie Bojarski wpadł? Zgubiła go rutyna? Chciwość? Koledzy? Trudno wskazać jedną przyczynę, ale sekwencja zdarzeń, która doprowadziła do wpadki, przedstawia się następująco: Pod koniec 1962 r. do Bojarskiego puka jego znajomy, Antoni Dowgierd, z prośbą o pożyczkę. Otrzymuje nie tylko 2 tys. nowych franków, lecz także propozycję: Dowgierd będzie pomagać Bojarskiemu w upłynnianiu fałszywych banknotów. Idzie dobrze, więc wiosną 1963 r. Dowgierd wtajemnicza szwagra Alexisa Szuwałowa. Nie przewidział tylko, że Szuwałow wykaże się beztroską – zamiast wymieniać pieniądze w różnych urzędach pocztowych, ten upatrzył sobie jedną placówkę przy ul. Turgot.

9 maja 1966 r. Bojarski stanął przed sądem w Paryżu. Obok niego na ławie oskarżonych zasiedli Dowgierd i Szuwałow. „Moim celem nie było oszustwo. Chciałem sprawdzić, czy jestem lepszy od waszych banków" – powiedział Bojarski w mowie końcowej.

Sąd skazał go na 20 lat więzienia. Fałszerz odbył swój wyrok w słynnym paryskim więzieniu La Santé, znanym jako miejsce osadzenia celebrytów i polityków. Wyszedł po 13 latach za dobre sprawowanie. Bojarski, cierpiący pod koniec życia na chorobę Alzheimera, zmarł 2 maja 2003 r. w małej wiosce w regionie Isère.

W 2015 r. na aukcji w Paryżu podrobiony banknot Bojarskiego z Napoleonem został sprzedany za ponad 7 tys. euro.

Te banknoty fałszował Czesław Bojarski
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, BANK FRANCJI

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

WYBRANA BIBLIOGRAFIA:

Pleskot P., ***„Przekręt. Najwięksi kanciarze PRL-u i III RP"; „L'Histoire": „Bojarski, faux monnayeur d'art".***

eprasa.pl 9c1b920042

Marek Gałęzowski

Kazimierz Moczarski, oficer Biura Informacji i Propagandy KG AK, powstaniec warszawski, bohater Polskiego Państwa Podziemnego, był więziony przez komunistów z niemieckim zbrodniarzem wojennym Jürgenem Stroopem

FOT. WIKIPEDIA

XX w. / Czterdzieści dziewięć rodzajów tortur

Rycerz bez skazy

Pierwszego dnia powstania Kazimierz Moczarski pisał: „Od hotelu Victoria [przy ul. Jasnej 26] trzy powstańcze pociski karabinowe – i trzy koła przysiadły na przestrzelonych dętkach. Po chwili strzał. Dostał w motor, bo nie może ruszyć. Z pancerki wyskakuje Niemiec. Znów jeden celny pocisk kładzie go. Wybiega drugi i rozkrzyżowany pada obok. Pancerka unieruchomiona i cicha. Później, wieczorem, widzę, jak czterech Niemców wymyka się z niej chyłkiem i znika" (wszystkie cytaty, o ile nie podano inaczej, za: K. Moczarski, „Zapiski", oprac. Andrzej K. Kunert, Warszawa 1990).

Przyszły autor „Rozmów z katem", obserwujący ze swojego posterunku, jak wykonawca wyroku na niemieckim kolaborancie Igo Symie, por. Roman Rozmiłowski „Zawada", samodzielnie unieszkodliwił niemiecki samochód pancerny, z dumą dodawał, że następnego dnia miał zaszczyt być przedstawiony zwycięzcy tego pojedynku. To pierwsze spotkanie było jednak najpewniej i ostatnie. Rozmiłowski, który uczestniczył w zdobyciu PAST-y, już po zajęciu tego zamienionego przez Niemców w twierdzę gmachu został śmiertelnie ranny i zmarł na początku września. Moczarski przeżył powstanie po to, by doświadczyć

eprasa.pl 9c1b920042

kolejnego zniewolenia. Miało ono odcisnąć na nim – polskim inteligencie i żołnierzu Armii Krajowej – wyjątkowo dramatyczne piętno. Uwięziony na wiele lat przez komunistów stał się jedną z tych postaci, które – jak przenikliwie zauważył jego biograf Andrzej K. Kunert – symbolizowały los żołnierzy AK w powojennej Polsce.

Porucznik Roman Rozmiłowski

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, EUGENIUSZ LOKAJSKI

„Rafał" – oficer z BIP

Urodzony w 1907 r. w Warszawie Kazimierz Moczarski całe życie był związany z rodzinnym miastem. Tutaj kształcił się w prestiżowym gimnazjum Michała Kreczmara, którego uczniami w różnych latach byli m.in. jeden ze skamandrytów Antoni Słonimski, bohaterski prezydent Warszawy Stefan Starzyński i wybitny historyk, jeden z najwybitniejszych sowietologów Richard Pipes. Później ukończył prawo na Uniwersytecie Warszawskim oraz Wyższą Szkołę Dziennikarską, odbył służbę wojskową, uzyskując stopień podporucznika, i zaczął pracę w Ministerstwie Opieki Społecznej.

Sympatie polityczne początkowo lokował w związanym z rządzącym obozem piłsudczykowskim Legionem Młodych, którego komendantem był Zbigniew Zapasiewicz, przedwcześnie zmarły ojciec wybitnego polskiego aktora o tym samym imieniu. Jeden z kolegów zapamiętał Moczarskiego jako człowieka energicznego, o dużym temperamencie, zainteresowanego udziałem w życiu politycznym. Przygoda z Legionem Młodych i sanacją okazała się jednak tylko wstępem do polityki – kiedy Zapasiewicz, przeciwnik autorytaryzmu, opuścił organizację, Moczarski podążył jego śladem. Związał się ze środowiskiem, które krótko przed wojną powołało Stronnictwo Demokratyczne, a kiedy zarówno jego rodzinne miasto, jak i cały kraj znalazły się pod okupacją niemiecką, stał się jednym z jego czołowych działaczy w konspiracji.

Ale ważniejsze z punktu widzenia znaczenia udziału w walce podziemnej okazało się wstąpienie na początku 1940 r. do Związku Walki Zbrojnej. Z czasem, pod pseudonimem Rafał, stał się wyróżniającym oficerem Biura Informacji i Propagandy KG ZWZ, a od lutego 1942 r. – AK. Przydzielono go do referatu, który – jak pisał Andrzej K. Kunert – „zajmował się analizowaniem sytuacji w zorganizowanym życiu politycznym polskiego podziemia w organizacjach i stronnictwach politycznych, w organizacjach społeczno-politycznych i paramilitarnych" (jednym z podwładnych Moczarskiego był w tej komórce Władysław Bartoszewski).

W dziejach Polski podziemnej przyszło Moczarskiemu odegrać jeszcze jedną, wyróżniającą go rolę. Latem 1944 r. kierował śledztwem dotyczącym okoliczności najgłośniejszego mordu politycznego w historii polskiej walki konspiracyjnej z Niemcami – zabójstwa dokonanego na pracownikach BIP KG AK – Jerzym Makowieckim i jego żonie Zofii oraz Ludwiku Widerszalu (wszyscy byli równocześnie tak jak Moczarski członkami Stronnictwa Demokratycznego).

Bezpośredni sprawcy tej zbrodni zostali wówczas wykryci, jednak ich rzeczywiści inspiratorzy nie są znani do dziś; trudno bowiem przyjąć, że była to wyłączna inicjatywa Witolda Bieńkowskiego, wyróżniającego się działacza Delegatury Rządu RP na Kraj i Rady Pomocy Żydom „Żegota". Po wojnie stał się jednym z czołowych działaczy podporządkowanego władzom komunistycznym środowiska Bolesława Piaseckiego (przyszłego PAX-u) i posłem na Sejm Ustawodawczy, jednym z tych, którzy oddali swój głos za wyborem sowieckiego agenta na prezydenta Polski.

Znałem tego chłopca

W chwili wybuchu powstania warszawskiego Moczarski był na przydzielonym mu stanowisku przy ul. Kredytowej w Śródmieście. Tam znajdowała się siedziba kierowanej przezeń placówki informacyjno-radiowej, noszącej nazwę od pseudonimu szefa – Rafał. Później przeniesiono ją do gmachu PKO przy ul. Jasnej, po 25 sierpnia do Adrii, jednej z najbardziej znanych restauracji przedwojennej Warszawy, a w początku września, po spłonięciu Adrii – do Cafe Bodo przy ul. Foksal 17.

Służba informacyjna nie różniła się od liniowej, w istocie była nią również, chociaż jej uczestnicy nie walczyli z bronią w ręku. „Kwatera grupy była od początku pod dotkliwym ogniem niemieckim z »PASTY« na Zielnej oraz od strony Woli" – wspominał Moczarski. Dramatyczne zetknięcie z prawdziwym obliczem wojny nastąpiło trzeciego dnia walk, kiedy musiał przenieść zwłoki swojego podwładnego, Mariana Tadeusza Krzyształowicza „Kamińskiego", który poległ w czasie niemieckiego bombardowania.

Może najbardziej przekonującym dowodem odwagi i poświęcenia Moczarskiego i żołnierzy podległej mu placówki była informacja, podana przezeń w powojennym wspomnieniu: „W komórce, którą kierowałem w powstaniu, 31% żołnierzy poległo, a 31% to ranni. O takich cyfrach każdy dowódca pamięta do końca swojego życia".

eprasa.pl 9c1b920042

W kamienicy przy ul. Foksal 17 mieściła się placówka informacyjno-radiowa kierowana przez Moczarskiego

FOT. COMMOS WIKIMEDIA, ADRIAN GRYCUK

Taki był bilans walki, ale na razie od pierwszego dnia „Rafał" trwał na posterunku. 2 sierpnia był świadkiem zatrzymania niemieckiego czołgu, który usiłował przejechać ul. Jasną: „Wycofał się, gdyż napotkał zaporę: sznurek przeciągnięty nisko przez ulicę, a na nim zawieszone trzy butelki z wodą. Długo medytował kierowca czołgu. W końcu zawrócił. Bał się ryzykować zetknięcia z nieznanym systemem obronnym »chytrych« powstańców. Racjonalizatorstwo popłaca". W kolejnych dniach Moczarski zanotował jeszcze kilka obserwacji i uwag, wzbudzających refleksję nad dziejami sierpniowego zrywu, czasem dalekich od stereotypowego widzenia.

Jedna z nich, może najbardziej poruszający zapis z tego krótkiego powstańczego dziennika, dotyczyła losów Michała Rothenburga-Rościszewskiego. Był on synem szwagra Moczarskiego z pierwszego małżeństwa, Witolda, twórcy organizacji konspiracyjnej „Pobudka", uczestnika ratowania przed Zagładą polskich Żydów, zamordowanego przez Niemców rok przed powstaniem. Jego syn, Michał, zaledwie 13-letni, ps. Miś, żołnierz batalionu „Czata 49", zginął w zbombardowanym przez Niemców szpitalu powstańczym na Starym Mieście. „Znałem tego chłopca. Nie mogę się z tym pogodzić, że »Miś« leżał tam, samotny, z raną czaszki, i że tony gruzu przygniotły jego niebieskie oczy i jego jasnoblond włosy. Takie to było przecież jeszcze dziecko".

Trzewiki delegata rządu

„Przegraliśmy. Kapitulacja. Ulice, place, podwórka – wypełnione mogiłami" – zapisywał Moczarski 4 października 1944 r. Ale dla niego nie był to koniec walki. Wyszedł z miasta z ludnością cywilną jako pracownik Polskiego Czerwonego Krzyża i jeszcze tego samego dnia, jak wspominał, „włączyłem się – zgodnie z uprzednimi rozkazami – w odbudowujący się mechanizm Komendy Głównej AK". Wkrótce pod pseudonimem Grawer objął funkcję ostatniego szefa BIP KG AK. W tej działalności z oddaniem wspierała go żona Zofia, ps. Malina, kierująca sekretariatem Biura.

W pierwszych dniach pełnienia tej funkcji Moczarski wrócił jeszcze do Warszawy, skąd z siedziby oddziału PCK przy ul. Marszałkowskiej miał zabrać lekarstwa, przeznaczone dla przetrzymywanych w obozie w Pruszkowie mieszkańców stolicy. Wśród kilku mężczyzn, ładujących lekarstwa na ciężarówkę, dostrzegł starszego pana, skromnie ubranego, w rzucających się w oczy jaskrawożółtych trzewikach, niezbyt dobrze radzącego sobie z załadunkiem, który po jego zakończeniu zabrał się z Moczarskim do Pruszkowa. Owym „niefachowym ładowaczem lekarstw" okazał się Jan Stanisław Jankowski, ostatni Delegat Rządu RP na Kraj. Moczarski przyznaje, że w czasie drogi wyrzucał mu, „że się źle przygotował do wyjścia z Warszawy, gdyż żółty kolor nowych trzewików, jakie włożył na drogę, jest najbardziej widoczny. W konspiracji trzeba być zewnętrznie szarym, przeciętnym i nie nosić tak ostentacyjnego obuwia. Więc na kwaterze, nie zastanawiając się wiele, przefarbowałem buty Delegata na czarno".

W kolejnych miesiącach Moczarski kierował BIP, do chwili rozwiązania AK w styczniu 1945 r., a następnie w organizacji NIE (Niepodległość) i w Delegaturze Sił Zbrojnych. Poczucie obowiązku nakazało mu pozostać w służbie, był jednak przeciwnikiem dalszego trwania w podziemiu; uważał, że należy dążyć do jego ujawnienia. I dlatego odrzucił pomysł jednego z liderów środowiska piłsudczyków, ppłk. Wacława Lipińskiego, który w lipcu 1944 r. zaproponował mu jako miarodajnemu przedstawicielowi pozostających w konspiracji żołnierzy AK stworzenie Centralnego Komitetu Narodowego – porozumienia głównych organizacji konspiracyjnych, czegoś w rodzaju zaplecza politycznego DSZ, w jakimś sensie wypełniającego lukę po rozwiązanych

ko przepowiednią słońca" — J. Słowacki.

BIULETYN informacyjny

Nr. 3 (317)

19 stycznia 1945 r.

Rok VII.

Ostatni Rozkaz Dzienny Dowódcy Armii Krajowej

ŻOŁNIERZE SIŁ ZBROJNYCH KRAJU!

szybko ofensywa sowiecka doprowadzić może do zajęcia przez Armię Czerwoną. Nie jest to jednak zwy- od roku 1939. W istocie bowiem jednej okupacji

Numer „Biuletynu Informacyjnego" z rozkazem o rozwiązaniu AK

FOT. BIULETYN-AK.PL

eprasa.pl 9c1b920042

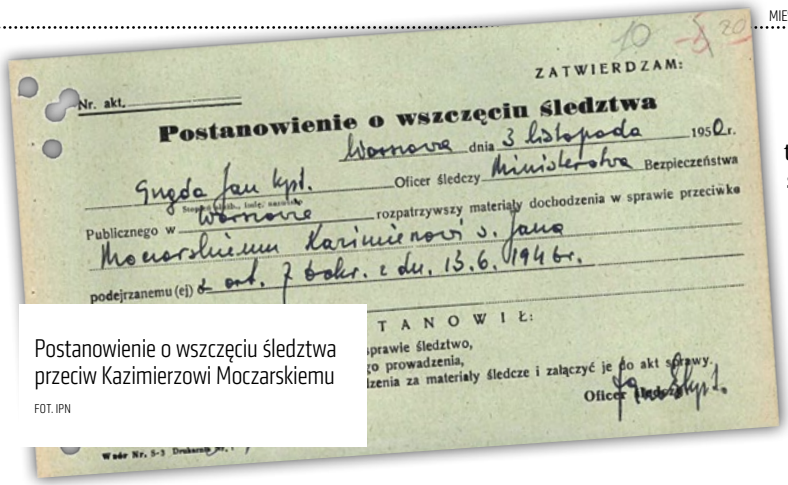
ZATWIERDZAM:

Nr. akt.

Postanowienie o wszczęciu śledztwa

Warszawa dnia 3 listopada 1950 r.

Gręda Jan kpt. Oficer śledczy Ministerstwa Bezpieczeństwa

Publicznego w Warszawie rozpatrzywszy materiały dochodzenia w sprawie przeciwko

Moczarskiemu Kazimierzowi s. Jana

podejrzanemu (ej) o art. 7 dekr. z dn. 13.6.1946 r.

TANOWIŁ:

sprawie śledztwo,

go prowadzenia,

dzenia za materiały śledcze i załączyć je do akt sprawy.

Oficer

Postanowienie o wszczęciu śledztwa przeciw Kazimierzowi Moczarskiemu

FOT. IPN

w pierwszym dniu tegoż miesiąca władzach Polski podziemnej.

W celi z katem

„Grawer" został aresztowany przez „bezpiekę" 11 sierpnia 1945 r., pięć dni po rozwiązaniu DSZ. Jak wspominał Władysław Bartoszewski, „ktoś go wskazał ludziom z UB. Potem, po 1956 roku, Moczarski twierdził, że wie, kto go zdradził, ale nigdy nie wyjawił nazwiska tej osoby". W tym momencie rozpoczęły się jego wieloletnie cierpienia w komunistycznym więzieniu przy ul. Rakowieckiej, osławionym „mokotowskim". Czytać o tym nie sposób bez drżenia, tym bardziej gdy wiemy, że los ostatniego szefa BIP KG AK symbolizuje maltretowanie tysięcy podobnych mu bohaterów Polskiego Państwa Podziemnego.

Moczarski był poddany przez ubeków „czterdziestu dziewięciu rodzajom maltretacji i tortur". Bito go po całym ciele pałką policyjną, drążkiem mosiężnym, drewnianą linijką okutą metalem, kijem, batem. Bito w miejsca szczególnie wrażliwe na ból – nasadę nosa, podbródka w okolicach gruczołów, palców u stóp i rąk, pięty – wyrywano włosy z ciała, przypalano papierosem twarz. Zastosowano znaną z okresu wielkiego terroru w ZSRS drugiej połowy lat 30. metodę NKWD – tzw. konwejer, który tak opisał: „Zmuszanie do niespania przez 7–9 dni drogą »budzenia« mnie (stojącego w mroźnej celi) uderzeniami w twarz, zadawanymi przez dozorującego urzędnika b. MBP; metoda ta, nazywana przez dozorujących »plażą« lub »Zakopanem«, wywoływała u mnie stan półobłąkańczy i spowodowała zaburzenia psychiczne […]".

Przez sześć lat i trzy miesiące odmawiano mu spaceru na więziennym dziedzińcu – sześć lat i trzy miesiące pozostawał w celi, z której wyprowadzano go jedynie do pokoju przesłuchań lub do karceru. I jeszcze: blisko cztery i pół roku był pozbawiony jakiegokolwiek kontaktu z najbliższą rodziną…

W sprawie Moczarskiego było jednak coś więcej, co świadczyło o wyjątkowej nikczemności władzy komunistycznej w powojennej Polsce. Oto Moczarski, oficer Wojska Polskiego, a w czasie całej okupacji niemieckiej podziemnej armii, po barbarzyńskich torturach, w tajnej rozprawie skazany przez sąd krzywoprzysiężny na karę śmierci, zamienioną później na dożywotnie więzienie, został następnie celowo umieszczony w jednej celi z niemieckim zbrodniarzem, Jürgenem Stroopem, kierującym stłumieniem powstania w warszawskim getcie, a następnie spaleniem getta wiosną 1943 r. Przebywał w niej 255 dni! Ten wyjątkowo perfidny sposób postępowania komunistów wobec żołnierzy AK – uczestników walki konspiracyjnej z Niemcami – był często spotykany. Z niemieckimi zbrodniarzami przetrzymywano także dowódcę Kedywu, gen. Emila Fieldorfa „Nila", zanim nie został zamordowany z wyroku komunistycznego sądu.

Kazimierz Moczarski odzyskał wolność w końcu kwietnia 1956 r. Uchylenie jego wyroku przez Sąd Najwyższy było pierwsze, jednocześnie rozpoczynając proces wznowienia innych procesów i zwalniania z więzień bohaterów Polski podziemnej – co oczywiście mogło dotyczyć jedynie tych, którzy wcześniej z wyroku władzy komunistycznej nie stracili życia, jak chociażby wspomniani gen. Fieldorf i ppłk Lipiński.

*

W następnym roku po zwolnieniu z więzienia Moczarski zaczął pracę jako dziennikarz w „Kurierze Polskim", dzienniku SD, wracając równocześnie do działalności w tym ugrupowaniu politycznym, z którym związał się jeszcze przed wojną. Komuniści nie zostawili go jednak w spokoju. W 1967 r. donos oskarżający o „postawę antypaństwową" spowodował pozbawienie go tej pracy: „Moczarski Kazimierz, s. Jana – kierownik działu zagranicznego »Kuriera Polskiego«. Czł. SD [Stronnictwa Demokratycznego]. Usunięty z pracy" – pisano w sporządzonym przez bezpiekę „Wykazie osób zwolnionych lub przeniesionych z odpowiedzialnych stanowisk państwowych po roku 1967".

Tyle lakoniczna informacja z archiwów bezpieki – kolejne świadectwo represji komunistycznego aparatu przemocy wobec bohatera Armii Krajowej i, jak się wkrótce miało okazać, autora jednej z najważniejszych polskich książek minionego stulecia – „Rozmów z katem", niemających chyba precedensu w dziejach literatury faktu. Dodajmy, że wyrzucenie z pracy poprzedziły indagacje utworzonej w wydawnictwie Epoka komisji dochodzeniowo-śledczej – jak pisał Moczarski – „badającej podejrzanych i świadków na okoliczności związane z problematyką żydowsko-izraelską […]. Powołano wielu świadków. Usiłowano wpływać (znam te metody łagodnej »przyjacielskiej« perswazji, przeplatanej czasami podtekstem groźby) w kierunku donoszenia na kolegów".

Pozbawienie pracy Kazimierza Moczarskiego było jednym z elementów rozpoczętej przez władze komunistyczne PRL kampanii antysemickiej. Moczarski zdecydowanie się jej sprzeciwił, kolejny raz dając dowód prawości swojego charakteru. To właśnie postawa ideowa i etyczna ostatniego szefa Biura Informacji i Propagandy Komendy Głównej Armii Krajowej była dla komunistów antypaństwowa.

Nie było przesadnego patosu w słowach Józefa Rybickiego, innego bohatera podziemnej armii, który na pogrzebie przedwcześnie zmarłego w 1975 r. „Rafała" – „Grawera" – nazwał go „człowiekiem bez skazy. Rycerzem bez skazy".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest doktorem habilitowanym, pracownikiem Archiwum IPN.

eprasa.pl 9c1b920042

Król Haakon VII i królowa Maud

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, NASJONALBIBLIOTEKET PEDER O. AUNE

XX w. / Kraina fiordów walczy o swoje

Kombinacja norweska: wolność i niepodległość

Piotr Semka

Najpierw na długie cztery stulecia zdominowali ich Duńczycy, a potem Szwedzi. Gdy Norwegowie poczuli w końcu własną siłę, nikt nie mógł stanąć im na drodze do niepodległości

Norwegia kojarzy się w Polsce z niewiarygodnym sukcesem, zamożnością i skutecznością w polityce międzynarodowej. Z tym większym zaskoczeniem wielu Polaków dowiaduje się, że Norwegowie pozbawieni byli pełnej niepodległości między końcem XIII w. a początkiem XX stulecia, czyli przez ponad sześć stuleci.

Gdy my patrzymy z niepokojem na wschód i zachód, Norwegowie mieli (przynajmniej do początku XX w.) zwyczaj patrzenia z uwagą najpierw na to, co robi sąsiad z południa, czyli Dania, a potem sprawdzania, czy jakieś zagrożenie nie nadchodzi z południowego wschodu – z Królestwa Szwecji.

W tym roku Norwegia obchodzić będzie dopiero 121. rocznicę odzyskania pełnej niepodległości i wskrzeszenia ich samodzielnego królestwa. Cofnijmy się więc do początku XX w. Jak doszło do tego radosnego dla Norwegów wydarzenia?

Szwedzki łup

W dzieje Europy Norwegowie wkroczyli jako naród wikingów – morskich rozbójników terroryzujących Europę od ok. 800 r. naszej ery do początków XI w. Przez te dwa i pół stulecia widok drakkarów – wysmukłych łodzi wikingów – mroził krew w żyłach spokojnym mieszkańców Europy od klifów Anglii po wybrzeża Morza Śródziemnego.

Podobnie jak w wypadku Polski chrześcijaństwo dotarło do Norwegii na przełomie wieków X i XI. Jednak w odróżnieniu od monarchii Piastów w dziejach Norwegii trudno wyznaczyć tu jeden moment. Jako pierwszy próbę nawracania na wiarę Chrystusa w krainie fiordów podjął król Norwegii Olaf I Tryggvason, panujący w latach 995–1000, ale napotkał w tej sprawie duży opór. Dopiero jego następca, Olaf II Haraldsson, który potem zyskał status świętego, zwołał w 1023 r. (niektórzy twierdzą, że rok później) ogólnopaństwowe zgromadzenie w Moster, które można uznać za moment, gdy chrześcijaństwo zostało wprowadzone jako religia państwowa. To wtedy zarządzono obowiązkowe

eprasa.pl 9c1b920042

chrzczenie niemowląt, a także rozpoczęto na dużą skalę budowę kościołów.

W XIV w. Norwegia słabnie, wstrząsana wewnętrznymi waśniami i buntami przeciwko legalnym władcom. Jednak tak naprawdę to państwo zostało powalone przez inwazję, za którą nie stało żadne państwo. W połowie XIV w. marynarze z angielskiego statku kupieckiego zawlekli do Norwegii czarną dżumę. Rezultaty były tragiczne – zmarło ok. 60 proc. populacji, a wycieńczony naród zgiął kark i przyjął władzę królów duńskich, przystępując w 1397 r. do tzw. unii kalmarskiej. I przez kolejne ponad 400 lat Norwegia będzie lekceważoną i wykorzystywaną odległą duńską prowincją. Elity przyjmą język duński, uważany za mowę wykształconych ludzi, a chęć zrobienia prawdziwej kariery będzie się musiała wiązać z wyjazdem do Kopenhagi. Przypomnijmy, że Norwegia nie była tu wyjątkiem. Dania zarządzała także Islandią i Grenlandią; tą ostatnią administruje zresztą do dziś. Tyle że w końcu Duńczykom powinęła się noga. Wybrali sojusz z Napoleonem i gdy w 1813 r. cesarz Francuzów został pokonany przez koalicję Wielkiej Brytanii, Rosji, Prus i Szwecji, Sztokholm zażądał zapłaty.

Na mocy traktatu kilońskiego z 14 stycznia 1814 r. duński król Fryderyk VI zobowiązał się do oddania Norwegii Szwecji. Jednak Norwegowie nie chcieli być bezwolnym cielakiem, którego jeden gospodarz oddaje drugiemu, i w maju 1814 r. ogłosili powstanie niepodległego królestwa. W niewielkiej miejscowości Eidsvoll zebrało się zgromadzenie konstytucyjne Norwegii, które proklamowało niepodległość i przegłosowało własną konstytucję. Inspiracją dla tego historycznego aktu była Deklaracja niepodległości Stanów Zjednoczonych z 1776 r.

Norwegowie liczyli na to, że w rozgardiaszu końca epoki napoleońskiej będą w stanie wywalczyć sobie restytucję królestwa Norwegii. Na pierwszego po pięciu wiekach króla Norwegii wybrano duńskiego królewicza Christiana Fryderyka. Szwedzi uznali to za casus belli. Armia norweska liczyła 30 tys. żołnierzy, w większości nieotrzaskanych z wojną. Tymczasem w szwedzkiej armii służyło 45 tys. doświadczonych w napoleońskich wojnach wiarusów. Mimo dwóch zwycięskich dla Norwegów bitew – pod Lier i pod Matrand – Szwedzi uzyskali przewagę. Zdruzgotani Norwegowie zmuszeni byli 14 sierpnia 1814 r. podpisać układ w Moss o formalnej unii obu państw. Ale nie było to równoprawne „małżeństwo". Władca miał rządzić ze Sztokholmu, a królewicz Chrystian miał się zrzec tronu. Ale były też korzyści. Norwegia zachowała własny rząd i osobnego premiera, choć z drugiej strony szwedzki władca mógł zawetować każdą decyzję Norwegów, która by mu się nie podobała. Tak jak później zachodnie Niemcy również Norwegia w 1814 r. przegrała wojnę, ale wygrała pokój.

Święto 17 maja – dzień uchwalenia konstytucji – zaczęło odgrywać w Norwegii podobną rolę, jak w Polsce 3 maja. Dlatego w 1828 r. szwedzki król Karol XIV Jan zabronił Norwegom celebrowania tego dnia, uznając, że festyny ludowe pachną buntem. Rok później w stolicy Norwegii, która nosiła jeszcze starą nazwę Christiania, doszło do burzliwych zamieszek, w których norwescy patrioci zderzyli się z siłami wysłanymi przez króla Szwecji. Zbrojna interwencja wywołała tak masowe oburzenie Norwegów, że Sztokholm musiał odwołać zakaz organizowania obchodów 17 maja. W tym okresie symbolem walki Norwegów o partnerskie relacje ze Szwedami byli norwescy premierzy: Christian Selmer (rządził w latach 1880–1884), Emil Stang (1889–1891 oraz 1893–1895) i wreszcie Christian Michelsen (1905–1907), którzy niezmordowanie sprzeciwiali się zagarnianiu władzy przez Sztokholm.

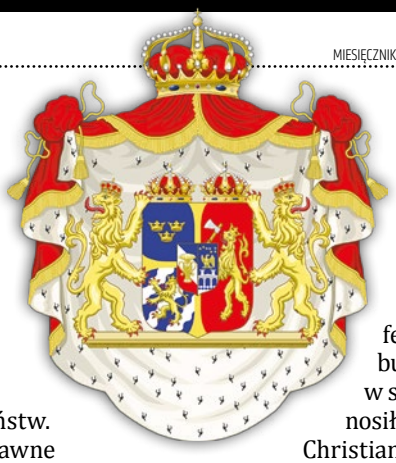

Herb unijnego państwa szwedzko-norweskiego

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, SSOLBERGJ

Olaf III Haraldsson

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, OVERSELO OLOF 04

Dynamizm

Przez kolejne pół wieku synowie krainy fiordów umiejętnie lawirowali między podkreślaniem swojej podmiotowości a unikaniem bezpośredniego zderzenia ze Szwedami. Równolegle Norwegia przeżywała renesans tożsamości narodowej. Celebrowano kulturę ludową, rodzimą muzykę i odgrzebywano sagi, traktowane jako pradawny dorobek intelektualny Norwegów. Norwegia skorzystała także z boomu przemysłowego, który rozpoczął się w Europie w drugiej połowie XIX w. Zaczęło powstawać bogate mieszczaństwo, w polityce pojawiła się nowoczesna struktura partyjna, a także krystalizował się ruch robotniczy. Minusem był upust narodowej krwi poprzez emigrację do Ameryki.

Aby zrozumieć proces dojrzewania do separacji ze szwedzkim sąsiadem, trzeba uświadomić sobie dynamizm Norwegów, tak dobrze widoczny w drugiej połowie XIX stulecia. Europa poznała wtedy ludzi z tego skalistego, surowego kraju dzięki kilku słynnym nazwiskom. Z jednej strony byli to polarnicy, jak Fridtjof Nansen czy Roald Amundsen, a z drugiej strony znani pisarze: Henrik Johan

eprasa.pl 9c1b920042

Ibsen czy Knut Hamsun. Świat muzyczny zachwycał się z kolei nowatorskim romantyzmem muzycznym; przedstawicielem tego nurtu był Edvard Hagerup Grieg ze swoją słynną suitą „Peer Gynt". Spory wysiłek na rzecz emancypacji języka norweskiego wykonał lingwista Ivar Aasen. Skodyfikował on zasady odrębnego norweskiego języka znanego szerzej jako Landsmål, który stworzono jako przeciwwagę dla Riksmål, zapisu norweszczyzny zdominowanej przez wpływy języka duńskiego. Być może właśnie ta emancypacja kulturowa zadecydowała o wyraźniejszych tendencjach do odcięcia się od Sztokholmu.

Unia ze Szwecją w końcu XIX w. zaczynała przypominać zbyt ciasną koszulę, która prędzej czy później musi pęknąć na ciele szybko rosnącego młodzieńca. Jak to często bywa, zapalnikiem procesu separacji stało się wydarzenie, które początkowo nie uważano za duży problem – rywalizacja szwedzkich i norweskich firm okrętowych, które zaczęły ścigać się ze sobą na rynkach państw atlantyckich. Problem pojawił się, gdy Norwegowie zaczęli żądać dla siebie osobnych konsulatów w ramach państwa unijnego. Norwescy armatorzy byli zdania, że dominujący we wspólnych konsulatach za granicą Szwedzi preferują swoich rodaków kosztem biznesu norweskiego. I wtedy okazało się, że Sztokholm też jest już rozdrażniony układaniem się z zachodnim sąsiadem i nie ma ochoty na kompromis.

Aksamitny rozwód

Pierwszym sygnałem końca relacji unijnych był brak porozumienia w specjalnym komitecie do spraw rozwiązywania problemów szwedzko-norweskich w kwestii stworzenia osobnej służby konsularnej dla Norwegii. W maju 1905 r. Storting, norweski parlament, formalnie postawił żądanie utworzenia osobnej służby konsularnej. Król Szwecji, Oskar II, nie zgodził się na tę propozycję. W ramach protestu rząd norweski podał się do dymisji. Teraz już rozgrywka była prowadzona na ostro. Wszystko, co szwedzkie, zaczęło być w Norwegii traktowane z niechęcią.

Ciekawy przykład tego zjawiska znajdujemy we wspomnieniach z dzieciństwa przyszłego premiera Norwegii, Einara Gerhardsena (1897–1987). Opisując rok 1905, przyznaje on zupełnie wprost: „No, owszem, robiliśmy różne brzydkie rzeczy [...], drażniliśmy pewnego Szweda, który mieszkał w małej suterenie w głębi naszego podwórka. Był stary i miał długą siwą brodę – spokojny człowiek, który nigdy nikomu nie wyrządził krzywdy. Jednak był Szwedem, a ze Szwedami prawie już prowadziliśmy wojnę. To był rok 1905".

7 czerwca 1905 r. norweski parlament unieważnił unię personalną i tymczasowo przywrócił ustępujący rząd. W tej sytuacji szwedzki Riksdag zażądał, aby Norwegowie wypowiedzieli się w referendum, czy chcą zakończenia wspólnego związku państwowego. Zwolennicy niepodległości ochoczo rozpoczęli pomysłową kampanię referendalną i w rezultacie, gdy 13 sierpnia odbyło się głosowanie, za rozwiązaniem unii padło aż 99,5 proc. głosów.

Unikający zwady politycy norwescy chcieli jednak zachować resztki wspólnoty ze Szwecją i zaproponowali królowi Oskarowi, by tron niepodległej Norwegii objął któryś ze szwedzkich książąt. Ale król Oskar był obrażony na Norwegów i we wrześniu 1905 r. wyniośle odrzucił tę propozycję. Przez pewien czas wydawało się wręcz, że może dojść do wojny. Szwedzi zażądali nawet, by Norwegowie wycofali się z kilku twierdz położonych wzdłuż granicy. W razie odrzucenia ich żądania nie wykluczali starcia zbrojnego.

Sięgnijmy znów do wspomnień Gerhardsena: „Ojciec został powołany do wojska i miał iść na wojnę. Dostał przydział do twierdzy Kongsvinger, na granicy ze Szwecją. Wczesnym rankiem pewnego zimnego jesiennego dnia odjechał pociągiem z dworca wschodniego. Towarzyszyłem matce, która poszła go odprowadzać [...]. Odjeżdżający dorośli mężczyźni wchodzili stopniowo do pociągu i zaraz wychylali się przez okno w przedziale. Na peronach zostawały młode kobiety i dzieci".

Wizja wojny na północy wywołała w końcu reakcję największych mocarstw europejskich. Rozpoczął się proces mediacji, który szybko przyniósł pokojowe zakończenie sporu. Szwedzi przystali na aksamitny rozwód. Dokonał się on na

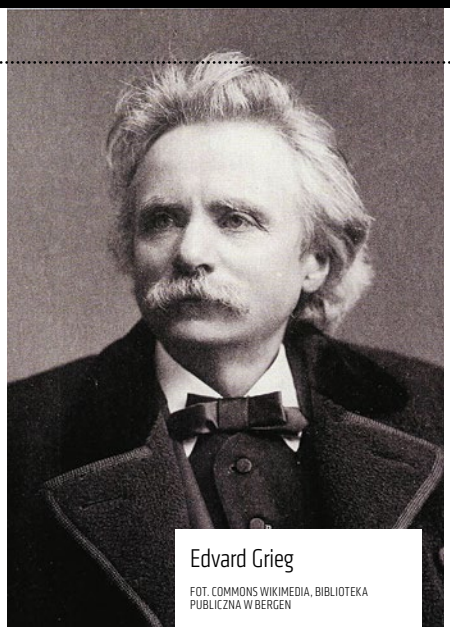
Edvard Grieg
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, BIBLIOTEKA PUBLICZNA W BERGEN

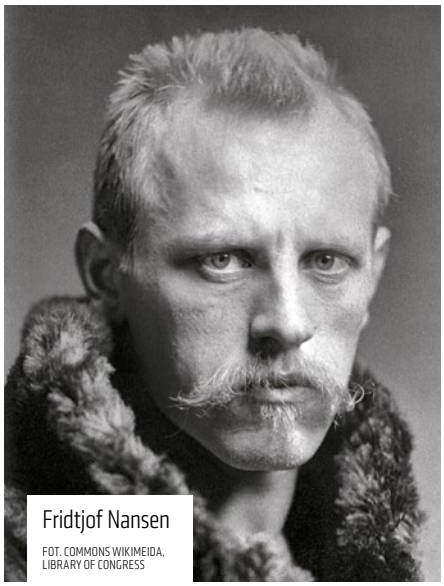
Fridtjof Nansen
FOT. COMMONS WIKIMEIDA, LIBRARY OF CONGRESS

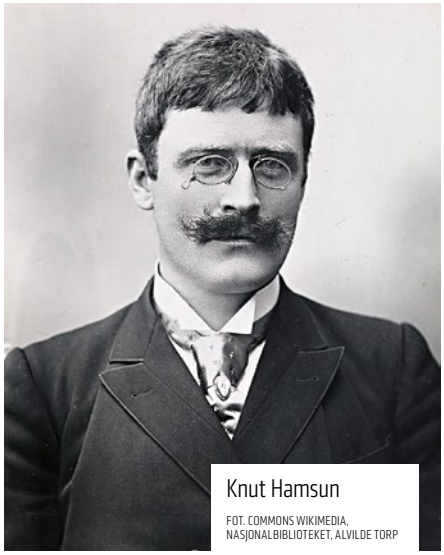
Knut Hamsun
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, NASJONALBIBLIOTEKET, ALVILDE TORP

eprasa.pl 9c1b920042

mocy traktatu w Karlstad, podpisanego 23 września 1905 r. Norwegowie przeprowadzili jeszcze jeden plebiscyt, w którym zadano pytanie, czy nowe państwo ma być monarchią konstytucyjną czy też republiką. Konserwatyści byli za wyborem króla, socjaliści marzyli o republice, ale to ci pierwsi wygrali.

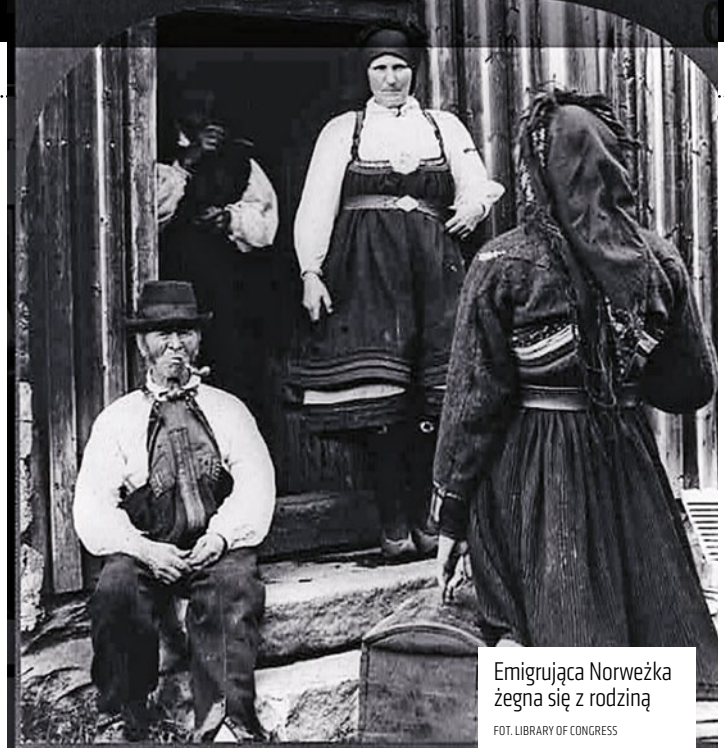

Emigrująca Norweżka żegna się z rodziną

FOT. LIBRARY OF CONGRESS

Królewska kotwica

Nawiązując do starej tradycji sięgającej 1814 r., norwescy liderzy zaproponowali koronę duńskiemu księciu Karolowi. Jednak formalnie wybór monarchy miał być otwartym konkursem. Komisja powołana przez rząd norweski wytypowała kilku książąt z europejskich domów panujących. Najmocniejszym kandydatem do tronu był oczywiście Karol Duński, którego linia genealogiczna sięgała dynastii założonej przez króla Norwegii Haralda I. Ale ten wybór nie podobał się Niemcom. Kajzer Wilhelm II uznał, że skoro żoną Karola jest brytyjska księżniczka Maud, to Norwegia stanie się wasalem Londynu. A przecież wpływy Albionu w Norwegii były traktowane w Berlinie jako wyzwanie dla Niemiec. I to wtedy zaczęła się niemiecka obsesja na punkcie Norwegii. Chory kult germańskości skłaniał niektórych teutońskich mistyków do formułowania haseł o ścisłym sojuszu Niemiec z Norwegią w celu rasowego udoskonalenia cesarstwa. Nic z tych planów wtedy nie wyszło, ale „norwegomania" powróciła za rządów Hitlera.

Wróćmy jednak do europejskiej rozgrywki o obsadzenie tronu Norwegii w 1905 r. Aby wysadzić w powietrze kandydaturę duńskiego królewicza, Wilhelm próbował przekonać szwedzkiego króla Oskara, aby zezwolił na kandydowanie swojego młodszego syna, księcia Bernadotte. Niemiecki władca nic jednak nie wskórał, bo król Szwecji nadal był obrażony na mieszkańców krainy fiordów. Norwegowie odwzajemniali tę antypatię i nazywali władcę ze Sztokholmu mianem „złośliwego trolla". Nawet car Mikołaj II machnął ręką na Norwegię i zablokował pomysł kandydowania na norweski tron swego kuzyna Karola, którego – nawiasem mówiąc – uważał za całkowicie niedojrzałego i nieodpowiedzialnego birbanta. Na placu boju został więc tylko duński książę Karol. Aby zyskać życzliwość swoich nowych poddanych, postanowił przybrać staronorweskie imię Haakon, a na dodatek swego syna nazwał Olaf (ku czci świętego króla o tym imieniu, który ochrzcił Norwegię).

27 listopada 1905 r. Karol dotarł na pokładzie statku „Heimdal" do stolicy Norwegii – Christianii – gdzie wylewnie przywitał go premier Christian Michelsen. Z portu przyszły władca udał się do norweskiego parlamentu, gdzie złożył przysięgę na konstytucję.

Norwegia miała pierwszego króla od 518 lat. Ponad pół roku później, 22 czerwca 1906 r., król Haakon VII i jego żona królowa Maud zostali namaszczeni i uroczyście koronowani przez hierarchów protestanckich w katedrze w Trondheim. W ten sposób wskrzeszone zostało dawno niewidziane w Europie państwo.

Oczywiście dyskusje, czy nie należy wrócić do pomysłu przekształcenia Norwegii w republikę, toczyły się nad fiordami ze zmiennym natężeniem przez cały okres międzywojenny. Gdy jednak w kwietniu 1940 r. III Rzesza napadła na ten kraj, król Haakon pokazał swoją odwagę. W brawurowy sposób opuścił zajmowaną przez Niemców stolicę Oslo, by wyjechać na północ, gdzie przez niemal dwa miesiące przewodził walce swojego ludu przeciwko hitlerowskiemu najeźdźcy. A gdy w końcu Niemcy pokonali obrońców, udał się statkiem do Londynu, gdzie stał się symbolem oporu przeciwko okupacji. 17 maja 1945 r., w rocznicę uchwalenia konstytucji z 1814 r., Haakon VII powrócił do stolicy swojego kraju. Jego postawa w czasie wojny zbudowała tak silny prestiż dynastii, że już nikt nigdy nie powrócił do propozycji zniesienia monarchii. Sytuacja ta trwa do dziś. A co roku 17 maja pochód norweskich dzieci i nastolatków maszeruje w Oslo pod pałac królewski, by złożyć hołd kolejnym norweskim władcom.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Ulotka zachęcająca do głosowania za niepodległością w referendum

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Płaszcz koronacyjny królowej Maud

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, WOLFMANN

eprasa.pl 9c1b920042

Śmiała akcja opozycji / Film a rzeczywistość

Prawdziwe 80 milionów Solidarności

Kadr z filmu „80 milionów" Waldemara Krzystka FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Jakub Ostromęcki

Dzięki śmiałej decyzji Józefa Piniora Wrocław stał się wiodącym ośrodkiem opozycji antykomunistycznej

Wczesnym rankiem 3 grudnia 1981 r. dwóch mężczyzn weszło do budynku oddziału NBP przy ul. Ofiar Oświęcimskich we Wrocławiu. Jeden wyglądał jak typowy intelektualista z niesfornymi włosami. Na nadgarstku miał zrobione przez dziewczynę koraliki, co w opinii prostego ludu znaczyło – hipis. Drugi był jego przeciwieństwem. Krzaczaste brwi, głęboko osadzone oczy, twardy wzrok, gęsty sumiasty wąs. Po ok. godzinie wyszli z wielkimi walizkami i odjechali samochodem. Józef Pinior i Piotr Bednarz, działacze Solidarności, 10 dni przed stanem wojennym zabezpieczyli przed komunistyczną władzą 80 mln zł pochodzących ze składek członkowskich związku. Reżim na szczęście pieniędzy nie dał rady przejąć, co w stanie wojennym umożliwiło działanie wrocławskiej Solidarności.

W 2011 r. Waldemar Krzystek przeniósł na ekran kinowy tę walkę Wrocławian z komuną, osadzając ją w konwencji sensacyjno-szpiegowskiej. Widzowie spragnieni wrażeń dostają odrobinę zmysłowej nagości, pościgi samochodowe, kilka zgrabnych knajackich bon motów („To proste jak włos Mongoła") oraz postacie wulgarnych i zepsutych esbeków. Natomiast ci bardziej wrażliwi zobaczą w tym samym uniwersum niezłomnych księży i weteranów AK wspierających protestujących związkowców.

W filmie na każdym kroku wyskakują PRL-owskie rekwizyty na czele z dużymi Fiatami i Maluchami. Propagandowe slogany wiszą na pordzewiałych konstrukcjach, obdrapanych murach i niedokończonych inwestycjach, mając przykryć wszechogarniającą siermięgę. Bohaterowie stoją w niekończących się kolejkach. Tak samo samochody, które pchane są przez kierowców czekających godzinami na wjazd na CPN – jedyną państwową sieć dystrybucji paliw.

Robotnicze torsy okrywają identyczne flanele i drelichy, tu i ówdzie widać lekko przetłuszczone włosy. Reżyserowi w dbałości o anturaż umknęło jedynie kilka nie zawsze łatwych do zauważenia szczegółów. Maniacy militariów dopatrzyli się np., że pistolet, z którego mierzy do uciekających opozycjonistów esbeczka Czerniak, produkowany był dopiero od połowy lat 90. Inny niepasujący do klimatu epoki szczegół wiąże się z rolą donosicielki Natalii, w którą wcieliła się Emilia Komarnicka – radykalna depilacja

eprasa.pl 9c1b920042

na początku lat 80. była czymś niespotykanym nie tylko w pruderyjnym PRL, lecz także na wyzwolonym obyczajowo Zachodzie.

Łatwo wyjąć, trudniej wydać

Przyjęcie sensacyjnej konwencji sprawia, że scenarzysta musi przejechać się jak walec po faktach historycznych. Najbardziej udramatyzowany jest główny wątek opowieści. Filmowy Pinior daje kasjerce solidarnościową książeczkę wypłat. Ta nerwowo przełyka ślinę, woła dyrektora oddziału, który sprawdza dokładnie czek, zanim stwierdzi, że wszystko jest w porządku. Rozpoczyna się ładowanie plików banknotów do walizek i wora po rowerze. Przy innych okienkach kłębią się zwykli klienci i z niedowierzaniem wgapiają w Piniora i Bednarza. Z wyładowanymi walizkami i torbą dwaj opozycjoniści udają się następnie do Fiata 125p i odjeżdżają. Dyrektor banku przez telefon podaje milicji numery ich samochodu, ale celowo spóźnia się z tą informacją. To daje związkowcom czas na zmianę samochodu i bezpieczne dotarcie do kurii. Tymczasem pozbawiony trefnego ładunku Fiat 125p celowo krąży po mieście dla odwrócenia uwagi. W pościg za nim ruszają esbecy. Związkowcy uderzają w przejeżdżający pociąg towarowy, ale – choć esbecy zdążyli już zacząć celebrację – w samochodzie są tylko Stanisław Huskowski i jeszcze jeden opozycjonista. Bagażnik jest natomiast pusty.

W rzeczywistości wypłata solidarnościowych pieniędzy nie miała w sobie nic z dramatyzmu. Wszystko poszło sprawnie dzięki znajomościom Piniora w banku. Dzień przed wypłatą poprosił on swojego kolegę pracującego w NBP o to, by przygotował dyrektora na niecodzienną procedurę. Wypłata tak wielkiej kwoty odbywała się w osobnym pomieszczeniu, więc nie było mowy o żadnym tłumie ciekawskich emerytów. Odbyła się też całkowicie zgodnie z prawem – Solidarność działała wszak jeszcze legalnie. Dyrektor nie musiał nawet informować milicji o wypłacie. Chyba że Pinior i Bednarz poprosiliby o eskortę, czego z oczywistych powodów nie zamierzali czynić. Nikt ich nie ścigał, nikt nie śledził. Opozycjoniści zmienili samochody, ale w tych okolicznościach było to dmuchanie na zimne. Kasa bezpiecznie znalazła się w kurii u abp. Henryka Gulbinowicza. O tym, że Gulbinowicz prowadził w latach 70. rozmowy z SB, czego w świetle stanowiska Kościoła czynić mu nie było wolno, a nawet typowano go na tajnego współpracownika, nikt z opozycji nie wiedział. Zresztą pod koniec lat 70. rozmowy z Gulbinowiczem przestawały być dla SB owocne.

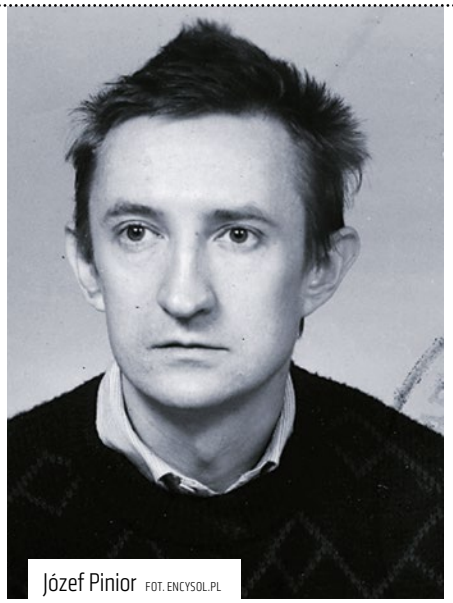
Józef Pinior FOT. ENCYSOL.PL

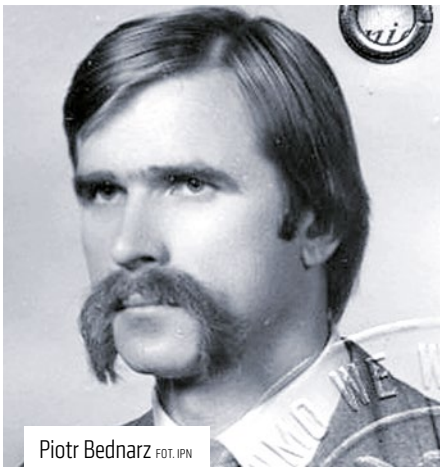
Piotr Bednarz FOT. IPN

Opowieść Krzystka biegnie dalej swoim sensacyjno-szpiegowskim torem, zamiast skupić się na robotniczych strajkach. A to właśnie wśród robotników znaleźli się rychło prawdziwi Pinior, Bednarz oraz szef całego regionu – Władysław Frasyniuk. Pierwsze dni stanu wojennego spędzili oni we wrocławskich zakładach przemysłowych: Zajezdni, FAT, Dolmel, Pafawag i Hutmen. Ich położenie było z punktu widzenia organizacji strajków i protestów fenomenalne – wszystkie leżały obok siebie, tworząc wielką dzielnicę przemysłową. Pacyfikację zakładów opozycjoniści przetrwali ukryci na siatce podwieszonej pod stropem jednej z hal, potem w bębnach wentylatorów. Zomowcy deptali im niemal po głowach. Następnie ukrywali się w lokalach konspiracyjnych, bo za kontynuowanie działalności związkowej w stanie wojennym kary były bardzo surowe. Wszyscy zajmowali się koordynacją protestów i wypłatami zdeponowanych w kurii pieniędzy. A potrzeby były wielkie: zakup drogiego sprzętu dla nielegalnego Radia Solidarność, druk gazet i ulotek, zapomogi dla osób wyrzuconych w stanie wojennym z pracy.

Wypłata pieniędzy była nader skomplikowana. Nie można było tak po prostu pojechać do abp. Gulbinowicza i wyjechać z kopertą pełną złotówek. Procedura wyglądała następująco: ukrywający się Pinior i Frasyniuk przez łączników zbierali pisemne preliminarze, potem na kartce zapisywali pseudonim lub nazwisko odbiorcy gotówki i przez innego łącznika prośbę przekazywali Kazimierzowi Jeriemu. Ten szedł do swojego znajomego, bp. Adama Dyczkowskiego, u którego zawsze był tłum ludzi. Miał on bezpośredni dostęp do abp. Gulbinowicza, który wpłacał mu zamówioną kwotę. Do bp. Dyczkowskiego przychodził potem ks. Ryszard Jerie, brat wspomnianego Kazimierza. Przekazywał pieniądze Kazimierzowi, a ten w mieszkaniu na wrocławskim „Sedesowie" chował pieniądze w workach na kapcie ukrytych w szczelinie elewacji przy balkonie. Przychodzili po nie potem koleni łącznicy lub sami zainteresowani. Każda złotówka musiała być pokwitowana osobiście. Dokumentacje wydatków, pokwitowania i raporty Jerie wsadzał zaś do sejfu w instytucie, w którym pracował. Nie doszło do żadnej defraudacji – Pinior u zarania wolnej Polski rozliczył się z Solidarnością co do złotówki. Wydano 34 mln. Reszta została u abp. Gulbinowicza i została zwrócona związkowi w 1990 r. Bez Kościoła operacja ta nie powiodłaby się, choć sam arcybiskup nie uniknął zastraszania – esbecja spaliła jego samochód.

eprasa.pl 9c1b920042

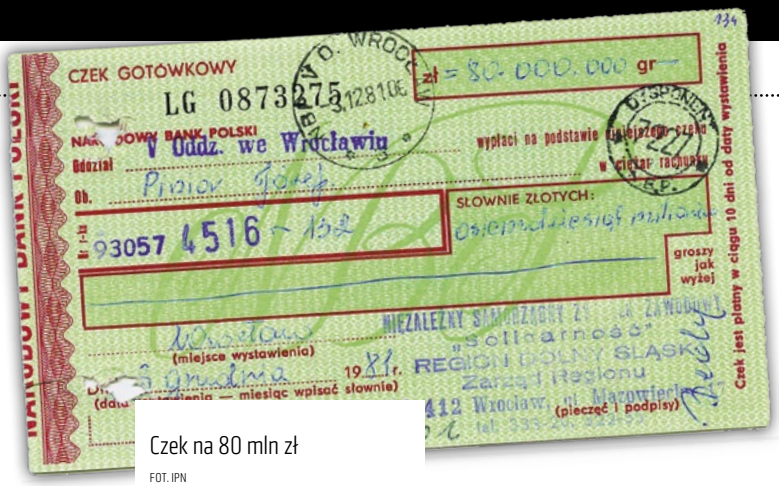

Czek na 80 mln zł

FOT. IPN

W filmie Krzystka nagle pojawiają się cinkciarze, znakomicie zresztą ucharakteryzowani. Błyszczą ulizany fryz i złoto, łypią chytre oczka. Ludzie ci faktycznie odegrali sporą rolę w obrocie solidarnościową gotówką. Arcybiskup wpadł na pomysł, że skoro złotówka gwałtownie traci na wartości, to trzeba pieniądze związku wymienić na dolary. W czasach PRL można to było zrobić jedynie na czarnym rynku. Gulbinowicz i pomagający mu ks. Andrzej Dziełak nie wyjaśnili jednak, o którą cinkciarską grupę chodziło. Dziełak i wspomniany wyżej ks. Jerie to z pewnością pierwowzory filmowego księdza o pseudonimie Żegota.

Szacunek kryminału

Krzystek dość gruntownie pozmieniał biogramy bohaterów. Zacznijmy od samego Władysława Frasyniuka. Jest to postać, która na wrocławską opozycję lat 80. wywarła olbrzymi wpływ. Głupio było więc robić film bez niego. Na akcję podjęcia pieniędzy Solidarności Frasyniuk nie miał jednak wpływu. Był zresztą szczerze zadziwiony, gdy podczas strajku protestacyjnego Pinior szepnął mu nagle do ucha, że udało się zabezpieczyć całą kwotę związku. Szef wrocławskiej Solidarności w stanie wojennym organizował z ukrycia strajki i nielegalną rozgłośnię radiową. Został aresztowany w październiku 1982 r. w jednym z wrocławskich bloków. Eskortowano go pod bronią i następne lata przesiedział w więzieniu. Stawiał się, bito go, zastraszano, zamykano w izolatce. W ten sposób zyskał szacunek grypsujących i sam też nauczył się grypsery. Jest to znakomity materiał na film, choć dużo bardziej statyczny i utrzymany w bardziej ponurej tonacji. Jednak nie taką optykę przyjął dla swojej opowieści Krzystek, stąd postać Frasyniuka wciśnięta jest tu nieco na siłę.

Miesiąc po Frasyniuku zatrzymano Piotra Bednarza. Jego też bili. W więzieniu trzymano go nagiego w zimnej celi za to, że nie godził się na filmowanie na spacerniaku. Potem próbował popełnić samobójstwo, podcinając sobie żyły. Jak tłumaczył, chciał wstrząsnąć społeczeństwem i władzami, zmuszając je do ustępstw. Odratowano go jednak i sam Kiszczak przyznawał potem, że gdyby dopuścił do śmierci Bednarza, to „rozpętałoby się piekło". Bednarz nie jest jednak główną postacią filmu.

Najdłużej ukrywał się Pinior, którego zatrzymano w kwietniu 1983 r. W areszcie milicjanci zepchnęli ze schodów jego dziewczynę (potem żonę) Marię Chojnacką za to, że próbowała porozumieć się z Józefem. W więzieniu Piniora pozbawiono dostępu do bieżącej wody i badań lekarskich. Również on, podobnie jak Frasyniuk, zyskał szacunek u więźniów kryminalnych. „Tyle kasy zakosić komuchom sprzed nosa" – mówili z podziwem, nie mogąc zrozumieć, dlaczego Pinior nie zagarnął z tego nic dla siebie. Więziennych wątków w tym filmie jednak nie ma.

Najbardziej wyeksponowaną postacią filmu jest Staszek, którego pierwowzorem jest Stanisław Huskowski. Filmowy Staszek podczas strajków sierpniowych w 1980 r. zakochuje się w wiolonczelistce Annie. Taki koncert dla strajkujących załóg rzeczywiście się odbył. Wykonali go muzycy Opery Wrocławskiej, grając utwory Moniuszki, a nie symfonię „Z Nowego Świata" Dvořáka, ale ten utwór, jako bardziej dosłowny, lepiej pasował do optymistycznego przesłania filmu.

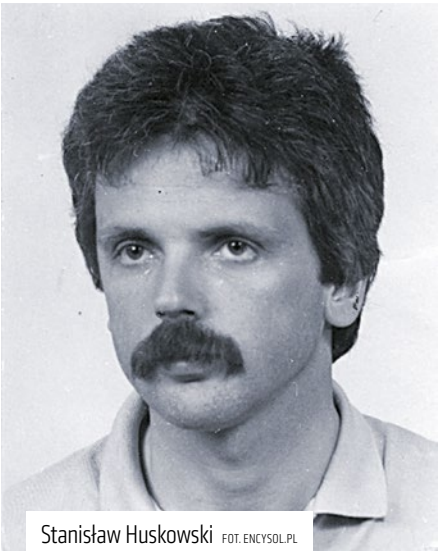

Stanisław Huskowski FOT. ENCYSOL.PL

W momencie akcji w banku Anna i Staszek mają już dziecko. Staszek, jako pasażer rozbitego, jadącego na przynętę Fiata 125p, dostaje się w ręce SB. W resortowej piwnicy, w scenerii jak z horroru gore, funkcjonariusze zaczynają go szantażować, straszyć zagrożoną ciążą żony i bić, chcąc dowiedzieć się, gdzie ukryto solidarnościowe pieniądze. Staszek milczy, esbecy poją go więc na siłę wódką i porzucają na wsi, śledząc dalsze kroki. Jak na ironię prawdziwy Stanisław Huskowski był najmniej zaangażowany w stanie wojennym w działalność podziemia. W czasie strajków sierpniowych i 16 miesięcy Karnawału Solidarności angażował się bardzo w działalność wydawniczą, ale pierwsze miesiące stanu wojennego spędził w szpitalu. Aresztowano go w marcu 1982 r. i od razu trafił do ośrodka internowania. Wypuszczono stamtąd ze względu na zły stan zdrowia, który w medycznej dokumentacji został jeszcze „podrasowany" przez sprzyjających Solidarności lekarzy. Potem pracował jako nauczyciel fizyki w jednym z liceów, skąd jednak został wyrzucony, bo jego uczniowie nosili wpięte w ubranie oporniki.

Po wprowadzeniu stanu wojennego akcja filmu przeskakuje od razu do sierpnia 1982 r. Na ulicach Wrocławia demonstrują tłumy, nad brukiem unosi się milicyjny gaz. To nawiązanie do największej w Polsce manifestacji ulicznej okresu stanu wojennego, tzw. bitwy wrocławskiej. Jedna z jej faz rozegrała się w pobliżu Mostu Grunwaldzkiego. Krzystek przedstawia ją jako happening zdeterminowanych, ale wesołych młodych ludzi skierowany przeciwko brutalnym tępakom z ZOMO. Na milicjantów lecą ulotki, słuchać przerobiony hit Perfectu o biciu ZOMO. W rzeczywistości we

eprasa.pl 9c1b920042

Wrocławiu od milicyjnych i wojskowych kul ginęli wtedy ludzie. W manifestacjach nie uczestniczyli oczywiście ukrywający się działacze, bo byłoby to proszenie się o natychmiastową dekonspirację. Pinior mieszkał akurat w kamienicy przy Moście Grunwaldzkim, skąd wyszedł jedynie na chwilę ze swoją łączniczką, żeby zobaczyć, co się dzieje.

Fantastyczna historia majora WSW

Świat wrocławskiej esbecji tonie w nikotynowym dymie i oparach wódki. Jej głównymi postaciami są komendant MO, mający za pierwowzór szefa wrocławskiej bezpieki Czesława Błażejewskiego, oraz esbek Sobczak, rozpracowujący solidarnościowe podziemie. „Pies z psa" – jak o sobie mówi. Prymitywny, wulgarny, brutalny i chytry. Nie wierzy przy tym w system, jakby wietrząc swoim esbeckim nosem nadejście kapitalizmu. Idzie więc do kurii biskupiej i szantażuje ks. „Żegotę". Chce 20 proc. pieniędzy Solidarności, resztę może brać opozycja na swoje działania. Sobczak wychodzi jednak na idiotę, bo cały obiekt jest na podsłuchu, który on sam kazał założyć jakiś czas wcześniej.

Podobny do Sobczaka typ rzeczywiście pracował we wrocławskiej esbecji. Był to niejaki Zdzisław Kmetko, funkcjonariusz karany za ciężkie pobicie zatrzymanego. Kmetko miał również chrapkę na szklarnię, którą Pinior kupił dla Solidarności przez podstawionego człowieka. Po aresztowaniu Piniora działkę przejęło państwo, a konkretnie ludzie ze Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego. Esbek chciał ich przekonać do tego, aby wydzierżawili mu intratny biznes. Ci jednak nie chcieli tego zrobić, a sprawa doszła do szefów Kmetki, co skończyło się dla niego wyrzuceniem z resortu.

We wrocławskiej siedzibie SB przesiaduje często mjr Bagieński z Wojskowej Służby Wewnętrznej, czyli kontrwywiadu wojskowego. Przed stanem wojennym takie spotkania nie były częste, ale po 13 grudnia już jak najbardziej. Jego wątek jest w filmie najbardziej nieprawdopodobny. Otóż Bagieński na początku swojej służby w latach 40. miał rozpracować w celi jednego z żołnierzy niezłomnych – „Kmicica", podając się za więźnia. Ostatecznie jednak to konspirator omotał bezpieczniaka i tak przez całą swoją karierę w Ludowym Wojsku Polskim Bagieński sprzyjał antykomunistycznej opozycji, przekazując jej informacje.

We Wrocławiu jest nieprzypadkowo, bo po stronie Solidarności stoi sam „Kmicic". To od niego Solidarność dowiaduje się o planach bezpieki. SB za wszelką cenę chce wytropić przeciek, co jej się ostatecznie udaje, i Bagieński kończy w więzieniu. Jest to gruba fantazja. Wywiad i kontrwywiad LWP były strukturami tak silnie zideologizowanymi i kształtowanymi przez Moskwę, że próba odwrócenia wysokiej rangi oficera zakrawa na nieprawdopodobieństwo.

Kadr z filmu dokumentalnego „Bitwa Wrocławska" Beaty Jachnuty FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Takie historie zdarzały się jednak gdzie indziej. W SB pracował słynny Adam Hodysz, funkcjonariusz gdańskiej „cywilnej" bezpieki, który przekazywał ważne informacje Solidarności. We wrocławskiej MO służył zaś Adam Rak, który przeszedł na stronę opozycji. „Kmiciców" wśród żołnierzy niezłomnych było kilku, ale inspiracją dla filmowego może być postać Romana Lipińskiego ps. Murzyn, Wiesław, byłego żołnierza Narodowego Zjednoczenia Wojskowego, skazanego na karę śmierci zamienioną na dożywocie. Po amnestii Lipiński trafił do pracy we wrocławskiej Fadromie i zapisał się tam do Solidarności. W stanie wojennym był dwukrotnie internowany.

Kolejnym przesadzonym fragmentem są sceny na cmentarzu żołnierzy sowieckich. Esbecy szykują tam prowokację, bezczeszcząc groby, mażąc antysowieckie hasła i swastyki. Winą za to obarczona zostanie Solidarność. Prowokacji próbuje przeszkodzić trzech głównych bohaterów, łapiąc esbeków i wzywając milicję. Na miejsce przyjeżdża sowiecki oficer, a telewizja filmuje naiwnych opozycjonistów. Wieczorem jednak sowiecki dziennik, transmitowany u nas, pokazuje pocięte i spreparowane nagranie, w którym na dewastatorów wychodzą opozycjoniści. Prowokacje takie oczywiście miały miejsce, ale nigdy w ich ujawnienie nie byli zamieszani Pinior, Huskowski czy Bednarz. Nikt z nich nie byłby również zaskoczony perfidią komunistycznych mediów, nie mówiąc już o tym, że sowieckie dzienniki nie były transmitowane w PRL.

***

Dobrze, że Krzystek nie pociągnął tej opowieści dalej, do wolnej Polski. Józef Pinior bowiem, po 40 latach od tych chlubnych wydarzeń, dał się porwać korupcyjnym pokusom i został za to skazany prawomocnie, natomiast kard. Gulbinowicz został ukarany przez Watykan m.in. w związku z zarzutem molestowania (świecki wymiar sprawiedliwości nie podjął sprawy z powodu przedawnienia).

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9c1b920042

Józef Stalin i Gieorgij Malenkow (z lewej)
FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Lata 50. XX w. / Walka na kremlowskich korytarzach

Ucięta „prawa ręka" Stalina

Mikołaj Iwanow

Gieorgij Malenkow wydawał się pewniakiem do roli następcy generalissimusa. Brakowało mu jednak determinacji i talentów politycznych, którymi wykazywał się jego rywal – Nikita Chruszczow

„Ojciec wszystkich narodów" miał żyć wiecznie, więc za życia nie wyznaczył swojego następcy. Jednak taki człowiek funkcjonował w jego cieniu. Był on stosunkowo młody (w 1945 r. miał 44 lata), ale przede wszystkim fanatycznie oddany swemu patronowi. Człowiekiem tym był Gieorgij Malenkow. Gdy przywódca Związku Sowieckiego z czasem coraz mniej angażował się w bieżące kierowanie krajem, Biuro Polityczne powierzyło mu w zasadzie obowiązki zastępcy Stalina w partii. To właśnie on na ostatnim za życia Stalina zjeździe Wszechzwiązkowej Komunistycznej Partii (bolszewików) [WKP(b)] w 1952 r. wystąpił z referatem sprawozdawczym.

Dlaczego ostatecznie nie udało mu się zająć miejsca Stalina u steru potężnego sowieckiego imperium?

W odróżnieniu od innych popleczników generalissimusa Malenkow nie był w stanie pochwalić się pochodzeniem proletariackim – pochodził z rodziny szlacheckiej. Jego dziadek był pułkownikiem armii carskiej, a ojciec wysoko postawionym urzędnikiem. Jednak to „niewłaściwe" pochodzenie nie przeszkodziło mu zająć wyjątkowo wysokiego stanowiska w stalinowskiej biurokracji.

W okresie wielkiego terroru (lata 1936–1938) Malenkow był prawą ręką Stalina w kwestii „czyszczenia" partii. W 1936 r. objął zwierzchnictwo nad Wydziałem Kierowniczych Organów Partyjnych, które z powodzeniem piastował do 1939 r. Stalin w tym okresie wysunął słynne hasło: „Kadry decydują o wszystkim" i polecił Malenkowowi przeprowadzić kampanię weryfikacji i wymiany dokumentów partyjnych. W jej toku sporządzono karty rejestracyjne i teczki osobowe wszystkich członków partii (a także kandydatów na członków), które obejmowały ok. 2,5 mln osób. Na podstawie powstałego indeksu kart, zawie-

eprasa.pl 9c1b920042

rającego również dane o przywódcach i specjalistach bezpartyjnych, zbudowano olbrzymi, scentralizowany system kadrowy nomenklatury, który stał się główną specjalnością Malenkowa.

W 1939 r. Stalin mianował go sekretarzem Komitetu Centralnego i kierownikiem Wydziału Personalnego Komitetu Centralnego. Żaden awans na wysokie stanowisko partyjne czy państwowe nie mógł być zrealizowane bez aprobaty Malenkowa, który stał się swego rodzaju cieniem samego Stalina.

„Sprawa leningradzka"

Po wojnie Malenkow z namaszczenia „ojca wszystkich narodów" powoli konsolidował swą władzę, stosując czasami najbardziej okrutne metody z arsenału swego patrona. W lutym 1949 r. Malenkow pojechał specjalnym pociągiem z Moskwy do Leningradu na czele uzbrojonego oddziału Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego ZSRS (MGB).

Podlegli mu ludzie otoczyli Pałac Smolny – siedzibę miejscowych władz partyjnych. Z inicjatywy Stalina przeprowadzono liczne zatrzymania i aresztowania. Pod kierownictwem Malenkowa ruszyło wielkie śledztwo w sprawie członków tamtejszej organizacji partyjnej, a także niemal wszystkich wyższych urzędników, którzy po Wielkiej Wojnie Ojczyźnianej awansowali z Leningradu na stanowiska kierownicze w Moskwie i w innych regionalnych organizacjach partyjnych. Aresztowania miały miejsce zarówno w Leningradzie, jak i w innych miejscach w kraju, m.in. w Moskwie, Murmańsku, Symferopolu, Nowogrodzie i Tallinie.

Malenkow groźbami wymusił na sekretarzach komitetów obwodowych i miejskich zeznania w sprawie istnienia w Leningradzie wrogiej grupy antypartyjnej. Z inicjatywy Stalina wydano nakaz aresztowania – w tajemnicy – miejscowych przywódców partyjnych. Dopiero po zakończeniu śledztwa informacje o dymisjach, postępowaniach karnych za przestępstwa partyjne i kryminalne zostały upublicznione w prasie. Prawdopodobnie właśnie z powodu

Gieorgij Malenkow w 1950 r.

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, GRIGORIJ WAJŁ TASS

„sprawy leningradzkiej" 12 stycznia 1950 r. w Związku Sowieckim przywrócono karę śmierci (trzy lata wcześniej została ona zniesiona dekretem Prezydium Rady Najwyższej ZSRS).

Na karę śmierci skazano wówczas m.in.: przewodniczącego Państwowego Komitetu Planowania ZSRS Nikołaja Wozniesienskiego, przewodniczącego Rady Ministrów Rosyjskiej Federacyjnej Socjalistycznej Republiki Sowieckiej Michaiła Rodionowa, sekretarza Komitetu Centralnego WKP(b) Aleksieja Kuzniecowa, pierwszego sekretarza leningradzkiego komitetu obwodowego Piotra Popkowa, a także przewodniczącego leningradzkiego miejskiego komitetu wykonawczego Piotra Łazutina. Rozstrzelano ich 1 października 1950 r., godzinę po ogłoszeniu wyroku.

Przyczyny „sprawy leningradzkiej", której głównym architektem był Malenkow, nigdy nie zostały oficjalnie ujawnione. Straceni Leningradczycy i ich krewni pozostawili po sobie bardzo niewiele dokumentów. Malenkow przyznawał później, że wykonał rozkaz Stalina, by

Triumfalne zwycięstwo komunistów pod wodzą Mao Zedonga ostatecznie przekonało Stalina o sprawności Malenkowa

oczyścić Leningrad. Do sprawy odniósł się Chruszczow w swym referacie na XX zjeździe partii. Oświadczył, że „Leningradczycy" nie uknuli żadnego spisku, a jedynie zaproponowali utworzenie Rosyjskiej Partii Komunistycznej z własnym Komitetem Centralnym i ośrodkiem w Leningradzie oraz przeniesienie tam z Moskwy Rady Ministrów RFSRS. Faktem jest, że RFSRS była jedyną republiką związkową, która nie posiadała własnej, rosyjskiej partii komunistycznej. Stalin bezpodstawnie dopatrywał się w tym próby stworzenia nowej opozycji w partii. Prawdopodobnie był to przejaw jego paranoicznej podejrzliwości. Ale spekulowano również, że przyczyną represji wobec „Leningradczyków" był ich konflikt z grupą działaczy partyjnych skupionych wokół Malenkowa.

W 1954 r. osoby skazane w „sprawie leningradzkiej" zostały zrehabilitowane, a stawiane im zarzuty uznano za fikcyjne. Winę za ich ściganie zrzucono na ministra bezpieczeństwa państwowego Wiktora Abakumowa, którego wkrótce rozstrzelano.

Ale Malenkow zyskiwał w oczach Stalina nie tylko w związku z jego działalnością partyjną. Przywódca ZSRS doceniał też jego zaangażowanie w pomoc chińskim komunistom toczącym wojnę domową z obozem Czang Kaj-szeka. Triumfalne zwycięstwo komunistów pod wodzą Mao Zedonga w 1949 r. ostatecznie przekonało Stalina o sprawności Malenkowa i sprawiło, że zobaczył w nim potencjalnego następcę.

Błyskotliwa kariera Malenkowa w partii miała jeszcze jedno bardzo ważne podłoże. Główny kadrowy partii miał poparcie innego stalinowskiego faworyta – Ławrientija Berii. Pod koniec życia Stalin zaczął się stopniowo wycofywać z bieżącego zarządzania partią i krajem, w czym wyręczali go właśnie Malenkow i Beria. Po aferze leningradzkiej pozostali członkowie kierownictwa kraju bali się ich tak bardzo, że nikt nie odważył się im sprzeciwiać, gdy faktycznie przejęli stery władzy. Są świadectwa, że w wielu sprawach działali oni jak zgodny duet. W partii uważano, że stanowią najbliższe i najwierniejsze zaplecze Stalina. I że to oni w naturalny sposób wkrótce przejmą po nim schedę. Paradoksalnie ta zażyłość Malenkowa z Berią wkrótce zniszczyła

eprasa.pl 9c1b920042

ich obu. Z tą różnicą, że pierwszy z nich ocalił życie, natomiast drugi zginął w tzw. terrorze poststalinowskim.

Leninowska dwuwładza

1 marca 1953 r. o godz. 18.30 Stalin doznał wylewu krwi do mózgu z powodu nadciśnienia tętniczego i miażdżycy. Cztery dni później zmarł. Śmierć Stalina była rzeczą naturalną, ponieważ był już stary i schorowany, a jego problemy zdrowotne pogłębiały styl życia i złe nawyki: palenie tytoniu, spożywanie alkoholu, zła dieta i przepracowanie. Stalin poddawał się regularnemu i długotrwałemu leczeniu, począwszy od lat 20. XX w., jednak autopsja jego zwłok wykazała poważne uszkodzenia tętnic mózgowych.

Po śmierci wodza sprawowane przez niego stanowisko przewodniczącego Rady Ministrów Związku Sowieckiego objął Gieorgij Malenkow. Przez sześć miesięcy, od marca do września 1953 r., Malenkow był postrzegany jako bezpośredni następca Stalina i bezsprzeczny przywódca kraju. Wynikało to z faktu, że Stalin w maju 1941 r. zmienił dotychczasowe leninowskie podejście do kierowania imperium. Postanowił, aby to właśnie Rząd ZSRS, a nie Komitet Centralny Partii stał się w latach 40. de facto naczelnym organem władzy państwowej. Stalin świadomie likwidował w ten sposób tzw. dwuwładzę, pozbawiając tym samym swoich następców prawa do automatycznego decydowania o kwestii przywództwa.

Stalin i Malenkow na okładce „Time'a" FOT. TIME.COM

Początkowo wydawało się, że Beria, bliski sojusznik Malenkowa, który miał największe szanse na zostanie absolutnym władcą państwa, zadowoli się pozycją drugiej osoby w kraju. Posiadał wrodzoną inteligencję i przebiegłość, miał za sobą długą karierę w organach bezpieczeństwa, znaczące poparcie zarówno w partii, jak i wśród resortów siłowych, a także bliskie relacje ze zmarłym Stalinem. Ale jego najbardziej przekonującym atutem był fakt, że dysponował szczegółowymi dowodami obciążającymi wszystkich swoich konkurentów. Najwyżsi rangą urzędnicy partyjni byli przecież bezpośrednio lub pośrednio zaangażowani w represje stalinowskie, podpisując rozkazy egzekucji. Nikt nie chciał, aby takie informacje zostały ujawnione, zwłaszcza w początkowej fazie krytyki kultu jednostki. W ten sposób Beria okazał się zagrożeniem dla wszystkich swoich konkurentów.

Na ich reakcję nie trzeba było długo czekać. Zawarli oni tymczasowy sojusz, aby wyeliminować rywala. Malenkow zajął w tej konfrontacji pozycję neutralną, ponieważ również on bał się swojego „przyjaciela". Na posiedzeniu Prezydium KC KPZS Beria został aresztowany przez marszałka Gieorgija Żukowa, zwolennika Nikity Chruszczowa. Obawiając się ewentualnego oporu ze strony popleczników skompromitowanego ministra, spiskowcy sprowadzili do stolicy czołgi dwóch elitarnych dywizji: kantemirowskiej i tamańskiej. Jednak ostatecznie nie weszły one do akcji; podczas całej operacji nie padł ani jeden strzał. Spiskowcy osiągnęli swój cel: Beria został skazany na śmierć i rozstrzelany.

Po eliminacji głównego rywala Chruszczow, piastujący stanowisko pierwszego sekretarza WKP(b), postanowił pozbyć się również Malenkowa. Służyć temu miało przywrócenie dominującej pozycji pierwszego sekretarza partii. Początkowo niewielu wierzyło w sukces Chruszczowa. W porównaniu z innymi kandydatami był on słabo wykształcony i nigdy nie piastował wysokiego stanowiska. Według jego własnych wspomnień edukację zakończył, gdy nauczył się liczyć do 30. Jednak eliminując swoich politycznych rywali, Chruszczow wykazał się niezwykłą dalekowzrocznością i pomysłowością.

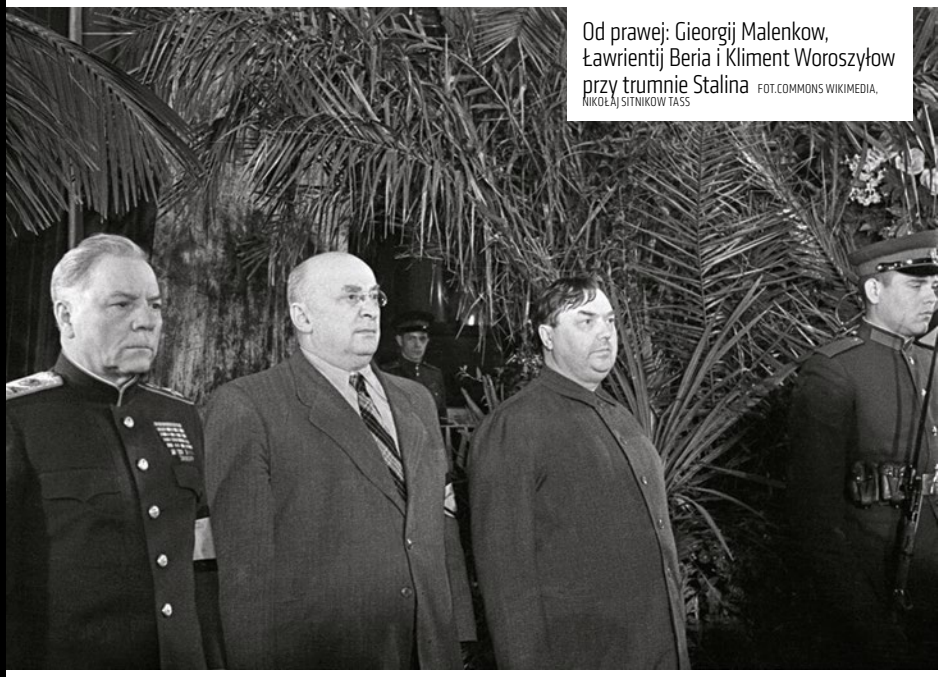
Od prawej: Gieorgij Malenkow, Ławrientij Beria i Kliment Woroszyłow przy trumnie Stalina FOT. COMMONS WIKIMEDIA, NIKOŁAJ SITNIKOW TASS

eprasa.pl 9c1b920042

W lutym 1955 r., za sprawą intryg Chruszczowa, Malenkow został usunięty ze stanowiska przewodniczącego Rady Ministrów ZSRS. Tym samym zawieszone zostały jego iście rewolucyjne plany: umorzenie długów i obniżki podatków dla chłopów, szybkie zakończenie wojny koreańskiej i cięcia w budżecie obronnym w celu poprawy poziomu życia ludności. Fatalnym błędem Malenkowa była próba zlikwidowania przywilejów wysoko postawionych działaczy partyjnych. Planował on zniesienie tzw. drugich (tajnych) pensji działaczy partyjnych, wypłacanych w gotówce, bez podatków i składek. Ta ostatnia sprawa pozwoliła Chruszczowowi łatwo przekonać członków Prezydium KC, że usunięcie Malenkowa to absolutna konieczność.

W ten sposób Malenkow stracił stanowisko prezesa Rady Ministrów, choć pozostał w jej składzie jako minister... elektrowni. Wpływy Chruszczowa w partii i rządzie cały czas rosły. Mimo zawirowań na scenie wewnętrznej prowadził również aktywną politykę zagraniczną – odwiedzał komunistyczne Chiny i Jugosławię, był także pierwszym sowieckim przywódcą, który złożył oficjalną wizytę w Stanach Zjednoczonych.

Na słynnym XX Zjeździe Chruszczow potępił kult Stalina, co symbolicznie rozpoczęło okres tzw. odwilży, charakteryzującej się zakończeniem terroru i pewnym poszerzeniem swobód zwykłych obywateli. Wydarzenia te dały pierwszemu sekretarzowi wiarygodność polityczną w świecie i w społeczeństwie sowieckim, ale jednocześnie wywołały niezadowolenie wśród starej gwardii Stalina, która podjęła próbę odsunięcia Chruszczowa od władzy.

Jak trwoga, to do Cerkwi

Na czele opozycji wobec Chruszczowa stanęli dwaj najbliżsi poplecznicy Stalina: Wiaczesław Mołotow i Łazar Kaganowicz. Udało im się przeciągnąć na swą stronę również Malenkowa. Wkrótce ten rozłam w elicie rządzącej doprowadził do otwartej konfrontacji.

W czerwcu 1957 r. na posiedzeniu Prezydium KC KPZS tzw. grupa antypartyjna Mołotowa, Kaganowicza, Malenkowa i popierającego ich Dmitrija Szepiłowa wysunęła wiele ostrych oskarżeń przeciwko Chruszczowowi, m.in. o naruszenie zasady kolektywnego sprawowania władzy, nieuzasadnione działania w polityce zagranicznej i inwigilację członków Biura Politycznego. Następnie złożono wniosek o odwołanie Chruszczowa ze stanowiska. Początkowo większość obecnych na posiedzeniu członków prezydium poparła ten krok. Chruszczow jednak nie dał za wygraną.

Konrad Adenauer (w środku z prawej) i Gieorgij Malenkow (na wprost), Moskwa, 1955 r. FOT. BUNDESARCHIV

Nie wiadomo, jak potoczyłyby się jego losy, gdyby marszałek Żukow nie przyszedł mu ponownie z pomocą. Wraz z szefem KGB Iwanem Sierowem szybko ściągnął do Moskwy samolotem wojskowym wiernych Chruszczowowi członków prezydium, którzy przebywali w Leningradzie na uroczystościach z okazji 250. rocznicy powstania miasta. W ten sposób większość prezydium poparła Chruszczowa i zadecydowała o pozostawieniu go na stanowisku. Natychmiast zwołano poszerzone Plenum KC. W trakcie posiedzenia wysunięto oskarżenia pod adresem tzw. grupy antypartyjnej Mołotowa-Kaganowicza-Malenkowa. Żukow dostarczył dokumenty obciążające ich odpowiedzialnością za masowe represje. Decyzją plenum wszyscy spiskowcy zostali usunięci z Komitetu Centralnego KPZS, a pięć lat później – z partii. Chruszczow triumfował.

Jednak nowy władca ZSRS nie odważył się rozprawić z opozycją na modłę Stalina. Nikt z jego rywali nie został aresztowany ani osądzony. Mało tego – prawie nikt nie stracił przywilejów przysługujących nomenklaturze partyjnej. Najgorsze, co ich spotkało, to wykluczenie z partii komunistycznej. Co ciekawe, o ile Mołotowowi, Kaganowiczowi i Szepiłowowi w końcu pozwolono wrócić na partyjne łono, o tyle Malenkowowi – pomimo jego licznych próśb – odmówiono tej „łaski". Dlaczego tak się stało? Odpowiedź na to pytanie schowana jest gdzieś głęboko w archiwach KGB i FSB.

W ostatnich latach życia Gieorgij Malenkow prawdopodobnie uświadomił sobie ogrom popełnionych przez siebie zbrodni. W obawie o swą duszę zwrócił się do wiary prawosławnej. Stało się tak pod wpływem jego córki, która wydała prawie wszystkie swe oszczędności na budowę dwóch cerkwi na wsi. Publikacje cerkiewne wydane pod koniec życia Malenkowa (zmarł w 1988 r. w wieku 86 lat) podawały, że w swoich ostatnich latach pełnił on funkcję lektora (najniższy stopień duchowieństwa prawosławnego) oraz śpiewał w chórze cerkiewnym.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9c1b920042

Ukraiński żołnierz na linii frontu w obwodzie zaporoskim, marzec 2022 r.

FOT. CAROL GUZY/ZUMA PRESS/FORUM

– Rosjanie tak bardzo deprecjonowali zagrożenie ze strony ukraińskich służb specjalnych, że „opuścili gardę" i nie dbali zbytnio o utrzymanie tajemnicy – mówi historyk

Wywiad / Z dr. Markiem Kozublem, historykiem, autorem książki „Kijów-Czernihów-Sumy 2022: Klęska rosyjskiego Blitzkriegu"

rozmawia Piotr Włoczyk

Największy błąd Putina

PIOTR WŁOCZYK: Kijów to „druga Jerozolima"?

DR MAREK KOZUBEL: Ówczesny minister obrony Ukrainy, Ołeksij Reznikow, podkreślał w ten sposób, jak ważny – również dla Rosjan – jest pod względem religijnym Kijów. Uważają oni przecież, że właśnie w Kijowie narodziło się państwo rosyjskie; Włodzimierz Wielki ochrzcił tam Ruś. Ławra Peczerska, która – nawiasem mówiąc – niedawno została zaatakowana przez Rosjan, to właściwie odpowiednik naszej Jasnej Góry.

Te słowa świadczyły o wielkiej naiwności ministra Reznikowa. To mogła być próba zaklinania rzeczywistości, udawania, że wszystko będzie dobrze. Zresztą jego słowa zostały na Ukrainie bardzo źle przyjęte.

Jak to możliwe, że minister obrony Ukrainy, widząc to, co się dzieje wokół jego państwa, wypowiedział takie słowa tuż przed inwazją?

To była odpowiedź na pytanie Tarasa Czmuta, prezesa fundacji Come Back Alive, weterana piechoty morskiej. W miarę zbliżania się do Godziny „W" środowiska weteranów uważały, że wojny nie da się uniknąć. Ci ludzie nie rozumieli, dlaczego władze cywilne zachowują się tak ospale. Na tym odcinku państwo ukraińskie zawaliło przygotowania. A potem ukraińscy wojskowi musieli nadrabiać te wszystkie niedociągnięcia, które były winą polityków.

Czytając rozdział pańskiej książki o ostatnich dniach przed inwazją, można się zastanawiać, czy ktokolwiek na szczytach ukraińskich władz rozumiał, że Rosja naprawdę zamierza przeprowadzić pełnoskalowe uderzenie na Ukrainę.

Jedynie Ołeksij Daniłow, szef Rady Bezpieczeństwa Narodowego i Obrony Ukrainy, brał na poważnie scenariusz rosyjskiego ataku. Jednak ciężko było mu się przebić ze swoją opinią w najbliższym otoczeniu Zełenskiego.

Ukraińskie dowództwo wojskowe rozumiało zagrożenie, ale problemem było uzależnienie od decyzji władz cywilnych. Przede wszystkim chodzi o stan wojenny. Bez ogłoszenia stanu wojennego wojskowi nie mogli minować mostów, przeprowadzać mobilizacji, zyskiwać priorytetu na kolei czy choćby zapewniać dla armii większych ilości paliwa.

Stan wojenny wprowadzono dopiero pierwszego dnia wojny.

Była to ewidentnie spóźniona decyzja.

Ale władze cywilne w naturalny sposób bały się o gospodarkę – stan wojenny to sygnał, że robienie biznesu za chwilę będzie albo bardzo utrudnione, albo wręcz niemożliwe.

Chodziło o jeszcze jedną rzecz. Zełenski bał się, że stan wojenny zostanie przedstawiony przez Rosję jako agresywny krok, zwiastujący inwazję na Donbas. Inna rzecz, że w otoczeniu Zełenskiego nie brakowało osób o sympatiach jawnie prorosyjskich i probiałoruskich. Takim człowiekiem był choćby Rusłan Demczenko, odpowiadający za nadzór nad... służbami specjalnymi. Zresztą również ówczesny szef Biura Prezydenta, Andrij Jermak, niespecjalnie ukrywał, że zależy mu na „uregulowaniu" relacji z Rosją nawet kosztem interesów Ukrainy.

eprasa.pl 9c1b920042

Sam Zełenski wielokrotnie sygnalizował przed 2022 r., że dla pokoju z Rosją jest gotów na bardzo daleko idące ustępstwa.

Simon Shuster napisał „Showmana", ciekawą książkę o Zełenskim. Świetnie pokazuje w niej, jak wiele Zełenski był gotów dać Rosji, byleby tylko zakończyć wojnę. Mówimy oczywiście o czasach przed 24 lutego 2022 r. Wielu Ukraińców do dziś pamięta, jak Zełenski mówił, że wystarczy spojrzeć w oczy Putinowi… Zełenski był wtedy niesamowicie naiwny. Owszem, Donald Trump również często pokazuje, jak bardzo naiwnie postrzega Putina, ale…

… łatwiej to zrozumieć w przypadku polityka, który rządzi ze stolicy oddalonej od Moskwy o 8 tys. km, niż w przypadku prezydenta Ukrainy.

Dokładnie. To nie Stany Zjednoczone prowadziły z Rosją już od ośmiu lat wojnę obronną. Zełenski niecały miesiąc przed inwazją wygłosił krótką przemowę. Twierdził w niej, że nie ma się co przejmować wojną – nie dojdzie do niej i w maju Ukraińcy będą się zajadać szaszłykami, a nie myśleć o odpieraniu inwazji. Ta przemowa została zapamiętana przez Ukraińców, którzy później sarkastycznie określali ją jako „majowe szaszłyki". Pamiętamy przecież, co się działo w maju 2022 r. na froncie. Mariupol dogorywał i zamiast szaszłyków płonęły ciała żołnierzy…

Niemal nikt nie wierzył, że Ukraina postawi skuteczny opór. Symboliczna może tu być ostatnia rozmowa, którą przed pełnoskalową inwazją przeprowadził z Amerykanami Dmytro Kułeba, szef MSZ Ukrainy.

Jak sam wspominał, Amerykanie rozmawiali z nim jak z chorym na nowotwór w ostatnim stadium. Jego rozmówcy nie wierzyli, że Ukraina się obroni, bo nie rozumieli, jak naprawdę wyglądały ukraińskie społeczeństwo i państwo. Amerykanie patrzą na geopolitykę w bardzo uproszczony sposób. W tym obrazie Rosja, mimo wszystkich swoich problemów, wyglądała na mocarstwo, które siłą rzeczy musiało zgnieść małą Ukrainę. Amerykanie na przełomie lat 2021 i 2022 liczyli „fasolę".

Patrząc na suche liczby, wychodziło im na to, że Ukraińcy nie mają szans?

Na tym właśnie polega liczenie „fasoli": patrzymy, ile kto ma czołgów czy samolotów, i na tej podstawie oceniamy szanse obu stron. Oni naprawdę nie wierzyli w to, że naród ukraiński jest w pełni dojrzały. Uważali Ukraińców nie za podmiot, lecz przedmiot polityki światowej, który jest w rosyjskiej strefie wpływów. W Waszyngtonie nie brakowało głosów, że ludność Ukrainy w większości poprze rosyjską inwazję.

RYS. MARZENA WŁOCZYK

To dlaczego w takim razie przekazywali Ukraińcom Javeliny?

Amerykanie robili to bez większego przekonania. Przed pełnoskalową inwazją wspierali Ukrainę, by pokazać, że cokolwiek robią w tej sprawie. Waszyngton stosunkowo późno zdał sobie sprawę, że Ukraina to część większej układanki i jeżeli ta agresja zakończyłaby się w sukcesem, to Rosja starałaby się wymusić ustępstwa na NATO. Co zresztą już sygnalizowała pod koniec 2021 r., wystosowując ultimatum wobec Zachodu.

Inna sprawa, że na Zachodzie naprawdę uważano wtedy rosyjską armię za duże zagrożenie, właściwie równorzędne z europejskim NATO. Dziś wiemy, że w rzeczywistości rosyjskie wojsko było niewłaściwie oceniane, właśnie na bazie liczenia „fasoli". Przed inwazją w „dobrym tonie" było mówienie, że Ukraina nie ma szans i w ciągu kilku dni będzie po wszystkim.

MAREK KOZUBEL
„KIJÓW-CZERNICHÓW-SUMY 2022. KLĘSKA ROSYJSKIEGO BLITZKRIEGU"
PRZEŚWITY

Doskonale pamiętamy ciszę ze strony Berlina w pierwszych dniach po 24 lutego. I jak polski premier pojechał do Niemiec, by „potrząsnąć" tamtejszymi politykami.

Niemieckie władze oczekiwały na to, co wydawało im się nieuniknione – upadek Kijowa. I dlatego nie chciały się jednoznacznie angażować. Zresztą władze w Berlinie miały za złe ówczesnemu ambasadorowi Ukrainy w Niemczech, że chodził po mediach niemieckich i wytykał im bierność.

Ale nawet w Polsce większość ekspertów uważała, że Rosja zgniecie Ukrainę. Jeśli dobrze pamiętam, to tuż przed inwazją tylko gen. Waldemar Skrzypczak mówił, że Ukraina ma szansę się obronić.

Swoją drogą, wiem z bardzo dobrego źródła, jak na groźbę inwazji na Ukrainę zareagował Jarosław Kaczyński. Ówczesna opozycja zarzucała mu tuż potem, że rząd PiS bardziej planował Ukrainę rozebrać, niż jej pomóc. Kaczyński rozumiał jednak, z czym wiązałoby się zwycięstwo Rosji, więc postanowił jednoznacznie stanąć po stronie napadniętego sąsiada, udzielając mu znacznego wsparcia wojskowego. Mój rozmówca podkreślał, że Kaczyński wprost powiedział ludziom ze swojego najbliższego otoczenia, iż gotów jest poświęcić kilka procent popularności wśród elektoratu, żeby realizować polski interes narodowy. Trzeba przyznać,

eprasa.pl 9c1b920042

że takie postawy rzadko się widzi w polityce.

Atak z Krymu okazał się w 2022 r. w wykonaniu Rosjan najbardziej skuteczny. Dlaczego?

Sprzyjał im otwarty stepowy teren, gdzie na dodatek przed inwazją aktywnie rozwijano projekt infrastrukturalny „Wielkie Budownictwo". Poza tym agresorzy skoncentrowali na Krymie duże i dobrze wyszkolone siły, podczas gdy dowództwo ukraińskie nie mogło przed 24 lutego zebrać tam wystarczająco dużo wojsk – te wchodziły do walki z marszu i stopniowo. Rosjanom udało się wtedy zagarnąć „korytarz lądowy" na Krym, wraz z dużym miastem – Mariupolem. Inna sprawa, że walki w tym mieście ostatecznie wyszły Rosjanom „bokiem".

Dlaczego? Przecież w końcu zajęli to miasto.

Tak, ale zawzięta obrona Mariupola dała Ukraińcom czas na sformowanie obrony tzw. południowej flanki na Donbasie.

Wygląda na to, że władze w Kijowie kompletnie nie brały pod uwagę ataku z Białorusi. Z czego wynikało przeświadczenie, że Alaksandr Łukaszenka nie pomoże Putinowi?

Powiedziałbym inaczej: władze w Kijowie nie chciały się spodziewać ataku z północy, bo uważały, że zbyt dużo zainwestowały w relacje z Łukaszenką.

Czyli ekipa Zełenskiego uważała po 24 lutego, że Łukaszenka... zdradził?

Myślę, że tak. Choć z drugiej strony, wojsko ukraińskie nie było zbyt zaskoczone faktem, że Łukaszenka przepuścił rosyjskie kolumny i generalnie pozwolił wykorzystać Putinowi swój kraj jako bazę wypadową do tej wojny. Ale jak już wspomniałem, w lutym 2022 r. armia ukraińska lepiej rozumiała sytuację niż politycy w Kijowie.

To ciekawy rozdział tej historii, bo w Polsce zwykło się przedstawiać Zełenskiego jako realistę. A wychodziłoby na to, że ukraiński prezydent uważał wtedy Łukaszenkę za człowieka... godnego zaufania.

Powiem więcej: w okolicach 2020 r. Zełenski sam starał się odgrywać rolę quasi-Łukaszenki. Przez pierwsze pół roku swojej prezydentury – Zełenski objął władzę w maju 2019 r. – próbował

Ołeksij Daniłow, w 2022 r. sekretarz Rady Bezpieczeństwa i Obrony

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, AMBASADA USA W KIJOWIE

odgrywać rolę fajnego, nowoczesnego chłopaka, który zmieni cały system polityczny na Ukrainie. Ale po tym początkowym okresie przymiarek, gdy doszło do przeformatowania obozu władzy, Zełenski zaczął prowadzić politykę w stylu Łukaszenki. Pomagało mu to, że był pierwszym politykiem w historii niepodległej Ukrainy, który miał w parlamencie samodzielną większość. Doszło wtedy do stworzenia tzw. monowładzy.

Elity władzy skupione wokół Zełenskiego naiwnie myślały, że uda im się „odwrócić" Łukaszenkę. Zawód był ogromny.

Największym błędem Rosji w lutym 2022 r. było...

... oparcie swoich planów na nieprawdziwym obrazie rzeczywistości. Rosjanie nie chcieli uwierzyć, że Ukraina jest inna, niż im się wydawało. Kreml był pewien, że zdecydowana większość armii ukraińskiej nie stawi oporu. A stało się dokładnie odwrotnie. Nie było witania rosyjskich czołgów kwiatami i nie doszło też do ucieczki władz, co było dla Rosjan oczywistością. Putin uważał, że jego wojska będą zajmowały bezwładny kraj. Od 2014 do 2022 r. Rosjanie przedstawiali Ukrainę jako „błąd 404". Chyba każdy kojarzy ten komunikat wyświetlany przez przeglądarki internetowe, któremu towarzyszy zdanie: „Ta strona nie istnieje". I taka miała być Ukraina – państwo, które tak naprawdę nie istnieje.

Jeżeli chodzi o sprzęt wojskowy, czyli „fasolę" skierowaną na Ukrainę, to siły rosyjskie były faktycznie większe niż ukraińskie. Jednak pod względem liczby żołnierzy było to już mniej więcej 1:1. Rosjanie zupełnie nie docenili przeciwnika, skoro doskonale sprawdzona na polu walki teoria wojskowa mówi, że atakujący musi mieć co najmniej trzykrotną przewagę nad broniącym się.

Generał Wałerij Załużny, ówczesny głównodowodzący ukraińskich wojsk, zajrzał do głowy swojego przeciwnika?

Załużny mógł się spodziewać, jak Rosjanie będą działać, bo dobrze ich znał. Ciekawostka: ten najważniejszy wówczas ukraiński oficer był kiedyś uczniem gen. Walerija Gierasimowa, szefa Sztabu Generalnego Sił Zbrojnych Federacji Rosyjskiej.

Rosjanie długo się koncentrowali wzdłuż granic Ukrainy. W oparciu o ich pozycje można było się domyślić, jak zostaną wyprowadzone uderzenia. Co istotne, Rosjanie tak bardzo deprecjonowali zagrożenie ze strony ukraińskich służb specjalnych, że „opuścili gardę" i nie dbali za bardzo o utrzymanie tajemnicy – Ukraińcy dobrze zinfiltrowali ich szeregi.

Załużny powiedział na spotkaniu ze środowiskami wolontariackimi, do którego doszło jeszcze przed pełnoskalową inwazją, że Ukraina obroni się tylko wtedy, gdy cały naród włączy się do walki z okupantami. Niedługo okazało się, że to,

Rozmowy rosyjsko-ukraińskie w Stambule, marzec 2022 r.

FOT. TURKISH PRESIDENTIAL PRESS SERVICEES

eprasa.pl 9c1b920042

na co tak bardzo liczył Załużny, się materializuje. Bez zaangażowania społeczeństwa nie udałoby się odeprzeć Rosjan.

24 lutego 2022 r. Putin wysłał na Ukrainę ok. 200 tys. żołnierzy. Ilu powinien wystawić ludzi, żeby ta inwazja miała realne szanse na powodzenie? Pół miliona?

Grubo ponad pół miliona.

Czy Rosjanie byli w stanie zgromadzić wtedy tak ogromną armię?

Nie, to raczej nie było możliwe. Rosjanie potrzebowali sporo czasu, by przygotować się do inwazji 24 lutego. Kiedyś podczas debaty z dr. Szymonem Kardasiem analizowaliśmy przyczyny, dla których Rosjanie nie poszli dalej w roku 2014. Dlaczego nie wyszli poza Krym i Donbas? Doktor Kardaś wskazywał, że Rosjanie ponieśli wtedy dość duże straty i musieli to jakoś „przetrawić". Tak właśnie było. Dodatkowo Rosjanie nie mieli wystarczająco dobrze przygotowanej infrastruktury i logistyki, by pójść w 2014 r. na „całość". Gdyby w 2022 r. Rosjanie mieli wystawić trzy razy większą armię, co samo w sobie było praktycznie nierealne, to wymagałoby to jeszcze większych przygotować infrastrukturalno-logistycznych. Myślę, że było to poza ich zasięgiem.

Czyli Rosjanie rzucili w 2022 r. na Ukrainę właściwie wszystko, co mogli?

W zasadzie tak. Na papierze armia rosyjska była ogromna, ale przecież w każdej armii pełno jest etatów, których nie da się wykorzystać typowo na froncie. Putin skoncentrował wtedy przy granicach Ukrainy praktycznie wszystkie siły, które realnie miał do dyspozycji. Powtarzam: realnie, a nie na papierze.

Wygląda na to, że początkowe rosyjskie ataki powietrzne na Ukrainę oszczędzały kluczową infrastrukturę. Rosjanie chcieli ją zachować, by ich nowi namiestnicy w Kijowie nie mieli problemu z zaspokojeniem podstawowych potrzeb ludności?

Tak, te początkowe fale ataków oszczędzały infrastrukturę właśnie z tego powodu. Gdyby Putin wiedział, jak się potoczy sytuacja, pewnie od razu próbowałby „znokautować" Ukrainę z powietrza. Pytanie jednak, czy potężniejszy ostrzał przyniósłby pożądany rezultat. Myślę, że nie. Wśród Brytyjczyków w trakcie drugiej wojny światowej, gdy Niemcy przeprowadzali masowe bombardowania ich miast, obudził się tzw. duch Blitzu. Podobną reakcję widać było wśród Ukraińców. To bardzo twardy naród.

Ukraińcy specjalnie pozwolili Rosjanom dojść na przedmieścia Kijowa?

Stolica Ukrainy położona jest fatalnie – bardzo blisko granicy białoruskiej, a także rosyjskiej. Ukraińskie dowództwo doskonale wiedziało, ile utwardzonych dróg prowadzi z północy pod Kijów. Bardzo niewiele. To samo z mostami. Takie warunki stwarzały dla Ukraińców sporą szansę – Rosjanie siłą rzeczy musieli napotkać problemy z zaopatrywaniem i rotacją swoich oddziałów oraz z ewakuacją rannych. I właśnie dlatego Rosjanie chcieli zająć lotnisko w podkijowskim Hostomelu. Ponieśli tam jednak klęskę – Ukraińcy podprowadzili artylerię pod lotnisko i nie pozwolili, by wylądował tam choćby jeden rosyjski samolot transportowy.

Na ile kluczowe było to, że Zełenski nie wyjechał w pierwszych dniach z Kijowa? Chyba wszyscy pamiętamy słynne nagranie z 25 lutego 2022 r., gdy Zełenski stał ze swoimi współpracownikami przed budynkiem rządowym i mówił, że wszyscy są w stolicy i będą bronili państwa.

Nie brakuje ludzi, którzy uważają, że Ukraina ocalała tylko dlatego, bo Zełenski nie uciekł. Zresztą on sam tak uważa. Ukraińskie wojska stawiały opór od samego początku. Myślę, że nie trzeba im było filmików prezydenta, by wiedziały, po co walczą. Gdyby prezydent opuścił stolicę i wyjechał np. do Lwowa, obrona i tak by się toczyła, choć trzeba też przyznać, że na pewno jego manifestacyjna obecność w stolicy pomogła w ugruntowaniu oporu.

Miesiąc po rozpoczęciu pełnoskalowej inwazji Ukraińcy rozmawiali z Rosjanami w Stambule. W dyskusjach na temat tej niekończącej się wojny często można usłyszeć argument, że to właśnie wtedy można było uniknąć dalszego rozlewu krwi: Rosjanie i Ukraińcy byli już właściwie dogadani, by kończyć wojnę, ale do Zełenskiego zadzwonił premier Wielkiej Brytanii i namówił go na kontynuowanie walki. W tej narracji Zachód okazuje się „parszywieńki" i w cyniczny sposób walczy z Rosją „do ostatniego Ukraińca".

Oferta przedstawiona w Stambule przez Rosjan była dla Ukrainy wręcz koszmarna. Moskwa żądała m.in. uznania Donbasu i Krymu za tereny rosyjskie, zredukowania armii ukraińskiej do rozmiarów kadłubowych, a także zerwania wszelkich kontaktów wojskowych z Zachodem. Poza tym Rosjanie domagali się wielu innych koncesji politycznych, które w zasadzie podporządkowywałyby im Kijów. Nikt na Ukrainie nie był się w stanie na to zgodzić.

Zaporowa oferta Rosjan i świadomość zbrodni na cywilach, które właśnie wtedy odkryto pod Kijowem, odegrały kluczową rolę w usztywnieniu stanowiska Ukrainy, a nie telefon Borisa Johnsona. Premier Wielkiej Brytanii zadzwonił z wyrazami poparcia w momencie, gdy Rosjanie wycofywali się już spod Kijowa i widać było, że da się im skutecznie stawić opór. To był ważny gest, ale nie przeceniałbym roli tego telefonu. Poza tym Ukraińcy sami chcieli się bronić przed Rosją i wciąż chcą to robić. Nikt ich do tego nie zmusza.

Ale przecież – co podkreślają Rosjanie – Ukraińcy podpisali w Stambule dokument z wyszczególnionymi warunkami zakończenia wojny.

Parafkę pod nim złożył Dawid Arachamija, szef frakcji parlamentarnej Sługa Narodu, który jednak nie miał pełnomocnictw, by podpisywać dokument kończący wojnę. On sam przyznał, że był to błąd, ale podkreślał, że jego parafka oznaczała tylko, że zapoznał się z rosyjskimi warunkami. A te były absolutnie nie do zaakceptowania dla drugiej strony. Szczególnie że te rozmowy zbiegły się z odwrotem Rosjan spod Kijowa, co pokazywało całemu światu, że rosyjska armia wcale nie jest niepokonana.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Doktor Marek Kozubel
jest historykiem, znawcą najnowszych dziejów Ukrainy, szczególnie wojny rosyjsko-ukraińskiej, autorem książki „Kijów-Czernihów-Sumy 2022: Klęska rosyjskiego Blitzkriegu" (wyd. Prześwity).

eprasa.pl 9c1b920042

„Sztuka wojny", wydanie z XVII w.

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, BIBLIOTEKA UNIWERSYTETU KALIFORNIJSKIEGO W RIVERSIDE

Starożytność / Chińska recepta na zwycięstwo

Tajemnica Mistrza Suna

Łukasz Czarnecki

„Sztuka wojny" Sun Zi jest pierwszym i równocześnie najbardziej wpływowym traktatem z dziedziny teorii wojskowości. Stanowi podstawową lekturę studentów szkół oficerskich, i to nie tylko w ojczyźnie autora. Czy możliwe jest jednak, że Sun Zi nigdy nie... istniał?

Według tradycji w roku 513 p.n.e. panującego w państwie Wu króla Helu poinformowano, że w księstwie Qi (dzisiejszy Szantung) mieszka pewien szlachcic cieszący się opinią militarnego geniusza. Zaintrygowany władca zaprosił obcokrajowca na swój dwór. Gdy ten stanął przed obliczem monarchy, Helu postanowił sprawdzić, czy aby renoma gościa nie jest przesadzona, i nakazał mu dowieść jej w trakcie manewrów. W zadaniu tkwił jednak pewien haczyk. Pod komendę rzekomego mistrza sztuki wojennej oddano bowiem nie żołnierzy z królewskiej gwardii czy stołecznego garnizonu, lecz... 180 konkubin z monarszego haremu.

Kobiety podzielono na dwa oddziały. Na ich czele postawiono ulubione nałożnice Helu, ewidentnie nietraktującego sytuacji poważnie i pragnącego zapewnić sobie rozrywkę kosztem szlachcica z Qi. Nikt by się nie zdziwił, gdyby potraktowany w ten sposób przybysz poczuł się śmiertelnie obrażony. Ten jednak pozostał niewzruszony i zebrawszy „wojsko" na dziedzińcu, nakazał wydać mu broń z pałacowej zbrojowni, a następnie przystąpił do musztry. Rzecz jasna, wszystko zmierzało w kierunku totalnej kompromitacji, bo damy z haremu zamiast wykonywać rozkazy, biegały po całym dziedzińcu niczym stado perliczek, chichocząc i strasząc się wzajemnie mieczami i włóczniami.

Król Helu obserwujący wydarzenia z balkonu zapewne miał z tego wszystkiego świetną zabawę, ale dobry humor szybko ustąpił miejsca przerażeniu, gdy na jego oczach szlachcic z Qi przystąpił do zaprowadzania dyscypliny w powierzonych mu oddziałach. Jego metodą było... ścięcie obydwu ulubionych faworyt władcy! Monarcha ogarnięty furią wypadł z balkonu i popędził na dziedziniec. Gdy wbiegł na placyk, zastał tam szlachcica z Qi jak gdyby nigdy nic wydającego kolejne komendy oraz śmiertelnie przerażone pozostałe konkubiny, wykonujące rozkazy mężczyzny z precyzją, która zawstydziłaby zawodowych wojskowych! Skołowany monarcha zaczął miotać gromy na gościa i grozić mu straszną śmiercią, na co otrzymał stoicką odpowiedź: „Wasza wysokość, wojna to nie zabawa. Nie ma sensu interesować się teorią, jeśli nie zamierza się wykorzystać jej w praktyce".

To było jak kubeł zimnej wody. Helu ochłonął i zamiast oddać zabójcę ulubionych nałożnic w ręce specjalistów od tortur, mianował go generałem. Ten zaś szybko pokazał swe umiejętności w dowodzeniu prawdziwymi żołnierzami, odnosząc dla królestwa Wu wielkie zwycięstwo w bitwie pod Boju w roku 506 p.n.e. Rozgromił w niej wojska o wiele silniejszego państwa Chu, dzięki czemu jego przybrana ojczyzna wyrosła wkrótce (co prawda, na niezbyt długo) na największą potęgę w podzielonych politycznie Chinach. Emigrant z Qi nazy-

eprasa.pl 9c1b920042

Sun Zi

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, KOLEKCJA PAŁACU QING

wał się Sun Wu, lecz przyszłe pokolenia miały go znać jako Mistrza Suna, czyli po chińsku – Sun Zi.

Człowiek czy legenda?

Tak wygląda tradycyjny przekaz na temat autora „Sztuki wojny". Problem polega na tym, że jest on późniejszy od opisywanych wydarzeń o co najmniej cztery wieki. Pierwsze informacje na temat Sun Zi pojawiają się dopiero w napisanych w I w. p.n.e. za rządów cesarza Wudi „Zapiskach historyka" pióra (a raczej pędzelka) Sima Qiana. Wszystkie wcześniejsze źródła tajemniczo milczą na temat człowieka, którego przeznaczeniem było zrewolucjonizowanie sztuki wojennej.

Już w XII w. uczeni chińscy zaczęli powątpiewać w realność postaci Sun Zi. Przedstawiciel szkoły neokonfucjańskiej Ye Shi z wielkim sceptycyzmem odnosił się do historyczności przekazów na temat życia domniemanego autora „Sztuki wojny". Gdyby Mistrz Sun istniał naprawdę i cieszył w swoich czasach sławą tak wielką, jak opisywano to w tekstach z Okresu Wiosen i Jesieni (722–481 r. p.n.e.), bez wątpienia znaleźć można byłoby liczne odniesienia do tak znaczącej postaci. Szczególną podejrzliwość budził fakt, że najstarsza chińska kronika narracyjna, tzw. „Komentarz pana Zuo", spisana pod koniec V w. p.n.e., czyli niewiele ponad stulecie po incydencie z konkubinami króla Wu, nie zawiera ani jednej wzmianki na temat Sun Zi.

Również u współczesnych badaczy kwestia historyczności autora „Sztuki wojennej" powoduje ból głowy. Jak wykazują analizy tekstu, znaleźć można w nim sporo anachronizmów – zarówno językowych, jak i w kwestii opisywanych realiów. Wyglądałoby więc na to, że księga powstała raczej w Okresie Walczących Królestw (481–221 r. p.n.e.) niż Wiosen i Jesieni. Krytycy wskazują tu na ciekawy szczegół – przekaz, jakoby Helu zatrudnił Sun Wu w charakterze generała, jest niespójny z danymi, wedle których stanowiska zawodowych dowódców zostały wprowadzone dopiero w późniejszej epoce. Sprawę jeszcze bardziej komplikuje fakt, że tradycja chińska znała aż dwóch Mistrzów Sun, bo tym samym przydomkiem określano również Sun Bina żyjącego w IV w. p.n.e., czyli dowódcę w służbie państwa Qi, będącego rzekomo bezpośrednim potomkiem Sun Zi. Wedle tradycji generała tego określić można mianem wodza, który się bełtom z kuszy nie kłaniał, o czym świadczyły długa historii służby wypisana na jego twarzy w postaci szpecącej ją sieci blizn oraz brak stóp (być może straconych w jakiejś potyczce). Kalectwo bynajmniej nie posłało drugiego Suna na emeryturę – był tak uparty, że pozostawał aktywny, przemieszczając się w lektyce, a swe doświadczenia wojenne koniec końców spisał w księdze zatytułowanej… „Sztuka wojny".

Najwięcej danych o domniemanym wnuku Sun Wu znów znajdujemy w „Zapiskach historyka", istnieje też o nim kilka rozproszonych wzmianek w innych źródłach, lecz wiemy o nim niewiele więcej niż na temat Suna z dworu króla Helu. Co gorsza, ta druga „Sztuka wojny" przepadła gdzieś w chaosie panującym w Chinach w VI w. naszej ery i przez prawie półtora millennium nie dało się powiedzieć o niej nic pewnego. Tym większy wstrząs dla świata nauki stanowiło przypadkowe odkrycie w roku 1972 przez robotników pracujących nieopodal miasta Linyi w Szantungu dwóch grobowców z czasów dynastii Han (druga połowa II w. p.n.e.). To, co znaleziono wewnątrz, przyniosło sinologiczny przełom, w ręce archeologów trafiło bowiem prawie 5 tys. bambusowych deseczek, używanych w starożytności jako materiał pisarski, na których zapisano teksty mające towarzyszyć zmarłym na tamtym świecie. W przeciwieństwie do piśmiennictwa znajdowanego przy egipskich mumiach nie była to literatura religijna. Szczególnym miłośnikiem literatury musiał być nieboszczyk spoczywający w grobie oznaczonym numerem pierwszym, bo znaleziono tam całą bibliotekę (drugiemu zmarłemu towarzyszyły tylko 32 deseczki), a w niej m.in. „Sztukę wojny" Sun Zi i… zaginiony od 1400 lat traktat Sun Bina!

Miecze z grobowca króla Helu

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Obecnie księga drugiego z Sunów jest powszechnie dostępna; została przełożona na wiele języków europejskich, w tym polski. Jednak by odróżnić ją od słynniejszego studium strategii rzekomego dziadka autora, określa się ją tytułem „Metody wojskowe". W Polsce doczekaliśmy się nawet wydania zbiorczego obu dysertacji (trafiło ono do księgarń pod wspólnym tytułem „Sztuki wojny").

Abstrahując od przywrócenia światu traktatu Sun Bina, odkrycie z Szantungu przyniosło przełom w badaniach nad historycznością Sun Zi. Obecność w pierwszym grobowcu przypisywanego mu podręcznika wojskowości dowodzi, że w czasach lokatora krypty, a więc dobre stulecie przed powstaniem „Zapisków historyka", militarny geniusz z Qi był postacią dobrze znaną, a jego dzieło należało do lubianych lektur elity cesarstwa Hanów. Trapiącą kwestią wciąż jednak pozostaje brak wzmianek na jego temat w źródłach bliższych epoce, której tradycja przypisuje jego lata życia. Kwestia

eprasa.pl 9c1b920042

tego, czy Sun Zi był postacią historyczną, pozostaje więc otwarta, a odnalezienie „Metod wojskowych" paradoksalnie tylko dolewa oliwy do ognia. Bo co, jeśli druga z ksiąg cieszyła się w starożytności tak wielką popularnością, że wcześniejszej od niej i hipotetycznie anonimowej „Sztuce wojny" przypisano jako autora fikcyjnego przodka otoczonego szacunkiem teoretyka wojskowości Sun Bina, wychodząc z założenia, że „jaki wnuk, taki dziadek"? Pozostaje tylko mieć nadzieję, że kolejne odkrycia archeologiczne w Państwie Środka dostarczą nam jeszcze starszych rękopisów „Sztuki wojny", ewentualnie tekstów z Okresu Wiosen i Jesieni, zawierających wzmianki na temat Sun Zi, rozwiewając aurę tajemnicy otaczającą słynnego wodza armii króla Helu.

Świat Mistrza Suna

Zakładając, że Sun Wu naprawdę żył, warto pochylić się nad tym, jak wyglądały realia, w których przyszło mu działać. Rzeczywistość na ziemiach rozciągających się między Rzeką Żółtą a Jangcy znacząco różniła się od stereotypowego obrazu Chin, który większość osób nieznających historii Państwa Środka ma wkodowany w umysłach.

Przede wszystkim w Okresie Wiosen i Jesieni nie istniał organizm taki jak znane z późniejszych wieków Cesarstwo Chińskie. Ba, nie było nawet jednego wspólnego państwa jednoczącego wszystkich Chińczyków, zamieszkujących wówczas obszar będący zaledwie ułamkiem terenów, którymi współcześnie włada Pekin. Ziemie te stanowiły konstelacje organizmów państwowych różnej wielkości. Niektóre były duże i silne, inne z kolei składały się zaledwie z jednego miasta z przyległościami. Współcześni badacze mogą tylko domniemywać, ile tak właściwie istniało tych państewek, a podawane przez nich szacunkowe liczby wahają się od 140 do ponad 200. Nie znamy nawet nazw przeważającej większości owego politycznego planktonu, czasami pojedyncze znalezisko archeologiczne ujawnia światu księstwo, o którym przez millennia zaginęła wszelka pamięć. Oprócz tej drobnicy na ówczesnej mapie znajdowali

Pierwsza strona zapisków historyka Sim Qian

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

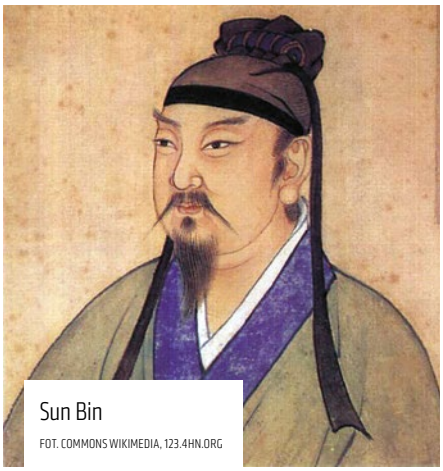

Sun Bin

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, 123.4HN.ORG

się też potężni gracze. Początkowo było ich 12, ale z biegiem czasu zostało ich siedmiu.

Choć brakowało wspólnego rządu, to ówczesnych Chińczyków łączyły kultura oraz symboliczna zwierzchność królów z dynastii Zhou rezydujących w Luoyangu. W rzeczywistości monarchowie ci, dawniej rzeczywiście panowie na swych włościach, od połowy VIII w. p.n.e. błyskawicznie tracili na znaczeniu, kończąc w Okresie Wiosen i Jesieni jako bezsilni królowie kapłani, których jedyną rzeczywistą prerogatywą pozostał monopol na składanie ofiar Niebiosom, potężnemu bezosobowemu bóstwu stanowiącemu ówczesny centralny element wierzeń religijnych. Prawdziwi władcy Chin, dawni wasale Zhou, którzy teraz wybili się na pełną niezależność, mieli przynajmniej tyle przyzwoitości, że nie uzurpowali sobie jeszcze tytułów królewskich, określając się mianem książąt. Wyjątek stanowiły trzy południowe państwa: Chu, Wu i Yue, którymi bezwstydnie władali samozwańczy królowie. Królestwa te jednak miały swoją specyfikę, bo zostały stworzone przez ludność niechińską, która wskutek wpływów kulturowych z północy uległa sinizacji i z czasem stała się pod względem kulturowym nieodróżnialna od etnicznych Chińczyków.

Armie Wiosen i Jesieni

Jako że obszar zainteresowań Sun Zi stanowiły zagadnienia militarne, przyjrzyjmy się teraz rodzajom jednostek wojskowych biorących udział w zmaganiach między władcami podzielonych Chin.

W czasach, w których tradycja umieszcza działalność Mistrza Suna, najważniejszy element każdej armii stanowiły dowodzone przez arystokratów rydwany. Dwukołowe wozy bojowe gnały przez pole bitwy ciągnięte przez dwa lub cztery konie, mając na pokładzie trzyosobowe załogi. Obsada obejmowała woźnicę kierującego pojazdem i dwóch wojowników, jednego uzbrojonego w łuk i rażącego wrogów wystrzeliwanymi w pędzie strzałami oraz drugiego dzierżącego długą halabardę o ostrzu w kształcie sztyletu, służącą do zadawania ciosów załogantom wrogich rydwanów lub piechocie. Paradoksalnie państwo Wu, któremu miał służyć Sun Wu, nie posiadało w swych szeregach zbyt wielu pojazdów bojowych, podobnie zresztą jak rozgromione przez nie z pomocą autora „Sztuki wojny" w bitwie pod Boju królestwo Chu.

Wynikało to przecież nie z ubóstwa (pamiętamy, jak wielki harem miał król Helu), lecz z warunków naturalnych. O ile na szerokich i suchych równinach północnych Chin rozpędzony rydwan był śmiercionośną siłą, o tyle w wilgotnym i nierównym terenie doliny Jangcy manewrowanie nim stawało się o wiele bardziej problematyczne. Co bynajmniej nie oznaczało, że tutejsze armie zupełnie rezygnowały z wozów bojowych.

Co ciekawe, pomysłowi inżynierowie wojskowi z Chu wpadli nawet na dość osobliwy pomysł, konstruując ruchome

eprasa.pl 9c1b920042

Figurki wojowników z Okresu Walczących Królestw FOT. COMMONS WIKIMEDIA, GARY TODD XINZHENG

centrum dowodzenia! Był to ciężki wóz z wysokim masztem zwieńczonym platformą, z której wódz miał widok na całe pole bitwy. Wedle zapisków dziwactwo owo rzeczywiście wykorzystywano do dowodzenia królewskimi armiami.

Ludzi odpowiedzialnych za rozwój technologii wojskowej w Chu generalnie cechowała inwencja granicząca momentami z szaleństwem, bo królestwo to słynęło z wykorzystywania słoni bojowych. O ile jednak w Indiach, a później na Zachodzie zwierząt tych używano jako swoistych czołgów z grzbietami obsadzonymi zbrojną załogą, o tyle południowcy znad Jangcy bardzo szybko uznali takie rozwiązanie, wymagające długotrwałego szkolenia trąbowców, za stratę czasu i pieniędzy, stwierdzając, że w zamęcie bitewnym słonie i tak wpadają w szał, biegając w tę i z powrotem, tratując zarówno żołnierzy wroga, jak i własnych. Zamiast tego armie Chu z rozmysłem doprowadzały zwierzęta do paniki i z pomocą ognia gnały je przed sobą w kierunku szeregów nieprzyjaciela. Uciekające przed płomieniami giganty wpadały w nie z impetem, siejąc spustoszenie. Jednak w przeciwieństwie do wojsk hellenistycznych królestw trąbowce nigdy nie stały się tradycyjnym elementem chińskiej wojskowości, o czym najlepiej świadczy fakt, że na kartach swej „Sztuki wojny" Sun Zi nie miał nic do powiedzenia na ich temat.

Równocześnie w toku niekończących się walk Okresu Wojen i Jesieni stopniowo wzrastało znaczenie piechoty. W jej skład wchodzili ludzie z gminu dowodzeni przez szlachtę, choć w pewnym momencie w szeregach korpusu oficerskiego zaczęli się pojawiać również przedstawiciele mieszczaństwa, a nawet wyjątkowo zasłużeni chłopi. Na uzbrojenie piechurów składały się krótkie miecze, tarcze, halabardy o szerokich ostrzach, długie włócznie i łuki, którym z czasem zaczęła wyrastać konkurencja w postaci kusz. Oddziały piesze ustawiano do boju w centralnej części szyku armii w formacjach liczących pięć szeregów. Pierwszy dzierżył broń krótką, dwa następne kolejno halabardy i włócznie, a na tyłach stali strzelcy. Pochodzący z prostego ludu żołnierze nie mieli żadnego opancerzenia, zresztą zbroje łuskowe (nie był to tani sprzęt) zaczęły wchodzić do użytku dopiero pod koniec epoki.

Mimo wielkiego poważania, jakim z racji błękitnej krwi cieszyły się załogi rydwanów, wozy bojowe bynajmniej nie były niezwyciężone. Odpowiednio zdyscyplinowana i zmotywowana piechota potrafiła nie tylko przetrzymać ich atak, lecz także zadać dotkliwą klęskę, zwłaszcza jeśli sprzyjało jej ukształtowanie terenu. Dowiodły tego wydarzenia w niezbyt znaczącym księstwie Xu, do których doszło tam w roku 613 p.n.e. W kraju wybuchło powstanie ludowe tak gwałtowne, że lokalny książę musiał salwować się ucieczką za granicę. Nie mogąc przeboleć upokorzenia „z ręki chamów", wkrótce skrzyknął arystokrację zarówno z Xu, jak i sąsiednich księstw i poprowadził ją na rebeliantów, by utopić ich zryw we krwi. Armia wygnanego monarchy wyglądała imponująco, licząc sobie aż 800 rydwanów. Tym większym szokiem była totalna klęska poniesiona przez zwolenników obalonego reżimu. Wywodzący się z ludu piechurzy otoczyli wozy bojowe i wymordowali arystokratyczne załogi. Niewielu lojalistów uszło z tamtej rzezi, by móc potem o niej opowiadać.

Miecz króla Goujiana z Yue FOT. COMMONS WIKIMEDIA, WINDMEMORIES

Honorowy Song

Najważniejszą nauką, jaką czytelnik wynosi z lektury traktu Sun Zi, jest przekonanie, że w zmaganiach wojennych rozum liczy się bardziej niż czysta siła. Autor do znudzenia podkreśla wagę forteli, zwodzenia przeciwnika i wykorzystania szpiegów. Te rady mają być gwarancją sukcesu, jednak przez koleje wieki budziły one niechęć zarówno u świętoszkowatych konfucjanistów, jak i (po przetłumaczeniu w XVIII w. „Sztuki wojny" na francuski) u zachodnich moralistów twierdzących, że filozofia Mistrza Suna jest przejawem pogańskiej dwulicowości niegodnej chrześcijanina. Dziś na szczęście nikt nie zgłasza do tego kultowego dzieła podobnych zastrzeżeń, a o prawdzie zawartej w spostrzeżeniach legendarnego stratega najlepiej świadczy anegdota opisująca pewne wydarzenie z dziejów Chin, mające miejsce jeszcze przed narodzeniem Sun Zi, lecz zapewne (o ile faktycznie istniał) doskonale mu znane.

W VII w. p.n.e. książę Song, tocząc wojnę z jednym z sąsiednich władców, przestrzegał wiernie zasad honorowego postępowania. W czasie jednej z kampanii razem ze swoją armią zaskoczył wojska nieprzyjaciela przeprawiające się przez rzekę. Zamiast niezwłocznie uderzyć na wrogów i sprawić, by woda zaczerwieniła się od ich krwi, pozwolił im spokojnie przejść na swój brzeg i rozwinąć szyk bojowy. Gdy zdenerwowani oficerowie doradzali mu, by wykorzystał okazję i sięgnął po zwycięstwo, które samo wpadło mu w ręce, uniesiony honorem monarcha oświadczył: „Mędrzec nie miażdży słabych ani nie uderza, póty nieprzyjaciel się nie uszykuje!".

Niestety, oponent rycerskiego wodza nie okazał należytej wdzięczności. Bitwa, która rozegrała się chwilę później, skończyła się dla księcia Song totalną klęską.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9c1b920042

1876 r. / 150. rocznica śmierci pisarza

Harakiri Fredry

Krzysztof Masłoń

Dlaczego autor „Zemsty" po napisaniu swoich najznakomitszych dzieł zamilkł na długie lata?

Niebawem po śmierci Aleksandra Fredry, od której 15 lipca minęło równo 150 lat, Stanisław Koźmian orzekł, że zmarły we Lwowie pisarz „uratował Polskę od ogólnej melancholii". Jak się zdaje, trafił w dziesiątkę, co nie zmienia faktu, że Fredro za życia deprecjonowany bywał, i to z różnych powodów, a głównie chyba dlatego, że komediopisarstwo, którym się parał, uchodziło za twórczość – rzec by można – pośledniejszego gatunku. W efekcie autor „Zemsty" po napisaniu swoich najznakomitszych dzieł zamilkł na długie lata, a gdy w końcu, po latach, powrócił do pisania, był to wprawdzie powrót do literatury, ale już nie do teatru, z tym ostatnim rozstał się bowiem na dobre. Na szczęście teatr nie rozstał się z nim.

Cztery arcydzieła Aleksandra Fredry – „Zemsta", „Śluby panieńskie", „Pan Jowialski" i „Dożywocie" – powstały w latach 1832–1835. I właśnie w 1835 r. w krakowskim „Pamiętniku Nauk i Umiejętności" ukazała się rozprawa Seweryna Goszczyńskiego pt. „Nowa epoka poezji polskiej", uważana za główną przyczynę zamilknięcia Fredry. Bywało, że autora rozprawy wręcz nazywano literackim mordercą Fredry. Opinia ta była mocno przesadzona. Goszczyński, autor „Zamku kaniowskiego", a przede wszystkim uczestnik ataku na Belweder podczas nocy listopadowej 1830 r., nie oszczędził w końcu i Adama Mickiewicza, zarzucając mu brak ducha narodowego i czerpanie inspiracji z modnych francuskich żurnali.

A Fredro i Mickiewicz osobiście spotkali się po raz pierwszy w Paryżu w Hotelu Lambert na wielkanocnym święconym w roku 1850. Władysław Sanguszko tak je miał zapamiętać: „W osobnym gabinecie siedział Mickiewicz i smacznie zajadał szynkę i kiełbasę polską. Spostrzegam wchodzącego Aleksandra Fredrę, który mnie prosi, abym go poznał z Mickiewiczem […]. Mickiewicz na to przedstawienie nie przerwał spożywania święconego i nie znalazł gorącego słowa powitania". Tak wspomnienie Sanguszki zapisał Ludwik Dębicki. Odbyło się jednak wtedy i drugie święcone, w Klubie Polskim, a tam podobno – jak donosił w liście do Eugenii Larissówny Eustachy Januszkiewicz – „Adam był w pełnej swobodzie i głośno mówił o zaletach komedii Fredry, a to z taką prawdą i pochwałą, że poczciwy autor »Dam i huzarów« rozczulony był do głębi duszy".

Fredro w Paryżu pomieszkiwał do roku 1855 i z autorem „Pana Tadeusza" spotykał się jeszcze, i to nieraz. Na jedno z tych spotkań komediopisarz przy-

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA, TEODOR SZAJNOK

eprasa.pl 9c1b920042

prowadził córkę, by – jak wspominała – zachowała w pamięci tego, który napisał „Grażynę". Innym razem, na wieczorze u Karola Sienkiewicza, Fredro miał czytać Mickiewiczowi „ustępy z dramatu zwierzęcego". Mogła to być „Komedia zwierząt. Dramat wierszem na tle historycznym, bo z epoki Stanisława Augusta". Na pewno był też Fredro obecny 8 marca 1855 r. na pogrzebie Celiny Mickiewiczowej.

Dorota Siwicka w stosownym haśle w „Mickiewiczu. Encyklopedii" pisze: „Szkoda, że nie mamy żadnych wiadomości na temat tego, o czym podczas swych spotkań rozmawiali obaj pisarze. O »Panu Tadeuszu«? O dawnych obyczajach szlachty i uniwersalnych obyczajach zwierząt? Może, bo gdzieś tu, w kręgu bliskiej im obu sarmackiej żartobliwości, mogli się byli łatwo porozumieć. Może więc mówili nie tylko o nieszczęściach Rzeczypospolitej, ale czasem ich rozmowa przybierała ów »ton wesoły, żartobliwy, który Anglicy nazywają humour, a który był zwyczajnym tonem pogawędki szlacheckiej« – jak mówił Mickiewicz w prelekcjach paryskich przy okazji charakterystyki »Pamiętników« Paska (kurs II, wykład II). Ciekawe też, czy poeta przyznał się Fredrze, że w 1845 (11 listopada, jak podaje »Kronika«) sprzedał cztery tomy jego utworów Janowi Ledóchowskiemu za 25 franków (dla porównania: czyszczenie płaszcza, jak wynika z poprzedniego rachunku u trzymającego kredyt Mickiewiczów Januszkiewicza, kosztowało franków 6)".

Andrzej Zaorski, Józef Pieracki, Mariusz Dmochowski i Gustaw Lutkiewicz w „Damach i Huzarach" FOT. NAC

Z pobłażliwą ironią

A całą historię „złamania pióra" przez Fredrę podsumował Tadeusz Boy-Żeleński: „[…] cóż za awantura, jedyna w literaturze. H a r a k i r i popełnione przez autora, aby ukarać krytyka. To zemsta godna Rejenta Milczka: czterdzieści lat, w obliczu rozżalonego narodu, milczeniem swoim trzymać pod pręgierzem biednego Goszczyńskiego, który dotrwał, jako obiekt tej zemsty, na stanowisku do końca, bo umarł prawie równocześnie z Fredrą". A zarzut „niepolskości" stawia on i Mickiewiczowi, i Słowackiemu. „Przeciwstawia natomiast tym poetom – pisał Boy-Żeleński – Tymka Padurrę; z czego wynika, że dla Goszczyńskiego polska literatura byłaby dopiero wówczas polską, gdyby została… ukraińską. Taki artykuł nie powinien był chyba aż tak zranić wielbionego przez publiczność pisarza. Ale atak ten nie był odosobniony. Obok Goszczyńskiego wyruszył Pol, który, choć umiarkowańszy, mieni Fredrę »reprezentantem francuszczyzny, malownikiem salonów«. Zważmy: dziś także »Śluby panieńskie« każą nam czcić jako komedię »narodową«, do Gucia i jego obcisłych spodni modlić się niemal jak do polskiego świątka; ale dla współczesnych to była komedia salonowa, jakieś Flersowskie »Miłość czuwa« – grane na pobojowisku… […]. A w czym najbardziej krwawa ironia, to, że sam autor tej uroczej komedii był junakiem nad junaki, żołnierzem bez skazy, bohaterem spod Moskwy i spod Lipska; nic nie pomaga, wszyscy odsyłają go do salonów. »Wierszowane obrazki ckliwego życia wielkiego świata, bez krytyki na jego słabe strony«; »ani wyższej idei, ani głębszego pojęcia charakterów, ani dowcipów nie ma…« – pisze o Fredrze w swoim »Zarysie piśmiennictwa« młody Edward Dembowski. Tego kasztelanica-demokratę, gotującego się chwycić nóż w zęby przeciw szlachcie, musiał mierzić szlachecki konformizm Fredry".

Wahadło ma jednak to do siebie, że potrafi przechylić się w całkowicie odwrotną stronę. I oto – przypomina Tadeusz Boy-Żeleński – w 1877 r. Lucjan Siemieński, „oddając hołd świeżo zmarłemu poecie i wyliczając nieśmiertelne figury fredrowskie, zamyka ich szereg, mówiąc, że »Twardosz, Łatka, Smakosz nie zestarzeli się, bo ich kuł z żywiołów swego narodu«. Smakosz… wykuty… i to z żywiołów narodu!... Tym wiekopomnym zdaniem Lucjan Siemieński zapoczątkuje nowy kurs fredrologiczny". Powiedzielibyśmy – megapatriotyczny. Bo też Aleksander Fredro, wcześniej nie dość polski, zrobił się polski aż nadto. A prof. Eugeniusz Kucharski roznamiętnił się tak bardzo, że stwierdził, jakoby to „Polska urosła z takich dwu sił i wartości:

> **Aleksander Fredro, wcześniej nie dość polski, zrobił się polski aż nadto**

z połysku stali w ręku takich rębaczy jak Raptusiewicz i z nieugiętej, żelaznej woli, skupionej w mózgu takich bajecznych głowaczy jak Milczek".

Skoro tak, to przypatrzmy się choćby postaci Cześnika Raptusiewicza, który bynajmniej nie jest – wywodził „Boy" – tak wielkim panem, jak to mniemają

eprasa.pl 9c1b920042

Ludwik Solski i Jadwiga Korecka w „Panu Jowialskim"
FOT. NAC

niektórzy krytycy, urzeczeni jego karmazynowym kontuszem. „Skąd! Cześnik (powiatowy) to bardzo skromna godność tytularna, fikcja fikcji; Raptusiewicz to nazwisko niezbyt karmazynowe; majątek – co najmniej niewyraźny. Ten rębajło sejmikowy, którego szabla »niejednego posła wykrzesała z kandydata«, należy najwyraźniej do owej masy szlacheckiej wysługującej się możniejszym od siebie. (Inaczej inni byliby jego »krzesali« na posła; już widzę naszego Cześnika posłem!). Może to był wielki los w życiu Cześnika, że się dorwał tej opieki nad bratanicą starościanką, co już przedstawiało jeden szczebel wyżej – pisał »Boy«. – Kiedy ten Cześnik szumnie woła: »hola, ciury, hej, dworzanie« na nieistniejących dworzan albo kiedy się odgraża, że »pozna szlachcic po festynie, jak się panu w kaszę dmucha«, można przypuszczać, że raczej to jest doskonałym wyrazem owych »fumów«, którymi jeden szlachetka wynosił się nad drugiego. Mam wrażenie, że hrabia Fredro, bywały Europejczyk, z pobłażliwą ironią patrzy na pańskość tego brata szlachcica z wiechciami w butach, jakich jeszcze tylu widział dokoła siebie. Zapewne jest ten Cześnik czymś dostojniejszym od Rejenta, choćby dlatego, że Cześnik pił, bił się i tracił, gdy tamten krzątał się i ciułał; ale ciemny, bez ogłady, wiszący u bratanicy, jest ten Cześnik, który »w powiecie całej szlachcie pokarbował nosy«, bardzo w istocie pokątną wielkością. Godne wreszcie uwagi jest, że swoje najdelikatniejsze sprawy sercowe i honorowe powierza Cześnik Papkinowi, głupcowi i mocno szubrawej figurze. I w tym jest wyborna pointa: ten Cześnik jest poniekąd pasożytem w domu Klary i ma tam swojego podpasożyta Papkina; bufon ma swego bufona. I cały ten mur graniczny, o który Cześnik się tak sroży, nie jest nawet jego…".

Odblask libertyńskiego dziedzictwa

Już „Boy" przed laty zauważył: „Nikt prawie z publiczności nie widzi Fredry innym niż jako starca […]. Dopiero daty (ale któż o nich myśli?) przypominają nam, że »Męża i żonę« napisał Fredro, nie mając lat trzydziestu. A nawet – skoro już trzeba o tym wspomnieć – że słynne, sprośne i n e d y t y Fredry, długo obiegające w odpisach między młodzieżą (znam je tylko z widzenia, bo nie jestem w stanie czytać pornografii), nie są produktem starczej lubieżności, ale raczej wybrykiem ułańskiego humoru lub lwowskich wywczasów młodego ekskapitana".

Obscena Fredry długo uchodziła za temat, nomen omen, wstydliwy. Najbardziej znaczące wśród tych tekstów to jednoaktówka „Zaślubiny Idzi" i tragedia w trzech aktach „Piczomira, królowa Branlomanii". Ta ostatnia ma taki oto piękny finał:

CHUJOSŁAW:
Narodzie, niech dziś wszędzie lubieżność panuje,
Niechaj dzień cały sterczą i żygają chuje!
CAŁY NARÓD:
Niech żyją długie lata wśród ciągłej swobody,
Nadobna Piczomira i Chujosław młody!

W 1987 (!) r. doczekała się „Piczomira…" oficjalnej premiery, w warszawskim teatrze Syrena kierowanym w tamtym czasie chylącej się ku upadkowi komuny przez Witolda Fillera. Nie stała się sensacją… Ale te wczesne utwory, po części przynależne do żołnierskiej subkultury, ujawniają – zacytuję Dobrochnę Ratajczakową – „odblask libertyńskiego dziedzictwa oświecenia". „Błyska w nich przecież – pisze Bogdan Zakrzewski – zadatek wspaniałego talentu Fredry, i to w rozmaitym zakresie, np. pysznego i dosadnego słownictwa, farsowo-komediowych sytuacji, dialogów, malowania hogarthowskiej obyczajowości erotycznej […] aż po pochwałę jej specyficznych »narodowych uroków«, temperamentów itd.".

W czasach, gdy teatr był jeszcze teatrem, Fredro królował na polskich scenach, a „Śluby panieńskie" o miano najczęściej wystawianej sztuki rywalizowały z „Zemstą". Dziś trudno mówić o konkurowaniu ze sobą filmowych adaptacji Filipa Bajona i Andrzeja Wajdy. A główni bohaterowie „Zemsty" mają dla nas twarze Janusza Gajosa i Andrzeja Seweryna. Obawiam się przy tym, że modelowym Papkinem stał się dla paru już pokoleń Roman Polański. A uczniowie, po „przerobieniu" arcykomedii Fredry, wiedzą tyle, że Cześnik nienawidził Rejenta, Rejent nienawidził Cześnika, Klara i Wacław mieli się ku sobie, chwalidupa

eprasa.pl 9c1b920042

Papkin wtrąca bez sensu swoje trzy grosze, a Podstolina (większość dziatwy zmagającej się z „Zemstą" uważa, że to nazwisko) próbuje na matrymonialnych intrygach ubić interes. Zresztą nie ona jedna.

Z kolei tego, że wciąż jeszcze znane bajki Fredry, takie jak „Paweł i Gaweł" czy „Małpa w kąpieli", pochodzą z „Pana Jowialskiego", nie są świadomi nawet wszyscy poloniści. Za to o hrabiowskim tytule autora, kupionym – nawiasem mówiąc – przez jego ojca, się nie zapomina. Trudno tylko orzec, czy jest to wyraz szacunku dla twórcy czy wręcz przeciwnie.

Po latach utarło się mniemać, że – mimo wcześniejszych zastrzeżeń – twórczość urodzonego w 1793 r. Fredry jest z ducha i formy narodowa, on sam zaś był nie tylko bohaterskim oficerem napoleońskim, odznaczonym polskim Orderem Virtuti Militari i francuską Legią Honorową, lecz także po latach odważnym uczestnikiem Wiosny Ludów we Lwowie, który jako prezes Rady Narodowej wygłosił w 1848 r. w Rudkach mowę przeciw biurokracji austriackiej, postulując „przepędzenie diabła w stosownym kapeluszu". Kilka lat później za tę mowę oskarżony został o zdradę stanu. Proces umorzono po interwencji bliskiego pisarzowi ówczesnego namiestnika Galicji, hr. Agenora Gołuchowskiego.

Warto może przypomnieć w tym miejscu słowa Tadeusza Boya-Żeleńskiego: „Fredro był arcyporządnym człowiekiem, wzorowym żołnierzem napoleońskim, dobrym Polakiem, tęgim obywatelem, ale nie był ani Skargą, ani Rejtanem […]. Zmuszanie Fredry niegdyś, aby był czym innym, niż go Pan Bóg stworzył, stało się przyczyną, że zamilkł przedwcześnie; zmuszanie go obecnie, aby był czym innym, niż był, może się tylko przyczynić do nieporozumień z publicznością. Robienie z niego konwencjonalnego patrioty i cierpiętnika po to, aby godnie zdobił »aleję klęski«, jest opłakaną deformacją jego żywej i ludzkiej fizjognomii i, co gorsza, jego utworów".

Scena z „Zemsty" FOT. NAC

Lwowski pomnik Fredry, przeniesiony po 1945 r. do Wrocławia FOT. COMMONS WIKIMEDIA, JACEK HALICKI

Tyle jest prawd, ilu ludzi

Kazimierz Wyka, porównując Fredrę z Mickiewiczem, wywodził: „Czym jest »Pan Tadeusz« dla twórczości Mickiewicza, tym dla twórczości Fredry »Zemsta«: pożegnaniem mijającego świata szlacheckiego, pożegnaniem go spoza progu ostatniego rozbioru. »Pan Tadeusz« wszakże to nie tylko akt pożegnania, ale zapowiedź nowych czasów, nowego rozwoju narodu. Kształt artystyczny komedii nie pozwalał na więcej aniżeli na akt pożegnania. Ten zaś Fredro wykonał w sposobie, który w istocie swojej, w swoistym skojarzeniu prawdy, humoru i poezji, jest sposobem mickiewiczowskim".

Tezę, jakoby Aleksander Fredro bawił się jedynie w swoich komediach „obrazkami przeszłości", zdecydowanie odrzucił już pół wieku temu Jarosław Marek Rymkiewicz w głośnej swego czasu książce „Aleksander Fredro jest w złym humorze". A przyczyną owego złego humoru miał być dostrzeżony przez autora „Zemsty" kryzys nowoczesności. Komedia fredrowska, zdaniem Rymkiewicza, była nade wszystko krytyką języka tworzącego się w XIX stuleciu. „Poza tymi słowami, co nic nie znaczą – pisał w charakterystycznym dla siebie stylu – nic już nie ma albo jest coś, o czym niczego nie możemy orzec: co na jedno wychodzi. Ten język może coś ukrywa. Ale co, tego – dysponując tylko tym językiem – nigdy się nie dowiemy". No tak, „co było, skrytym na zawsze zostanie".

Dorota Wojda podkreśla, że najwyraźniej diagnozę kryzysu nowoczesności sformułował Rymkiewicz w interpretacji „Pana Jowialskiego": „Zwraca tutaj uwagę na trzy wymiary owego kryzysu: językowy, antropologiczny oraz etyczny. Jak twierdzi, w nowoczesnym świecie zacierają się klasyczne znaczenia słów i aktów mowy, przez co zakwestionowana zostaje odniesieniowa funkcja języka oraz jego wartość komunikacyjna. Akt porozumiewania się zastępowany jest aktem wygłaszania:

»[…] wygłaszając te 110 kwestii zawierających przysłowia i bajeczki, pan Jowialski nie porozumiewa się przy pomocy tych kwestii z innymi, ale właśnie je wygłasza: bez względu na okoliczności i bez względu na to, o czym mówią inni. Pewnie nie znacie tej bajeczki? Znamy. Słuchajcie więc«".

W dawnej kulturze – powiadał Fredro – słowa miały swoje znaczenie, ponieważ prawdę odróżniano od kłamstwa, a dobro od zła. Obecnie – powtarza za nim Rymkiewicz – relatywizuje się wszystko. I zadaje kluczowe pytanie o tożsamość twórcy „Pana Jowialskiego: „Kto ma taką wizję człowieka, kim jest? Kto stwierdza, że zdrajcy są poczciwi – cóż z tego, że z goryczą czy z rozpaczą – a więc, że cnota jest tożsama z występkiem, kim jest? Kto mówi, że nie ma prawdy, bo tyle jest prawd, ilu ludzi […], kim jest?".

No właśnie, kim był i kim jest? Dla nas – dzisiaj.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9c1b920042

Flaga UPA z podobizną Stepana Bandery

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, JELEŃ VOLUN

Książka miesiąca / Ukraiński nacjonalizm

Teoretycy ludobójstwa

Gdy tak silne emocje budzi dziś ostry konflikt między Polską a Ukrainą, wywołany nadaniem przez prezydenta Wołodymyra Zełenskiego imienia „Bohaterów UPA" jednemu z ukraińskich oddziałów, dobrze sięgnąć po wydaną niedawno książkę Bartosza Januszewskiego „Nie tylko Wołyń. Polacy i Ukraińcy – krótka historia najtrudniejszego ćwierćwiecza (1918–1945)". Autor w klarowny, rzeczowy sposób omawia stosunki polsko-ukraińskie w czasach II Rzeczypospolitej i podczas drugiej wojny światowej.

Tytuł zapowiada, że książka nie jest jedynie o masowych mordach – spełniających definicję ludobójstwa – dokonywanych na Wołyniu, bo przecież ukraińskie zbrodnie dokonywane były również w Małopolsce Wschodniej i na ziemiach znajdujących się dziś w granicach Polski. Preludium do mordów w latach 1943–1945 były opisywane przez Januszewskiego zbrodnie popełnione podczas wojny polsko-ukraińskiej w 1919 r. przez żołnierzy Ukraińskiej Halickiej Armii, którzy zabijali polskich żołnierzy i cywilów, a także zbrodnie dokonywane przez bojówki OUN we wrześniu 1939 r.

Fundamentem dla bezlitosnego wyrzynania Polaków na Kresach Wschodnich Rzeczypospolitej była ideologia rasistowskiego i totalitarnego ukraińskiego nacjonalizmu, przyjęta przez Organizację Ukraińskich Nacjonalistów, której zbrojnym ramieniem była UPA. Autor przytacza szokujące wskazania ideologów ukraińskiego nacjonalizmu z lat 20. i 30. XX w., w kwestii tego, co należy zrobić z Polakami. Przywołuje „Dekalog ukraińskiego nacjonalisty" autorstwa Stepana Łenkawśkiego, a w nim punkt mówiący: „Nie zawahasz się spełnić największej zbrodni, kiedy wymaga tego dobro sprawy". Później ten nakaz nieco złagodzono, zamieniając „największą zbrodnię" na „najniebezpieczniejszy czyn". Łenkawśkij stwierdzał, że wszyscy ludzie są braćmi, oprócz Polaków, Żydów, Moskali, Rumunów i Węgrów. Ci bowiem są wrogami.

Mychajło Kołodzińśkyj snuł wizję utworzenia imperium ukraińskiego, a drogą do jego powstania miało być „wymiecenie co do nogi" Polaków i innych mniejszości narodowych. Kołodzińśkij pisał: „Trzeba krwi – dajmy morze krwi, trzeba terroru – uczyńmy go piekielnym [...]. Nie wstydźmy się mordów, grabieży, podpaleń. W walce nie ma etyki". Kolejny z ideologów, Mykoła Ściborski, zapowiadał: „Kiedy nadejdzie ten nowy, wielki dzień, będziemy bez litości. Nie będzie żadnego zawieszenia broni, nie powtórzy się ani perejasławska, ani hadziacka umowa, przyjdzie nowy Żeleźniak, nowy Gonta [...]. Tylko w morzu krwi, tylko bezwzględnością, tylko w jednym żelaznym uścisku i z jednym wodzem wywalczymy sobie prawa". Ideolodzy ci wzywali więc do masowych zbrodni, do ludobójstwa, a zrealizowała to wezwanie Ukraińska Powstańcza Armia, gloryfikowana dziś przez prezydenta Ukrainy. Bartosz Januszewski zwraca uwagę na to, że zbrodnie dokonane przez UPA pochłonęły więcej ofiar (140 tys.) niż łącznie osławiona „operacja polska" NKWD (111 tys. ofiar) i zbrodnia katyńska (22–25 tys.).

Ze strony ukraińskiej słychać narrację zrównującą akcję „Wisła" ze zbrodnią wołyńską. Autor stwierdza, że nie można się z tym zgodzić, gdyż akcja „Wisła" nie miała charakteru ludobójczego. Owszem, jak każda czystka etniczna, była przestępstwem, jednak celem akcji nie było mordowanie ludzi, lecz ich wysiedlenie.

©℗

Tomasz Stańczyk

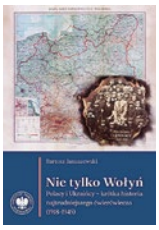

BARTOSZ JANUSZEWSKI
„NIE TYLKO WOŁYŃ. POLACY I UKRAIŃCY – KRÓTKA HISTORIA NAJTRUDNIEJSZEGO ĆWIERĆWIECZA (1918–1945)"
IPN

eprasa.pl 9c1b920042

Kobieta w Katyniu

Była jedyną kobietą zamordowaną w Katyniu. Miała 32 lata. O Janinie Lewandowskiej najczęściej słyszy się to właśnie zdanie. Ktoś doda jeszcze, że była córką gen. Józefa Dowbora-Muśnickiego. Niewielu dopowie: „i lotnikiem". A przecież życie Lewandowskiej było znacznie bogatsze i nie sprowadzało się tylko do tego.

Niespełna dwa lata po rozpoczęciu operacji „Barbarossa", inwazji na Związek Sowiecki, Niemcy znaleźli ciała polskich oficerów zakopane w Lesie Katyńskim. Nawet oni, którzy na sumieniu mieli już niejedną wojenną zbrodnię, byli zbulwersowani, że Sowieci zamordowali polskich oficerów. A zdumienie wywołał fakt, że wśród szczątków tysięcy mężczyzn znajdowało się ciało kobiety. Niemieckie władze od razu nagłośniły sprawę Katynia, chcąc wbić klin między aliantów a ZSRS, a jednak o znalezieniu szczątków kobiety nikogo nie poinformowały. Prawda o Janinie Lewandowskiej zamordowanej w Katyniu wyszła na jaw po długim czasie. Dopiero w latach 90. potwierdzono, że była ofiarą sowieckiej zbrodni.

Janina to nietuzinkowa postać, gdyż wiodła nietypowe życie jak na ówczesne czasy. Pochodziła z rodu Dowborów-Muśnickich, była córką znanego generała. Z ojcem łączyły ją skomplikowane relacje. On chciał, żeby córka ukończyła szkołę i się ustatkowała. Ona jednak marzyła o karierze artystycznej, opuściła więc rodzinny dom i zaczęła śpiewać w podrzędnych nieraz teatrach oraz rewiach, zarabiając w ten sposób na życie. Taka „degradacja" nie mogła podobać się ojcu.

Ostatecznie jednak Janina wybrała zupełnie inną drogę. Śpiewać lubiła, lecz nie to było jej powołaniem. Spełnienie odnalazła w wojsku. Ukończyła Wyższą Szkołę Pilotażu we Lwowie i w Dęblinie oraz kurs radiotelegraficzny we Lwowie. Skakała ze spadochronem, i to nie z byle jakiej wysokości, bo nawet aż z 5000 m. Za mąż wyszła tuż przed wojną, za Mieczysława Lewandowskiego. Małżeństwo trwało krótko. We wrześniu 1939 r. dostała się w ręce Sowietów.

Niełatwo jest napisać rzetelną beletryzowaną biografię, lecz Agacie Puścikowskiej ta sztuka się udała. Opowiedziana przez nią historia Janiny Lewandowskiej to fascynująca opowieść o marzeniach i troskach młodej kobiety, a zarazem wspaniała podróż po dwudziestoleciu międzywojennym. ©℗

Anna Szczepańska

AGATA PUŚCIKOWSKA
„LOTNICZKA. OPOWIEŚĆ O JANINIE LEWANDOWSKIEJ"
ZNAK

Tajemnica Hubala

Gdzie spoczywa legendarny mjr Henryk Dobrzański? Od 10 lat odpowiedzi na to pytanie szukają członkowie Stowarzyszenia Wizna 1939 – pasjonaci historii, którzy niestrudzenie przywracają pamięć o polskich bohaterach. Szczątków „Hubala", zabitego przez Niemców w 1940 r., przez lata poszukiwała jego rodzina. Niestety, kolejne tropy okazywały się nietrafione. Dariusz Szymanowski, prezes Stowarzyszenia Wizna 1939, prezentuje w tej książce najnowsze ustalenia wieloletniego śledztwa. Co kryją podziemia romańskiego kościoła w Inowłodzu? ©℗ *(p.w.)*

DARIUSZ SZYMANOWSKI
„TU SPOCZYWA »HUBAL«"
STOWARZYSZENIE WIZNA 1939

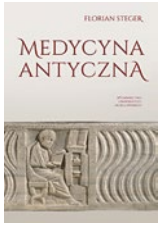

FLORIAN STEGER
„MEDYCYNA ANTYCZNA"
WYDAWNICTWO UNIWERSYTETU JAGIELLOŃSKIEGO

STAROŻYTNA MEDYCYNA

Historia medycyny jest prawie tak stara, jak sama ludzkość. Gdzie i kiedy zaczęto stosować ziołolecznictwo? Kto wykonał pierwszą operację, a kto zaczął interesować się prawami pacjenta? Niemiecki historyk, wykorzystując starożytne źródła z różnych stron świata, stworzył ciekawą opowieść. Książka jest barwnym spojrzeniem na historię medycyny. Zainteresuje nie tylko osoby zawodowo związane z lecznictwem. ©℗ *(a.s.)*

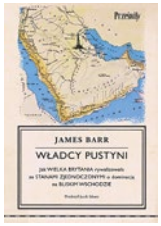

JAMES BARR
„WŁADCY PUSTYNI. JAK WIELKA BRYTANIA RYWALIZOWAŁA ZE STANAMI ZJEDNOCZONYMI O DOMINACJĘ NA BLISKIM WSCHODZIE"
PRZEŚWITY

GRA O BLISKI WSCHÓD

Niewiele jest na mapie świata obszarów, przez które przetoczyło się tak wiele wojen i konfliktów. James Barr w fascynujący sposób opisuje zmagania o dominację nad Bliskim Wschodem, biorąc pod uwagę przede wszystkim rywalizację między Wielką Brytanią i USA. Na ogół państwa te działały zgodnie, jednak w tym regionie świata ich interesy często były bardzo rozbieżne. ©℗ *(a.s.)*

JUSTINE FIRNHABER-BAKER
„KAPETYNGOWIE. DYNASTIA, KTÓRA STWORZYŁA ŚREDNIOWIECZNĄ FRANCJĘ"
REBIS

DYNAMICZNA DYNASTIA

Dzięki staraniom Kapetyngów w XIII w. Francja stała się najbogatszym i najpotężniejszym państwem w całej chrześcijańskiej Europie. A przecież zaczynali od władztwa rozciągającego się na niewielkim terenie dokoła Paryża. Z biegiem stuleci 12 pokoleń kapetyńskich królów ogromnie powiększyło swoją władzę, zyskując w ten sposób środki dla realizacji swoich ambitnych projektów. ©℗ *(p.w.)*

eprasa.pl 9c1b920042

/ Felieton

Zakręcona historia pleśni

Rafał A. Ziemkiewicz

Nie miejsce tu na opisywanie bieżącej polityki, ale wyjątkowo wspomnę o występie lewicowej minister Agnieszki Dziemianowicz-Bąk na partyjnym wiecu na początku lipca. Pani minister, kreowana przez swoją partię na „wyborczą lokomotywę", poświęciła swe wystąpienie przestrogom przed rosnącą w siłę prawicą, szczególnie tą „skrajną". No i co? – państwo spytają. Partyjna propaganda „us usual". Otóż ciekawa jest retoryka, po którą sięgnęła działaczka lewicy. Nazwała mianowicie prawicę „pleśnią", która wyrasta na nierównościach, biedzie i poczuciu niesprawiedliwości.

Mniejsza o odczłowieczanie politycznego przeciwnika – jak nie „sepsa", to „pleśń" – bo to klasyka propagandy i od czasów Goebbelsa nic nowego w tej kwestii nie wymyślono. Ale czyż nie jest godnym odnotowania chichotem historii fakt, że ten propagandowy chwyt przyszedł do głowy właśnie działaczce partii, która nazywa się „Lewica"?

Skąd się bowiem wzięła na tym świecie lewica? Właśnie z poczucia niesprawiedliwości i biedy. To nic, że chłopi, którzy na fali rewolucji przemysłowej masowo przenosili się do miast i stawali się robotnikami, obiektywnie rzecz biorąc, poprawiali swój materialny status. Nieważne, że świadczą o tym wszystkie możliwe dane – długość życia, śmiertelność niemowląt, liczba chorób związanych z niedożywieniem, wszystko to wśród miejskiej biedoty wyglądało lepiej niż na wsi. Ważne, że ci ludzie przed oczami mieli takich, których status był nieopisanie lepszy. Chodząc za pługiem, mogli się porównywać tylko z mieszkańcami pobliskiego dworu, który górował nad okolicą od zawsze – chodząc po ulicach miasta, widzieli piękne domy, powozy, szykowne stroje i robak zawiści gryzł ich serca. Do takich właśnie ludzi zwróciło się marksowe plemię, takich właśnie podbechtało swoją demagogią, obiecało zemstę na bogatszych i ich obrabowanie – czy to, w wersji socjaldemokratycznej, poprzez opodatkowanie, czy, w wersji bolszewickiej, fizycznej. I na tym wyrosło, sięgając po coraz większe polityczne znaczenie.

Z czasem to znaczenie urosło tak, że lewica, choć nadal powtarza frazesy o „równości" i „sprawiedliwości społecznej", zdobyła sobie przywileje i stała się obrońcą uprzywilejowanych. Dzisiejsza lewica to paniczykowie, którzy nigdy nie splamili się uczciwą pracą i nigdy nie stanęli przed dramatycznym pytaniem, jak dotrwać do pierwszego i skąd pożyczyć, a potem jak oddać. To ludzie, którzy identyfikują się z warstwą wyższą, dobrze ustawieni i – jak wszyscy dobrze ustawieni – zadowoleni z porządku świata, który zapewnia im wysoką pozycję. A skoro porządek świata im odpowiada, to na wszystkich, którzy go kwestionują, patrzą jak na zagrożenie, zło, aberrację i chorobę. Dokładnie tak samo, jak 150 lat temu patrzyli arystokraci i bogaci „burżuje" na czerwonych agitatorów, mącących biedocie w głowach i szczujących ją do strajków i buntów.

Niech państwo sprawdzą, gdzie chcą – niemal w każdym punkcie działalność i idee współczesnej, „kawiorowej" lewicy stanowią zaprzeczenie jej historycznych korzeni. Także w politycznej retoryce, pełnej pogardy dla „starszych, gorzej wykształconych i z mniejszych ośrodków", którzy „nie poradzili sobie w kapitalizmie". I do „takich ludzi" mają czelność przychodzić jacyś wywrotowcy i mówić im, że hołocie też się coś należy?! I to od tych lepiej sytuowanych?! No skandal, pani towarzyszko, po prostu skandal! ©℗

/ **Dzisiejsza lewica to paniczykowie, którzy nigdy nie splamili się uczciwą pracą i nigdy nie stanęli przed dramatycznym pytaniem, jak dotrwać do pierwszego**

eprasa.pl 9c1b920042

/ Felieton

Secretos de la taberna española

Piotr Semka

Czy wpadając na szklaneczkę wina do hiszpańskiej oberży, można otrzeć się o obyczaje sięgające starożytnych kultur basenu Morza Śródziemnego? Owszem, można. Gdy w jednej z tawern w Kadyksie sączyłem cudowne miejscowe wino, zaciekawił mnie obyczaj praktykowany przez siedzących obok mnie przy szynkwasie Hiszpanów. Wznosząc toast, stukali się szklaneczkami, jednocześnie patrząc sobie w oczy, ale zanim wychylili trunek, stukali jeszcze dnem o drewniany szynkwas.

Zebrałem się na odwagę i łamanym hiszpańskim zapytałem jednego z nich, skąd wziął się ten zwyczaj. Pytany o to Hiszpan wygłosił mi mały wykład. Otóż stuknięcie w drewniany szynkwas denkiem ma kilka powodów. „Po pierwsze, to hołd dla domu gospodarza. To rodzaj wiwatowania na cześć domu, a także okazanie szacunku kelnerom i barmanom. Ale to nie koniec. Stuknięcie szklanką w drewniany blat jednocześnie odpędza złe duchy. Stuknięcie w dno szklaneczki z winem chroni przed pechem lub negatywną energią. I wreszcie to oznaka szacunku dla poległych. Jest to rodzaj ukłonu dla nieobecnych towarzyszy lub tych, którzy z jakichś powodów nie mogą być przy stole. W wypadku piwa szybkie stuknięcie kufla ma jeszcze dodatkowy walor – piana lekko opada, a więc picie jest bardziej komfortowe" – opowiadał mój rozmówca.

Zaciekawiony rychło zacząłem szukać w hiszpańskich księgarniach literatury, by poszerzyć swoją wiedzę na temat tego ciekawego zwyczaju. Dowiedziałem się wtedy, że w średniowieczu chodziło o takie stuknięcie, które spowodowałoby, że część piwa lub wina z danego kufla czy szklanki wpadłaby do szklanki sąsiada. I na odwrót. Taki gest miał być demonstracją, że w obu kuflach nie ma trucizny.

Szczerość wzmacniać miał też nieformalny wymóg patrzenia sobie w oczy przy stukaniu się szklankami lub kuflami. Bo przecież w oczach zawsze można wypatrzyć fałsz lub złe zamiary.

> / Skoro picie wina angażuje cztery zmysły z pięciu, czyli wzrok, dotyk, smak i węch, to aż prosi się, by dołączyć jeszcze zmysł słuchu

Jeden z poglądów głosi, że dźwięki zderzających się naczyń również mają swoje znaczenie – brzęk szkła odpędza ponoć złe duchy od alkoholu na podobnej zasadzie jak dzwony kościelne odstraszają demony.

Ale jest jeszcze dodatkowe wytłumaczenie toastowego rytuału. Głosi ono, że skoro picie wina angażuje cztery zmysły z pięciu, czyli wzrok, dotyk, smak i węch, to aż prosi się, by dołączyć jeszcze zmysł słuchu, właśnie poprzez uderzanie szkłem o drewniany szynkwas. W ten sposób uzyskujemy pełną harmonię.

Według ostatniej teorii zbliżenie kieliszków przypomina, że wino rozlane do oddzielnych naczyń kiedyś było jedną całością w beczce. W tym sensie jest to przypomnienie, że wspólne spożywanie napoju z wyciśniętych winogron to znak dzielenia się i przyjaźni. Co więcej, uderzać kieliszkiem czy szklanką do wina też trzeba umieć. Wytrawni bywalcy tawern potrafią robić to tak, by wydobyć odpowiednią barwę brzmienia ze swego ulubionego szklanego naczynia.

Oczywiście wszystko to dotyczy ludzi, którzy wiedzą, kiedy się zatrzymać w konsumpcji procentowego napoju. Kiedyś byłem świadkiem mało budującej scenki na jednym z madryckich placów. Było grubo po północy, a na dodatek noc była duszna. Oto siedzący obok siebie młodzi ludzie pędzili od jednego piwnego toastu do kolejnego (wszystkie zakrapiane spod stołu mocnym brandy Jerez), aż doszło do sprzeczki. Wzajemne wyciąganie sobie zaszłości skończyło się dość burzliwie. Gdy zobaczyłem, jak jeden drugiemu rozwala kufel o głowę, byłem przekonany, że za chwilę zobaczę twarze zalane krwią. Jak się jednak okazało, madryckie czaszki są zadziwiająco twarde...

Obaj krewcy „Madrileños" patrzyli na siebie przez pewien czas z mieszaniną zdziwienia i szoku. Następnie objęli się, zachwiali i w tym bratnim uścisku zgodnie osunęli się na drewnianą podłogę karczmy. Bratni sen, być może spowodowany lekkim wstrząśnieniem mózgu, połączył obu kompanów.

Hiszpania to jednak kraina twardzieli. ©℗

eprasa.pl 9c1b920042

Hradczany, widok z Mostu Karola

FOT. LESZEK LUBICKI

XI w. / Chrobry kontra Niemcy

Tajna misja Mieszka II

Leszek Lubicki

Po powrocie z wyprawy na Ruś Bolesław Chrobry od razu przystępuje do próby zbudowania koalicji przeciwko Henrykowi II. Najlepszym partnerem wydają się Czechy. Z misją „odwrócenia" tego sojusznika Niemiec posyła więc swojego syna

Choć ruska wyprawa z 1013 r. nie przyniosła większych sukcesów, to jednak wspomagany przez niemieckich rycerzy (obiecanych przez Henryka II podczas zawierania pokoju w Merseburgu) Chrobry spustoszył zachodnie tereny Rusi Kijowskiej i osłabił na jakiś czas jej zdolność bojową. Zapewne trochę pomieszali mu szyki Pieczyngowie, sojusznicy Bolesława w tej wyprawie, odwieczni wrogowie Rusinów, gdyż z nieznanych nam przyczyn doszło do ich buntu. Bolesław kazał ich wszystkich wyciąć w pień. Jak długo trwała wyprawa na Ruś – nie wiemy, zapewne krótko.

Chrobry wiedział, że niemiecki król blokuje jego koronację u papieża, o którą się starał. Dlatego nie miał zamiaru wypełnić zaciągniętych zobowiązań lennych z Łużyc i Milska, które złożył w Merseburgu, i nie wysłał mu obiecanych 300 zbrojnych na rzymską wyprawę. Interes Bolesława był sprzeczny z zamierzeniami cesarskiej koronacji Henryka. „Bolesław wysłał do Italii swoich emisariuszy, którzy nawiązali kontakt z miejscową opozycją, skupioną koło króla – samozwańca, Arduina i nastrajali go przeciw

eprasa.pl 9c1b920042

Niemcom" (Labuda, 2012). Pomimo tego Henryk pokonał Arduina, koronował się na cesarza na początku 1014 r. i już w czerwcu zjawił się w Bawarii.

Czeska gra o tron

Ciekawie te stosunki ujął jeden z biografów Mieszka II, pisząc, że niemiecki władca „silniejszy niż dotąd, wyniesiony do godności cesarskiej, nie mógł nie myśleć o niewierności swojego wschodniego sąsiada. A że Bolesławowi wcale na jego dalszej przyjaźni nie zależało, nic nie mogło zapobiec nowej wrogości i nowej wojnie" (Pietras, 1969). Kronikarz Thietmar – jak wiadomo, niechętny Polsce – tak ujął poczynania Chrobrego w czasie, kiedy Henryk był w Rzymie: „Tylko Bolesław, choć otrzymał przedtem wezwanie, nie poczuwał się do obowiązku pomocy w tej wyprawie i okazał się, jak zwykle, kłamcą w swych pięknych obietnicach. Poza tym skarżył on się poprzednio w liście papieżowi, iż nie może uiścić czynszu przyrzeczonego księciu apostołów, Piotrowi, z powodu przeszkód stawianych mu skrycie przez króla. Obecnie zaś, wysławszy tam szpiegów, wywiadywał się po cichu, jak stoją sprawy króla w tamtych stronach, oraz starał się przez nich zbuntować, kogo tylko mógł, przeciwko niemu". Kronikarz „zapomniał" wspomnieć, że polski władca miał rację, iż „skarżył się papieżowi", że nie może uiszczać w tym czasie świętopietrza, bo gdy załadowano wozy z owym czynszem, to zostały one przejęte przez zwolenników niemieckiego króla i do Rzymu nie dotarły. Bolesław się tym zbytnio nie przejął, ponieważ trudno „przypuszczać, że sprawy dalekiej Italii stanowiły główny przedmiot zainteresowań politycznych księcia Polski. Jego uwaga skupiła się przede wszystkim, jak zawsze, na tym, co działo się u bezpośrednich sąsiadów Polski" (Grabski, 1969).

Chrobry w Czechach co chwilę osadzał na tronie ludzi, którzy według niego najlepiej realizowali jego interesy. Po śmierci jego wuja po matce Dobrawie, Bolesława II Pobożnego, tron obejmuje najstarszy syn Bolesław III Rudy. Rządzi on okrutnie, wyrzynając wrogów. Okalecza brata Jaromira, tak aby nie mógł płodzić dzieci, i wygania go z kraju wraz z kolejnym bratem Oldrzychem (Udalrykiem). Jego poddani mają go dosyć i powołują na tron niejakiego Władywoja, prawdopodobnie któregoś z Przemyślidów. Ten zaraz umiera (prawdopodobnie zapił się na śmierć). „Gdy Władywój zmarł, wtedy dopiero możni czescy zdecydowali się zwrócić do braci Bolesława Rudego i zaproponowali objęcie tronu Jaromirowi. Na takie rozwiązanie nie chciał pozwolić Bolesław Chrobry, zatem błyskawicznie osadził z powrotem na praskim tronie Bolesława III, którego miał zresztą pod ręką z tej racji, że wygnany książę przebywał w Polsce" (Pleszczyński, 2025).

Ten jednak, mimo obietnic, że władzę będzie sprawował sprawiedliwie, ponownie wykazywał się okrucieństwem.

Alegoria ukoronowania Henryka II i żony Kunegundy przez Chrystusa

FOT. WIKIPEDIA

Jak zapisał Thietmar, „posunął swą niegodziwość w łamaniu zaprzysiężonego pokoju do tego stopnia, że zebrawszy u siebie w domu wszystkich możnych, zabił naprzód własnoręcznie uderzeniem miecza w głowę swojego zięcia, następnie zaś, przy pomocy współuczestników swej zbrodni, pozbawił życia pozostałych bezbronnych". Chrobry na prośbę Czechów swego imiennika wzywa na „rozmowy" do Krakowa. Tam każe go oślepić i sam wjeżdża do Pragi, aby objąć czeski tron. Jednak półtora roku później został zmuszony do opuszczenia go.

Mieszko II z „Pocztu królów i książąt polskich" Jana Matejki

FOT. DOMENA PUBLICZNA

eprasa.pl 9c1b920042

Dzieje się tak za sprawą króla niemieckiego Henryka II, który najeżdża Czechy i osadza na tronie wiernego mu Jaromira. Jeszcze przed zjazdem w Merseburgu, w maju 1013 r., gdzie zawierano pokój pomiędzy Polską a Niemcami, dochodzi w Pradze do ponownego przewrotu. „Przebywający dotychczas na wygnaniu u Bolesława Chrobrego Oldrzych, młodszy brat panującego Jaromira, zdołał obalić władcę, pewnie z polską pomocą, i sam przejął tron. Dotychczasowy książę uciekł na dwór Bolesława Chrobrego, ten jednak nie chciał opiekować się zbiegiem – może nie chciał zrażać do siebie Oldrzycha – i ten trafił do Niemiec" (Pleszczyński, 2025). I to do niego Chrobry wysyła swojego syna i następcę na ważne, tajne rokowania.

Książę Oldrzych (Udarlyk)

FOT. WIKIPEDIA

Mieszko II w Czechach

Przypomnijmy: ojciec Oldrzycha (Udalryka), Bolesław II Pobożny, i matka Bolesława Chrobrego, Dobrawa, byli rodzeństwem. Zatem Chrobry z obecnym władcą Czech byli bliskimi kuzynami. Idąc dalej, ów Udalryk był dla Mieszka II wujem. Nie może zatem dziwić, że nasz Bolesław szukał sprzymierzeńca w osobie swojego bliskiego krewniaka. Henryk II, wzmocniony cesarską koroną, jeszcze bardziej stwarzał stałe zagrożenie dla Polski, więc Chrobry chciał zbudować sojusz polsko-czeski czy chociażby uzyskać od Udalryka neutralność. Łatwiej bowiem mierzyć się z jednym, od lat stałym wrogiem, czyli z Niemcami, niż walczyć z nimi i dodatkowo z walecznymi Czechami.

Kronikarz bp Thietmar zapisał: „Książę Bolesław, w tysiącznych biegły sztuczkach, wysłał swego syna Mieszka do księcia czeskiego Udalryka i zaproponował mu, by przez pamięć na wspólne pokrewieństwo ułożyli swoje sprawy pokojowo i przeciwstawili się wspólnie wszystkim wrogom, a w szczególności cesarzowi". Nie jest nam znana dokładna data misji Mieszka do Czech. „Byłoby szczytem nierozsądku politycznego i dyplomatycznego występować przeciw cesarzowi, gdy ten, bawiąc w Italii, nie podjął jeszcze żadnych kroków przeciw Polsce. Wydaje się więc bardziej prawdopodobne, że Bolesław wysłał Mieszka do Udalryka w końcu lata lub na początku jesieni 1014, gdy zagrożenie wojną stało się już widoczne" (Labuda, 1994).

Zdecydowana większość badaczy uważa, że po ślubie Mieszka II z Rychezą po roku 1013 „miejscem ich rezydencji był Kraków, ściślej Wawel" (Labuda, 1994). Również inny, wybitny nasz mediewista, Jerzy Strzelczyk, powiada, że „następca Bolesława Chrobrego przysposabiał się najpewniej do rządzenia krajem we własnej dzielnicy krakowskiej nadanej mu przez ojca. A na Wawelu razem z nim rezydowała Rycheza" (Władcy, 2018). Zatem z Krakowa byłoby mu najbliżej do Pragi. Ale czy na pewno tam rezydował? Zasiejmy tu pewną wątpliwość. Profesor Stanisław Suchodolski, wybitny znawca numizmatyki, twierdzi, że Mieszko jako następca tronu bił już za życia ojca swoje monety. Na tej podstawie wyciąga inną hipotezę. W ubiegłym roku w jednym z wywiadów tak o tym mówił: „Ja temu zaprzeczyłem na podstawie rozrzutu znalezisk Mieszka. Okazało się, że one w ogóle w Małopolsce nie występują, ani w Krakowie, ani wokół Krakowa, tylko w Wielkopolsce, Pomorzu, Skandynawii. Postawiłem hipotezę, że on działał w Gieczu, gdzie odkryto fundamenty palatium". Uczony dalej zastrzega: „Nie powiem, że zostało to powszechnie przyjęte do wiadomości, ale tam mógł mieć swoją siedzibę".

Tak czy inaczej, Mieszko wyposażony w pełnomocnictwa przez ojca i zapewne w godny orszak przynależny synowi księcia Polski rusza na pertraktacje do Udalryka. Mówiąc najprościej, chodziło o to, aby władca Czech, jakkolwiek by patrzeć, osadzony na tronie dzięki Chrobremu, zmienił orientację i razem z sąsiadem z północy wystąpił przeciwko Henrykowi II. Czesi od wielu lat byli sprzymierzeńcami cesarzy niemieckich i ich lennikami. Prawdopodobnie to wówczas „doszło w Czechach do jakichś antyniemieckich wystąpień" (Grabski, 2019), więc była to najlepsza chwila do podjęcia tajnych, dyplomatycznych rozmów.

Mieszko został tam w bardzo godny sposób przyjęty i rozmowy toczyły się po jego myśli. „Udalryk, któremu także zapewne ciążyła niemiecka zwierzchność, zdawał się słuchać chętnie. Zawarto jakieś porozumienie" (Pietras, 1969). Dramat rozegrał się, gdy polskie poselstwo było już u granic Śląska. Będący na miejscu jacyś niemieccy ważni stronnicy Henryka II ostrzegli zapewne czeskiego księcia, że jeżeli wypuści Mieszka, to tym samym „podpadnie" cesarzowi. Udalryk natychmiast zmienia zdanie. Nie okazał się jednak przyjacielem Chrobrego, ale lojalnym lennikiem Niemiec. Udalryk przestraszony możliwymi konsekwencjami rusza w pościg za polskim poselstwem. „Rozegrała się krótka bitwa, zaskoczeni Polacy zostali pojmani. Mieszko już

Książęce denary Mieszka II

FOT. W. KORSKI W PRACY S. SUCHODOLSKIEGO „MONETA POLSKA W X/XI W."

eprasa.pl 9c1b920042

jako jeniec powrócił do Pragi" (Pietras, 1969). Gdy cesarz dowiedział się, że młody polski książę został uwięziony na praskim zamku na Hradczanach, „upomniał się o Mieszka jako swego wasala i nakazał odstawić więźnia do Niemiec" (Rosik, 2001). Przez swojego posłańca zabronił pozbawiać go życia, bo wówczas straciłby Udalryk cesarską łaskę. Wzięcie do niewoli syna swojego wroga było dla cesarza bardzo dobrą okazją, by odegrać się na niezbyt udanych dla niego dwóch wcześniejszych wojnach.

Fundamenty nigdy nieukończonego palatium w Gieczu

FOT. LESZEK LUBICKI

Mieszko II wydany Niemcom

Udalryk nie bardzo chciał Mieszka wydać w ręce Henryka. Był rozdarty, bo zdawał sobie sprawę, że jeżeli tak uczyni, to będzie miał wroga w potężnym ojcu swego więźnia. Wiemy o tym z pierwszej ręki, czyli jedynego kronikarza, który niejako na żywo opisywał owe czasy. Thietmar zanotował, co Udalryk odpowiedział cesarzowi: „Jest moim obowiązkiem słuchać we wszystkim rozkazów mego pana wedle mej możności i chęci. Mimo iż na to nie zasłużyłem, Bóg wszechmogący wyrwał mnie niedawno z paszczy lwa [chodzi tu o pobyt Udalryka u Chrobrego przed 1012 r. – przyp. red.] i oddał w moje ręce jego szczenię, na moją zgubę nasłane. Jeżeli wypuszczę je na wolność, będę miał w ojcu i synu pewnych wrogów do końca życia, jeżeli zaś je zatrzymam, mogą się spodziewać, iż jakąś korzyść przez nie osiągnę. Zechce więc Pan mój rozpatrzyć, co w tej całej sprawie jemu odpowiada, a i mnie w jakikolwiek sposób na dobre wyjdzie. To wszystko spełnię z całym oddaniem".

Na Wielkanoc 1015 r. cesarz wezwał na spotkanie do Merseburga wszystkich możnych niemieckich, a także Udalryka i Chrobrego. Książę Czech oczywiście przybył, natomiast Bolesław nie przyjechał. Henryk postawił tam dwie sprawy: „a) niewywiązania się przez księcia polskiego ze swoich zobowiązań lennych z tytułu posiadania Milska i Łużyc; b) uwięzienia przez księcia Udalryka syna Bolesławowego, Mieszka, a następnie przekazania go na wyraźne żądanie cesarzowi, u którego przebywał nadal w pojmaniu. Obie te sprawy pozostają ze sobą w ścisłym związku. Tak je też trzeba rozpatrywać" (Labuda, 1994).

Udalryk oczywiście wydał cesarzowi „lwie szczenię", dzięki czemu otrzymał jakieś gwarancje bezpieczeństwa. Nie wiemy, w jakich warunkach trzymano młodego polskiego księcia, ale możemy z dużym prawdopodobieństwem założyć, że raczej w przyzwoitych, z uwagi na jego pozycję. Miał nawet osobistego strażnika w postaci młodego, szlachetnie urodzonego rycerza. W tym czasie trwały pertraktacje przez słanych w jedną i drugą stronę posłów. Henryk stał na stanowisku, by Mieszka w żadnym wypadku nie wydawać dopóty, dopóki Chrobry nie stawi się przed nim. Prawdopodobnie zdawał sobie sprawę, że tak się nie stanie, ale wypadało tak ogłosić. A nuż książę Polski się stawi…

Bolesław miał jednak w świcie cesarza swoich przyjaciół – czy to prawdziwych, czy też przekupionych – którzy się za nim wstawiali. Posłuchajmy Jerzego Strzelczyka: „Potem doszło do narady z możnymi oraz hierarchami kościelnymi, podczas której część uczestników twardo opowiedziała się za tym, żeby nadal więzić Mieszka, a Chrobrego zmusić do uległości. Ale inni – Thietmar twierdzi, że przekupieni – uważali, że cesarzowi takie postępowanie nie przystoi. Ostatecznie Henryk II wydał Mieszka właśnie tym możnym, na słowo i za poręczeniem ich majątku, a oni oddali syna Chrobremu i rozwiązali mu w ten sposób ręce" („Władcy", 2018).

Wypuszczenie Mieszka z niewoli i powrót młodego księcia do ojca spowodowało na pewien czas ocieplenie stosunków pomiędzy dwoma sąsiadami. Być może Henryk wypuszczając Mieszka, „dał wtedy dowód swojej świętości [kanonizowany został w 1146 r. – przyp. red.] albo przynajmniej dobrej, bardzo dobrej woli, albo może zadziałały łapówki i osobiste wpływy Bolesława na cesarskim dworze" (Nowak, 2014). Jednak już rok po tych wydarzeniach wybuchła trzecia i ostatnia za życia Bolesława Chrobrego wojna polsko-niemiecka, trwająca aż do początku 1018 r. Brał w niej udział Mieszko II, mimo że obiecał posłuszeństwo cesarzowi i możnym niemieckim, którzy za niego poręczyli i wspierali go w odzyskaniu wolności. Poręczyciele osobiście przypomnieli mu tę obietnicę. Odpowiedział im stanowczo, że jego obowiązkiem jest przede wszystkim obrona ojczyzny. Ale to już dalsza historia, do której nawiążemy w kolejnym artykule.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

WYBRANA BIBLIOGRAFIA:

Grabski A.F., ***„Bolesław Chrobry",*** *Warszawa 1969; Grabski A.F.,* ***„Polska sztuka wojenna za pierwszych Piastów",*** *Oświęcim 2019; Labuda G.,* ***„Mieszko Drugi",*** *Poznań 1994; Labuda G.,* ***„Pierwsze wieki monarchii piastowskiej",*** *Poznań 2012; Maciorowski M., Maciejewska M.,* ***„Władcy Polski",*** *Warszawa 2018; Nowak A,* ***„Dzieje Polski", t. 1,*** *Kraków 2014; Pietras S.Z.,* ***„Mieszko II",*** *Warszawa 1969; Pleszczyński A.,* ***„Bolesław Chrobry",*** *Warszawa 2025; Rosik S,* ***„Mieszko II Lambert i jego czasy",*** *Wrocław 2001.*

eprasa.pl 9c1b920042

Pierwsza sygnalizacja świetlna w Portland, 1928 r. FOT. COMMONS WIKIEMDIA, DEPARTAMENT TRANSPORTU OREGON

Wieki XIX–XX / Znaki drogowe

Historia na zakręcie

Tymoteusz Pawłowski

Stany Zjednoczone poszły w tej kwestii inną drogą niż Europa. Amerykanie zdecydowali się na znaki opisowe, ponieważ nie musieli borykać się z typowo europejską różnorodnością językową

Rok 1885 jest kamieniem milowym w rozwoju komunikacji mechanicznej. Bynajmniej nie dlatego, że Karl Benz zbudował wtedy w swojej stodole pierwszy samochód. Takie konstrukcje powstawały już wcześniej i wszystkie one – w tym „samochód" Benza – jeszcze przez kilkanaście lat nie były w stanie poprawnie działać. W roku 1885 pojawił się natomiast – i od razu zyskał popularność – nowoczesny rower, którego kształt nie zmienił się zbytnio od tamtego czasu.

Rowery i rowerzyści zmienili świat. Zażądali m.in. – ich lobby było bardzo silne – równych, wyasfaltowanych dróg. A ponadto domagali się właściwego ich oznakowania. I nie chodziło tu o znane od tysięcy lat drogowskazy i kamienie milowe, ale o znaki zwiększające bezpieczeństwo na drogach. Pierwsze pojawiły się w Italii w l895 r. staraniem Touring Club Ciclistico Italiano (Włoskiego Towarzystwa Turystyki Rowerowej), a niemal natychmiast śladem Włochów podążyli Francuzi, Brytyjczycy i Niemcy.

W 1909 r. samochodów w Europie było już jednak na tyle dużo, że należało uregulować ich status prawny, podatkowy i techniczny, chociażby określić obowiązkowe wyposażenie i oświetlenie. W Paryżu zebrali się wówczas przedstawiciele kilku państw europejskich i uwspólnili swoje wymagania, przyjmując jednocześnie jako obowiązujące francuskie znaki rowerowe. Zdecydowano się stosować cztery: ostrzegające przed stromymi mostami, ostrymi zakrętami, skrzyżowaniami i przejazdami kolejowymi.

Tymczasem minęła pierwsza z wojen światowych, wówczas zwana Wielką Wojną. Dla motoryzacji faktycznie było to wielkie wydarzenie: liczba samochodów w Europie zwiększyła się niemal stukrotnie, tak samo zwiększyły się też ich możliwości – samochody wyjechały z miejskich ulic na prowincjonalne drogi. Zaczęto też reformować znaki drogowe, które zmieniły kształt z okrągłych na trójkątne – zachowując przy tym granatową barwę tła; dodano również dwa kolejne. Szybko okazało się, że to za mało. Poszczególne kraje tworzyły własne znaki – z reguły zakazujące różnych zachowań na drodze – więc pod koniec lat 30. Liga Narodów postanowiła ujednolicić je dla całego świata.

Polskie PL

Wielka Wojna przyniosła niepodległość Polsce, która w 1919 r. nie tylko podpisała traktat pokojowy w Wersalu, lecz także zgłosiła akces do porozumienia drogowego z 1919 r. To właśnie wówczas przyjęliśmy jako oznaczenie państwowe literki PL, do dziś obecne na tablicach rejestracyjnych. Rozwój motoryzacji postępował nad Wisłą dość szybko – pierwszą sygnalizację świetlną oddano u nas do użytku już w 1926 r., więc byliśmy w tej kwestii jednym z pierwszych państw europejskich.

Światła sterujące ruchem drogowym pojawiły się w amerykańskim Cleveland w 1914 r., ale dopiero kilka lat później przyjęły one współczesny trzykolorowy kształt (a raczej barwy). Zielony nakazywał jazdę, czerwony jej zakazywał,

eprasa.pl 9c1b920042

Amerykański znak drogowy

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, FRY 1989

a żółty był sygnałem gotowości, interpretowanym na różne sposoby. Na żółtym świetle policjant – bo to on sterował sygnalizacją – mógł przepuścić pieszych przez ulicę. Problemy z żółtym światłem istnieją zresztą do dzisiaj. W niektórych krajach używa się go nieco inaczej niż w Polsce, inaczej też się je nazywa: bursztynowe albo pomarańczowe.

Pierwszą sygnalizację świetlną w Polsce oddano do użytku w Warszawie, na skrzyżowaniu Marszałkowskiej i Alej Jerozolimskich, które do dziś pozostaje symbolem intensywnego ruchu drogowego. Miały one zresztą tylko dwa kolory: zielono-niebieski oraz pomarańczowy. Kolejne pojawiły się w Poznaniu z okazji Wystawy Krajowej w 1931 r. – te miały już trzy kolory. Podobne dwa ustawiono w 1934 r. w Warszawie, a więcej świateł pojawiało się stopniowo od przełomu lat 40. i 50.

Powód przerwania eksperymentów z sygnalizacją świetlną był oczywisty: w 1939 r. wybuchła druga z wojen światowych. Tymczasem w Polsce – podobnie jak w reszcie państw europejskich – pojawiały się kolejne znaki (było ich blisko 30). Liga Narodów ujednoliciła je dla całego świata (do katalogu dodała kilka innych, nieużywanych dotychczas w Polsce), tylko że uczyniła to w lutym 1940 r. Nowe znaki zaczęli więc w polskich miastach stawiać nazistowscy okupanci, czyli po prostu Niemcy. O ile pod koniec lat 30. na większości polskich znaków zmieniono kolor tła z niebieskiego na żółty, o tyle Niemcy preferowali kolor biały i takie też znaki stawiali w każdym podbitym kraju. I tak jest dziś w całej Europie, a żółte znaki obowiązują w Irlandii, Szwecji i Finlandii – tam nazistowscy kulturträgerzy nie dotarli – oraz w Polsce, bo powróciliśmy do żółci po 1945 r., aby podkreślić, że „nie będzie Niemiec pluł nam w twarz i znaków nam narzucał".

Kolejna zmiana w polskich znakach drogowych nastąpiła w 1956 r., gdy obwódki wszystkich znaków stały się czerwone – do tej pory część była czarna – a „samochodziki" na znakach przybrały w miarę nowoczesny wygląd. Ważniejsza zmiana nastąpiła jednak w 1968 r., gdy podpisaliśmy konwencję wiedeńską o znakach i sygnałach drogowych, która ujednoliciła oznaczenia drogowe w całej niemal Europie i większej części świata. Nie podpisali jej natomiast Amerykanie.

Wyjątki i odrębności

Stany Zjednoczone poszły inną drogą niż Europa. Amerykanie zdecydowali się na znaki opisowe, ponieważ nie musieli borykać się z typowo europejską różnorodnością językową. W 1935 r. wydali „Podręcznik ujednolicający oznaczenia drogowe" („Manual on Uniform Traffic Control Devices") obowiązujący – oczywiście po licznych zmianach – do dzisiaj. Obowiązujący zresztą w specyficzny sposób: niektóre stany akceptują go w całości, inne wraz z lokalnymi dodatkami, a jeszcze inne wykorzystują go jako podstawę dla własnych „manuali".

Po drugiej wojnie światowej Amerykanie i Europejczycy postanowili ujednolicić swoje znaki, ale chociaż prace prowadzone pod egidą Organizacji Narodów Zjednoczonych były mocno zaawansowane, to ani Ameryka, ani Europa nie przyjęły ONZ-owskiej propozycji. Pracowano nad nią przez kilkanaście lat. W tym czasie wybudowano tysiące dróg i zainwestowano w setki tysięcy „starych" znaków, w dodatku – dzięki dekolonizacji – liczba państw niemal się potroiła, co skomplikowało negocjacje. Amerykanie poszli więc swoją drogą, a Europejczycy swoją, podpisując wspomnianą konwencję wiedeńską. Konwencja dopuszczała pewną dowolność – chociażby pozwalając na białe lub żółte tło – i dawała nawet możliwość przyjęcia ONZ-owskiej propozycji znaków ogólnoświatowych.

Z propozycji tej skorzystała jedynie Irlandia, która dziś używa najbardziej egzotycznego zestawu oznaczeń – przynajmniej w Europie. ONZ-owską propozycję znaków drogowych – charakteryzującą się częstym wykorzystaniem żółto-czarnych znaków w kształcie rombu czy też kwadratu obróconego o 45 stopni – przyjęło jednak wiele państw Ameryki Południowej. Z wymiany poglądów i doświadczeń skorzystali również Europejczycy i Amerykanie: za Atlantykiem zaczęto odchodzić od znaków opisowych, coraz częściej wprowadzano znaki symboliczne. My z kolei zaakceptowaliśmy oryginalny amerykański kształt rombu dla znaku „droga z pierwszeństwem" (D-1) oraz jeszcze bardziej oryginalny kształt ośmiokąta dla znaku „stop" (B-20). To dość ważne znaki, muszą być więc czytelne, nawet jeśli zasypie je śnieg albo zejdzie z nich cała farba.

Szerokiej drogi!

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Znaki drogowe w Australii

FOT. COMMONS WIKIPEDIA, ISTOLETHETV

eprasa.pl 9c1b920042

Piotr Zychowicz

„My mordowaliśmy, wy mordowaliście. Zamknijmy debatę o historii i patrzmy w przyszłość". To stanowisko strony ukraińskiej jest niezgodne z faktami historycznymi

Stawianie krzyża na „dole śmierci", w którym leżą zamordowani Polacy, Chołoniewicze, 2011 r.

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, ZBIORY PRYWATNE, GRZEGORZ NAUMOWICZ

Polacy i Ukraińcy / Historyczne manipulacje

Nie ma symetrii win!

Prezydent Wołodymyr Zełenski rozpętał największy w historii polsko-ukraiński spór o przeszłość. Chodzi oczywiście o nadanie jednej z jednostek ukraińskiej armii imienia „Bohaterów UPA". Prezydencki dekret wydany w tej sprawie uruchomił reakcję łańcuchową, która spowodowała, że relacje Warszawa – Kijów są najgorsze od 1991 r.

Strona ukraińska sięgnęła po wiele – dobrze znanych – argumentów.

ARGUMENT 1. Rzeź wołyńska nie była ludobójstwem, tylko spontanicznym buntem chłopskim wymierzonym w polskich panów

To nieprawda. Ofiarą ludobójstwa na Wołyniu padli polscy chłopi, a nie ziemianie, których w 1943 r. na Wołyniu już nie było. Większość z nich uciekła bowiem przed Armią Czerwoną w roku 1939, a ci, którzy zostali, padli ofiarą sowieckich mordów i deportacji.

Zachowana dokumentacja jasno wskazuje również, że w przypadku rzezi wołyńskiej nie może być mowy o spontaniczności. Badacze dość precyzyjnie zrekonstruowali proces decyzyjny w kierownictwie OUN/UPA.

FAZA A – wiosna–lato 1943 r. Dowództwo OUN/UPA na Wołyniu podejmuje decyzję o wymordowaniu Polaków na terenie tego byłego województwa II RP. Kluczową rolę odgrywa tu Dmytro Klaczkiwski „Kłym Sawur".

FAZA B – jesień 1943 r. Z inspekcją na Wołyń przybywa Roman Szuchewycz. Jest pod wrażeniem „osiągnięć" UPA na tym terenie. Pod jego wpływem Prowyd OUN podejmuje decyzję o rozszerzeniu antypolskiej czystki etnicznej na Galicję Wschodnią i inne tereny objęte konfliktem.

FAZA C – początek roku 1944. Ludobójcza fala przelewa się z Wołynia do Galicji Wschodniej.

Podsumowanie: ludobójstwo na Wołyniu było zaplanowaną z góry – przez kierownictwo OUN-B i UPA – operacją eksterminacyjną. Dowódcy poszczególnych kureni i sotni dokonujący masakr działali według ustalonego planu, rozkazów i instrukcji.

Plan ten zakładał „oczyszczenie terenu" z ludności polskiej, co wypełnia definicję ludobójstwa.

Niemal każdy atak na polską wieś na Wołyniu rozpoczynał się od uderzenia kurenia lub sotni UPA (strzelcy), a dopiero potem na „zdobytą" wieś rzucano pospolite ruszenie z okolicznych wsi (siekiernicy).

ARGUMENT 2. Polacy byli sami sobie winni. Rzeź wołyńska była tylko odpowiedzią na prześladowania Ukraińców w II RP

Nie ma co ukrywać, że polityka niepodległej Polski wobec 5 mln Ukraińców zamieszkujących ziemie południowo-wschodnie była niemądra i obfitowała w wiele błędów.

Burzenie cerkwi na Chełmszczyźnie, brak autonomii w Galicji, niezrealizowanie obietnicy stworzenia uniwersytetu ukraińskiego we Lwowie, napięcia wynikające z obecności osadników wojskowych na Wołyniu, niedopuszczanie do stanowisk państwowych czy niesprawie-

eprasa.pl 9c1b920042

dliwy podział ziemi. Wymieniać by tak można jeszcze długo.

Pisząc w skrócie – Ukraińcy w II RP mieli status obywateli drugiej kategorii. Polska, z wyłączeniem wojewody Józewskiego, traktowała ich mniej więcej tak, jak Prusy traktowały Polaków w czasach Hakaty.

To wszystko miało miejsce i nie ma powodu, żeby o tym milczeć. Historii nie zmienimy. Jest jednak co najmniej kilka „ale".

Mówiąc o błędach II RP, warto też przypomnieć o działaniach drugiej strony. Czyli wieloletniej kampanii ukraińskiego terroryzmu wymierzonego w państwo polskie.

Ukraińcy po klęsce 1919 r. stworzyli podziemną organizację UWO – potem przeistoczyła się ona w OUN – która przeprowadzała akty sabotażu, napady na urzędy pocztowe i zamachy terrorystyczne. Ich ofiarą padli m.in. poseł Tadeusz Hołówko czy minister spraw wewnętrznych Bronisław Pieracki.

Ukraińskie podziemie nawiązało również ścisłą, wymierzoną w Polskę współpracę z Abwehrą. Ten medal ma więc dwie strony.

Co jednak najważniejsze – błędy II RP nie miały nic wspólnego z ludobójstwem na Wołyniu. Decyzja o jego przeprowadzeniu została bowiem podjęta nie z myślą o przeszłości, tylko z myślą o przyszłości.

Sytuacja na początku 1943 r. była następująca: Niemcy przegrali bitwę pod Stalingradem i stało się jasne, że przegrają całą wojnę. Polska znajdowała się zaś w sojuszu z Wielka Brytania i ze Stanami Zjednoczonymi.

Ukraińscy nacjonaliści obawiali się, że po wojnie władze w Warszawie wystąpią z żądaniem, aby Wołyń i Galicja Wschodnia z powrotem weszły w skład państwa polskiego. Argumentem na poparcie takiego postulatu byłby oczywiście fakt, że na terenach tych mieszka wielu Polaków.

Szowiniści spod znaku OUN/UPA postanowili więc tych Polaków usunąć. I tym samym wytrącić z rąk Warszawy kluczowy argument. Skoro nie będzie tu Polaków, to Polska nie będzie miała powodu, by rościć sobie pretensje do spornych terytoriów.

Drugim powodem decyzji o dokonaniu ludobójstwa na Wołyniu była ideologia OUN/UPA. Czyli agresywny szowinizm i nacjonalizm. Ideałem dla wyznawców tej ideologii jest zaś homogeniczne etnicznie państwo narodowe – „czyste jak łza". Bez znienawidzonych mniejszości, które stanowią potencjalną piątą kolumnę.

Pomnik dowódcy UPA na Wołyniu, Dmytra Klaczkiwskiego („Kłyma Sawura"), w Równem

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MUKOLKA OHRODNYK

Warto przy tym przypomnieć, że ounowcy snuli plany narodowej rewolucji, której towarzyszyć miała czystka na Polakach już przed wojną. Mowa o słynnym projekcie Mychajła Kołodzinskiego. Do pierwszych antypolskich wystąpień doszło zaś w momencie upadku państwa polskiego w roku 1939.

Podsumowując: nie ma symetrii win między tym, co robiła II RP a OUN/UPA. Nie można stawiać znaku równości między szykanami państwowymi – takimi jak ograniczenie szkolnictwa w języku ukraińskim – z masowym mordem ludności cywilnej przeprowadzonym za pomocą siekier, wideł i karabinowych kul.

ARGUMENT 3. Polacy też mordowali ukraińskich cywilów. To nie było ludobójstwo UPA tylko pasmo obopólnych rzezi

Również ten argument należy odrzucić. Oczywiście polskie podziemie podejmowało podczas drugiej wojny światowej i po jej zakończeniu drastyczne działania wobec ukraińskiej ludności cywilnej.

Przede wszystkim był to odwet na Wołyniu i w Galicji Wschodniej, który pochłonął kilka tysięcy ofiar. Do tego należy dodać dokonaną przez AK i Bataliony Chłopskie Rewolucję Hrubieszowską, która w marcu 1944 r. pochłonęła ponad tysiąc ofiar śmiertelnych. Symbolem tej akcji jest oczywiście pacyfikacja Sahrynia. Po wojnie polskie podziemie dokonało z kolei masakr w Wierzchowinach, Piskorowicach i Pawłokomie.

Ludobójstwo na Wołyniu było zaplanowaną przez kierownictwo OUN-B i UPA operacją eksterminacyjną. Działano według instrukcji i rozkazów

Nadal nie można jednak mówić o symetrii win. Zupełnie inna była bowiem skala tych zjawisk i inne przyświecały Polakom motywy. Żadna polska organizacja podziemna nie miała planu analogicznego do planu OUN/UPA. Czyli wymordowania całej ludności ukraińskiej na danym obszarze. Polskie ataki na ukraińskie wioski były działaniami odwetowymi.

Podkreślmy: żadna polska organizacja nie wymordowała 100 tys. cywilów. Natomiast w sumie liczbę ukraińskich ofiar konfliktu polsko-ukraińskiego ocenia się na maksymalnie kilkanaście tysięcy.

To krótkie zestawienie jasno pokazuje, że z Ukraińcami – jeżeli będą swoją politykę historyczną opierali na gloryfikacji UPA – nie dogadamy się nigdy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9c1b920042

Rysują / Krzysztof Wyrzykowski i Maciej Jasiński

URODZONY W 1908 ROKU EUGENIUSZ LOKAJSKI BYŁ BARDZO WSZECHSTRONNYM ZAWODNIKIEM. ODNOSIŁ SUKCESY W SKOKU WZWYŻ I PIĘCIOBOJU, NAJWIĘKSZE JEDNAK W RZUCIE OSZCZEPEM.

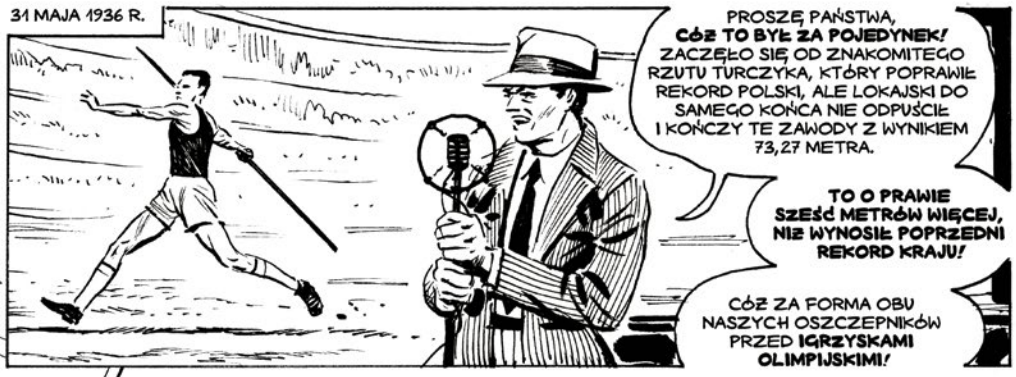

LOKAJSKI BYŁ MUROWANYM FAWORYTEM DO WALKI O OLIMPIJSKI MEDAL W BERLINIE, JEDNAK DOZNAŁ KONTUZJI NA TRENINGU, NA KILKA DNI PRZED KONKURSEM...

LOKAJSKI MIMO BÓLU ODDAŁ JEDNAK RZUTY W KONKURSIE, DAJĄCE MU SIÓDME MIEJSCE NA OLIMPIADZIE. NIGDY NIE WRÓCIŁ JUŻ DO FORMY, A KOLEJNE KONTUZJE ZMUSIŁY GO DO ZAKOŃCZENIA KARIERY. WTEDY ROZPOCZĄŁ PRACĘ JAKO NAUCZYCIEL WYCHOWANIA FIZYCZNEGO W WARSZAWSKIM GIMNAZJUM IM. MIKOŁAJA REJA. BYŁ TAKŻE INSTRUKTOREM W CENTRALNYM INSTYTUCIE WYCHOWANIA FIZYCZNEGO.

WE WRZEŚNIU 1939 ROKU DOWODZIŁ PLUTONEM W 35. PUŁKU PIECHOTY. W OKOLICACH BRZEŚCIA TRAFIŁ DO SOWIECKIEJ NIEWOLI, ZDOŁAŁ JEDNAK UCIEC I WRÓCIŁ DO WARSZAWY. TAM OTWORZYŁ ZAKŁAD FOTOGRAFICZNY. JEGO BRAT JÓZEF I SIOSTRA ZOFIA ANGAŻOWALI SIĘ W DZIAŁALNOŚĆ PODZIEMNĄ, JEDNAK W GRUDNIU 1943 ROKU...

ŚMIERĆ BRATA SPRAWIŁA, ŻE EUGENIUSZ WSTĄPIŁ W SZEREGI AK PRZYJMUJĄC PSEUDONIM „BROK". GDY WYBUCHŁO POWSTANIE WARSZAWSKIE BRAŁ UDZIAŁ W WALKACH, A TAKŻE PROWADZIŁ DOKUMENTACJĘ FOTOGRAFICZNĄ.

JEDNAK GDY DOTARŁ NA MIEJSCE, W BUDYNEK UDERZYŁY NIEMIECKIE POCISKI. ZGINĄŁ PRZYSYPANY GRUZAMI. JEGO CIAŁO WYDOBYTO DOPIERO W MAJU 1945 ROKU.

eprasa.pl 9c1b920042

HISTORIA DO RZECZY

CZYTAJ CO MIESIĄC W LEPSZEJ CENIE

ZAMÓW PRENUMERATĘ

PRENUMERATA ROCZNA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"
+ W PREZENCIE KSIĄŻKA TADEUSZ WOLSZA: „WIĘZIENIA STALINOWSKIE W POLSCE"

Książka profesora Tadeusza Wolszy to pierwsza udana próba pełnego spojrzenia na życie codzienne więźniów politycznych w Polsce w latach największego komunistycznego terroru (1945-1956).

Korzystając z dostępnej od niedawna dokumentacji Departamentu Więziennictwa i Obozów MBP oraz obficie czerpiąc z memuarystyki, Autor przedstawił codzienność w różnego rodzaju miejscach odosobnienia – więzieniach, obozach, ośrodkach pracy. Opisał metody represji, niewolniczą pracę w kopalniach, kamieniołomach i gospodarstwach rolnych. Odtworzył pobyt skazanych i ostanie chwile życia w celi śmierci między innymi Hieronima Dekutowskiego „Zapory" i Zygmunta Szendzielarza „Łupaszki". W pasjonujący sposób opisał też ucieczki więźniów z konwojów i zakładów karnych, na przykład z Krakowa, Sieradza, Strzelec Opolskich i więzienia mokotowskiego w Warszawie. W końcu imiennie wskazał na najbardziej brutalnych funkcjonariuszy straży więziennej, odpowiadających za skrytobójcze mordy popełnione na żołnierzach wyklętych.

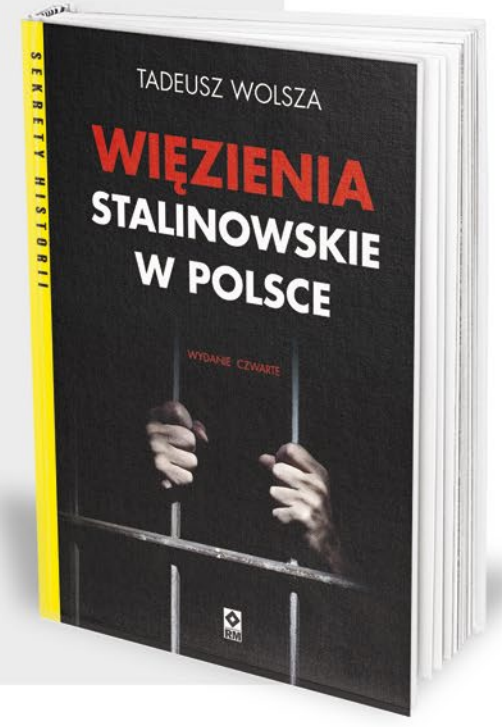

Oferta prenumeraty z dostawą za pośrednictwem Poczty Polskiej

174 zł

oszczędność 40 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO:
33 1600 1462 1816 5874 1000 0006
Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

TERAZ MOŻLIWOŚĆ ZAMÓWIENIA PRENUMERATY RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ DO PACZKOMATU INPOST.
ZAMÓWIENIA TYLKO PRZEZ STRONĘ WWW.SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt 10.00-16.00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 9c1b920042

Od ponad dekady tworzymy jedno
z najbardziej opiniotwórczych mediów w Polsce

SPÓŁKA AKCYJNA
DO RZECZY

Do Rzeczy S.A.
Spółka notowana na rynku **NewConnect (GPW)**
Symbol giełdowy: **DRZ**

WOLNOŚĆ SŁOWA MA WARTOŚĆ - TAKŻE GIEŁDOWĄ

Od 28 kwietnia 2026 możesz nas nie tylko czytać,
ale również zostać akcjonariuszem Do Rzeczy S.A.

ZAINWESTUJ
W NIEZALEŻNE MEDIA
Twoje media. Wspólna sprawa.

Dowiedz się więcej:
www.DoRzeczySA.pl

eprasa.pl 9c1b920042